



Nina A. Neumann  
ZIEMIĄ WYPEŁNISZ  
JEJ USTA

# Spis treści

[Karta redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Epilog](#)

[NOTA OD AUTORKI](#)

**NINA A. NEUMANN**  
**ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA**

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013  
Redakcja Joanna Śłużyńska  
Korekta Natalia Szczepkowska  
Redakcja techniczna zespół RW2010  
Copyright © Nina A. Neumann 2013  
Grafika na okładce Copyright © Robert A. von Ritter  
Okładka © Mateo 2013  
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013  
e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-041-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.  
Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010  
Dział handlowy: [marketing@rw2010.pl](mailto:marketing@rw2010.pl)  
Zapraszamy do naszego serwisu: [www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

Patrona medialany na powieścią objął portal: [www.creatio.art.pl](http://www.creatio.art.pl)

CREATIO  
FANTASTICA



WWW.CREATIO.ART.PL

*Bóg umarł! Bóg nie żyje! Myśmy go zabili! Jakże się pocieszymy, mordercy nad mordercami? Najświętsze i najmoźniejsze, co świat dotąd posiadał, krwią spłynęło pod naszymi nożami – kto zetrze z nas tę krew? Jakaż woda obmyć by nas mogła? Jakież uroczystości pokutne, jakież igrzyska święte będziemy musieli wynaleźć? Nie jestże wielkość tego czynu za wielka dla nas? Czyż nie musimy sami stać się bogami, by tylko zdawać się jego godnymi?*

*Wiedza radosna, Fryderyk Nietzsche, tłum. Leopold Staff*

*Ich sage euch: man muss immer noch Chaos in sich haben, um einen tanzenden Stern gebären zu können. (Powiadam wam: trzeba mieć chaos w sobie, by urodzić tańczącą gwiazdę).*

*Tako rzecze Zaratustra, Fryderyk Nietzsche*

*Czas zabijałem, mnie dziś czas zabija.*

*Ryszard II, William Szekspir, tłum. Stanisław Kubiak*

# Prolog

Odnalezienie dziewczyny okazałoby się wyzwaniem nawet dla bogini, gdyby nie usłużny palec losu, który skazał Renię na pobyt przez prawie rok w tym zapomnianym przez zwykłych ludzi przybytku szaleństwa. Pewnych słów nie wypowiada się głośno, a pewne miejsca, choć wszyscy wiedzą, gdzie ich szukać, są wymazane ze świadomości, aż do czasu gdy się w nich znajdziemy.

Tak było z największym szpitalem psychiatrycznym w królewskim mieście Krakowie, nazywanym przez miejscowych Huston. Gdy nowa pacjentka trafiła na jej salę, Renia Zając była już niekwestionowaną królową oddziału. Pomogła tej zagubionej istocie w pierwszych, najgorszych dniach, kiedy dziewczyna, przywieziona wprost z bidula, głównie krzyczała, miotała się w pasach i wymiotowała na siebie, tak jakby chciała wypluć duszę. Cóż, Reni nie obchodziła zbytnio jej dusza, za to pragnęła dziewiczego ciała nowo przybyłej. Nie musiała o nic pytać: wiedziała, że dziewczyna jest czysta jak w dniu narodzin. Tego właśnie potrzebowała, by wreszcie się wyzwolić. Najtrudniejsze było jednak przed nią. Musiała strzec zdobyczy, a przede wszystkim wydostać je obie z tego odrażającego miejsca. Nigdy wcześniej sama nie zajmowała się przygotowaniem... Ale czyż nie była boginią, przynajmniej teraz?

# Rozdział I

*Kraków, jesień 2011*

Jasna, księżycowa noc drażniła Łowcę. Jego długi cień był dla zbłąkanej ofiary wykrzyknikiem po słowie „uciekaj”. Zwykle polował w mżyste, wietrzne noce, gdy między odrapanymi kamienicami przemykali ostatni przechodnie. Teraz niezaspokojony od wielu miesięcy głód wygonił go z nory. Mężczyzna porzucił stare, kurczące się niebezpiecznie terytorium. Zapuszczał się coraz dalej od domu, ale trzymał się nurtu rzeki, która – zimna i mętna – ukrywała jego tajemnice.

Z wściekłością wspominał dni, gdy przemykał tunelami w tkance miasta. Znikał w paszczach budynków, by przechodząc przez dziedzińce i bramy, wychynąć kwartał dalej. Nowe czasy zalały ulice światłami neonów, zagroziły podwórka, zaczopowały bramy domofonami. Zjawiły się policyjne psy, pilnujące cudzoziemskiej swołoczy przelewającej się nocami głośną falą. Dzielnica niby tania dziwka pod wulgarnym makijażem reklam skrywała odpadające płyty tynku i zasikane bramy.

Ostatnio kolejne brudne miejsce zyskało modną etykietę. Na razie w pubach o chwytliwych nazwach piła współczesna awangarda. Za nią przywędruje tłum przeciętniaków i przypadkowych turystów.

Stąd także będzie musiał niedługo odejść. Podąży na północ za nurtem rzeki, by polować w śmierdzących blokowiskach. Łowca bał się tego, co nieuchronnie się zbliżało, czuł obrzydzenie do motłochu z przyszłości. Sam mieszkał w kiepskiej dzielnicy starych ludzi i biednych wielodzietnych rodzin zajmujących komunalne mieszkania w odrapanych kamienicach, ale to było jego miejsce, znał je od zawsze. Odkładał wyprowadzkę z nocy na noc. W końcu majaki pełne krwi zmuszały go do zabijania.

Kontrolowanie głodu przychodziło mu coraz trudniej. Dawniej polował co parę lat, teraz – co kilka miesięcy. Starał się nie słuchać burczenia pustego brzucha rzeki. Tworzył pozory banalnej diety. Kupował chleb, gazety, włączał radio, czasem nawet odburkiwał na natrętne „dzień dobry” sąsiada. Stawał przed lustrem i próbował się uśmiechać, ale w odbiciu widział mężczyznę odsłaniającego zęby w dzikim grymasie. Najtrudniejsza była ludzka mowa. Nie potrafił się przełamać nawet w samotności. Słowa grzęzły w gardle, by wyrwać się nieartykułowanym charkotem. Zabiegane społeczeństwo supermarketów pozwalało mu się nie odzywać. Najwyżej ludzie brali go za niemotę i gburę.

Pamiętał okresy, kiedy zmuszano go, by mówił. Różne instytucje próbowały wcisnąć go w ramy swojej ograniczonej wizji dziecka, ucznia, obywatela. W końcu jednak inni przyjęli do wiadomości, że ich nie potrzebuje. Został sam – tylko on i woda, która nie chciała słów.

Rzeki nie dało się oszukać na długo. Z pozoru obojętna, pragnęła jednak martwych ciał. Pozwalała mu zostawić na powierzchni tylko niewielki fragment. W oczach zaklęta jest dusza, czyż nie? Gnijące gałki oczne toczące się po kuchennym stole. Oczy w lodzie obok kurczaka i ryby. Oczy jak oliwki w drinkach utrwalaczy. Klejnoty oczu utopione w szkle.

Kolejna próba stworzenia doskonałego fetyszu wygoniła go któregoś wieczoru z domu; musiał wypluć z płuc szklany pył. Nadrzeczne bulwary – jeszcze nieskażone blaskiem latarni, który za kilka lat zaleje je żółta łuna – zapraszały pustką i chłodem jesiennego wieczoru. Kobieta odezwała się, kiedy minął ławkę. Niepokojąca zadra w miękkim głosie nie pozwoliła mu odejść obojętnie, jak zazwyczaj. Nie zobaczył niczego w mroku, nie poczuł zapachu, co zaskoczyło go bardziej niż posłuszeństwo, z jakim zatrzymał się kilka kroków od źródła dźwięku.

– Nie odwracaj się. – Strzeliła zapałka. Zapach siarki i słodkiego dymu papierosa dotarły do niego w kilka sekund. – Znam twoje możliwości, ale i tak mnie nie poczujesz. Obserwuję cię od dawna, robisz się zachłanny.



Rzeka nas rozdzieliła i obyś nigdy nie próbował tego zmienić. To moja strona.

Niedopałek rozgnieciony jej butem. Cichy syk pękniętego sznurka oplatającego mu wcześniej mózg. Obejrzał się błyskawicznie. Smużka słodkiego dymu znad pustej ławki ostatni raz połaskotała mu nozdrza.

Długo nie przekraczał rzeki. Nie tyle się bał, co nie odczuwał takiej potrzeby. Trzymał się swojego terytorium. Potem o tym zapomniał, bo i co tu pamiętać. Był przecież szybszy niż jakakolwiek kobieta. Z czasem przeszedł na drugą stronę ze wstrętnej konieczności. Nie pamiętał, czemu wcześniej omijał ten rewir; może po prostu nie lubił przebywać z dala od domu. Ostatnio polował tam coraz częściej, wynajął nawet opuszczoną szopę, by dokonywać przemiany oczu w cenne klejnoty. Nie miał wyboru. Rzeka wzbierała głodem.

Kobieta szła chwiejnym krokiem, potykając się. Jej wysokie szpilki grzęzły w nierównościach resztek bruku. Spódnica odsłaniająca szczupłe uda i rozchełstana bluzka były czarną ramą dla obrazu przyciągającego wzrok Łowcy. Rozszerzył nozdrza: poczuł perfumy, alkohol, pot i ledwo uchwytny, kuszący go zapach. Długie czarne włosy zasłaniały twarz ofiary. Łowca jeszcze nie widział jej oczu, które niedługo uzupełnią kolekcję jego łupów. Kobieta zatoczyła się. Upadła na ręce i kolana tak blisko kryjówki Łowcy, że prawie poczuł parę jej szybkiego oddechu na swojej dłoni wspartej o zimny kamień bramy. Nie mógł zobaczyć, że jej spuszczone oczy błysnęły całkiem przytomnie. No dalej, pomyślała, już łatwiejsza dziś nie będę. Pełnia gotowała jej krew. Musiała się uspokoić jeszcze na krótką, nabrzmiałą pożądaniem chwilę. Oblizwała spierzchnięte wargi i sunąc dłonią po narożniku wnęki, zaczęła się nieporadnie podnosić.

Może dzisiejsza noc przepłoszy mężczyznę z miejsc, które należały tylko do niej. Śledziła go od dawna. Pamiętała pierwsze nieporadne kroki. Intrygował ją na swój zwierzęco ludzki sposób. Jak na człowieka był genialnym myśliwym. Szkoda, że stał się taki nieostrożny. Chciała go

ochronić przed własną żądzą, ostrzec, zatrzymać po tamtej stronie rzeki. Bała się ulec fascynacji, którą w niej wzbudzał. Bała się ulec pragnieniu, które nosiła w sobie już tak długo. Bała się, że ją rozczaruje jak pozostali. Tacy myśliwi pojawiali się raz na kilkanaście lat, a ona likwidowała ich metodycznie i bez wysiłku, ale do tej pory nie wiązała z nimi żadnej nadziei. Mężczyźni dawno już stali się dla niej odpychający, byli tylko konkurencją. By zaspokajać głód, wołała miękkie, prężące się pod jej palcami ciała kobiet. O innych rzeczach starała się nie myśleć. Aż do teraz. Na domiar złego tej nocy wybrał bramę kamienicy, na strychu której przesypiała nudne dni pełne światła. Nie mógł jej wyczuć. Żaden człowiek tego nie potrafił. To tylko przypadek, pomyślała.

Łowca zadrżał. Jego mózg pulsował przyszłymi zdarzeniami. Krew wypełniła całkiem nowe miejsca w ciele. Nigdy dotąd nie czuł takiej euforii przed atakiem. Zwykle dopiero gdy rzeka otrzymywała swoją część, zaspokajał się, gładząc szklane sześciany kołysek przerażenia zastygłego w oczach ofiar. Mord w bramie zepsułby rytuał, zniszczył oczy kobiety. Musiał ją ogłuszyć i zawlec do opuszczonej drewnianej budy za starym cmentarzem, położonym na ocienionym drzewami wzgórzu. Tam przeistoczy zdobycz, obezwładnioną więzami rzemieni i toksyn, w doskonałe dzieło sztuki. Pomyślał o spokoju rzeki obojętnie przelewającej nieczystości, toczącej pod powierzchnią worki gnijących ciał. Ignorując napływające fale nieznanego dotąd rozkoszy, Łowca zwolnił oddech, wziął zamach i spadł metalem na kark ofiary.

W kotłowaniu ciał, w urywanych pomrukach i jękach, na śmierdzącą posadzkę kamienicznej wnęki spadły ciężkie krople krwi. Jeden z oddechów stał się cichy i nierówny, serce zwolniło omal do niebiccia. Oczywiście była od niego szybsza, ale zaskoczyło ją, że tylko o włos. Ciało mężczyzny osunęło się miękko po łuszczących się, rzeźbionych drzwiach.

Kobieta koniuszkiem języka zlizwała jego krew z nabrzmiąłych warg. Nasylenie odbierało jej myślom zwykłą ostrość. Z torebki wyjęła klucz i

odsunęła delikatnie zwiędłe ciało Łowcy. Prawie zniknęła w bramie, gdy przypomnienie zatrzymało ją w pół kroku. W długich palcach błysnął nóż o czarnym ostrzu.

Lekki stukot szpilek towarzyszył piosence nuconej aż na drugie piętro wymarłej kamieniczki.

*Razu pewnego, dnia ostatniego, gdy ziemię spowiły mroki, w dymie przyszłości, w trudzie miłości, wyklął się gnom jednooki – brzmiała głupawa rymowanka.*

Księżyc zaglądał w witrażowe okna i przez szybę w bramie oświetlał Łowcę, cuconego rwącym bólem pustego oczodołu.

\*\*\*

Świt, ślamazarny i mglisty, długo nie docierał do legowiska Łowcy. Nawet dziury i szczeliny w próchniejących deskach nie były w stanie oświetlić starej budy, w której ukrył się mężczyzna. Wiatr pełen wilgoci nie miał takich trudności; wdarł się już dawno do środka, by kręcić się wśród śmieci i smrodu gnijących ciał. Było zimno. Z każdym dniem zimniej. Zapas drewna wyczerpał się już dawno. Woda skończyła się wczoraj; chyba zamarzała doprowadzająca ją rurka, pomyślał.

Łowca, zagrzebany w starym kocu i czarnych foliowych workach, równocześnie płonął i trząsł się z zimna. Gorączka wysuszała mu wargi i maciła w głowie. Nie pamiętał, jak dotarł do kryjówki. Pierwsze wspomnienie wiązało się z rozrywającym bólem, kiedy polewał oczodół spirytusem. Rozważał przez chwilę znieczulenie – w końcu robił to za każdym razem swoim ofiarom – ale nie umiał wbić sobie igły w twarz. Ta słabość zdziwiła go. Zwykle ciało było mu całkowicie posłuszne i niewrażliwe na ból. Czasem rzeźbił w nim skomplikowane wzory. Blizny jak kolczuga pokrywały klatkę piersiową, brzuch i uda.

Zwinięty w kłębek myślał o kobiecie. Nie był w stanie pojąć, co właściwie się stało. Upodliła go i okaleczyła. Czemu nie umarł? To byłoby o wiele prostsze i bardziej naturalne w jego świecie. Świadomość utraty oka

i tocząca Łowcę gorączka stawiała go nawet poniżej worków mięcha rzuconych rzece. Był kompletnie bezużyteczny. Rzeka o nim zapomniała, zostawiła go samemu sobie, kiedy najbardziej jej potrzebował. Wiedział, że zostało mu kilka dni, aż umrze pogrążony w majakach.

Pragnienie przebudziło go z płytkiego snu w środku wczesnie zapadającej nocy. Gdzieś niedaleko ujadał pies. Wiatr ucichł. Przez szparę w deskach Łowca widział wygwieżdżone niebo, czuł na twarzy dotyk nasilającego się mrozu. Zamarznąć – to nawet może być przyjemne, podobno umierając, widzi się kwitnące magnolie. Chciał zapaść w ostatni sen, ale pragnienie było zbyt dojmujące. Podniósł się na kolana i podczołgał do starej szafki, na której stały liczne butelki odczynników i mikstur. Co za różnica, czego się napije? Może szybciej umrze dzięki temu. Po omacku, trzęsącą się ręką sięgnął po butelkę i przy okazji przewrócił kilka innych, tak kiedyś cennych i niezbędnych. Nawet nie próbował czytać etykiety; i tak niczego nie widział. Wysiłek tych kilku ruchów pozbawił go na chwilę świadomości. Ocknął się z flaszką w objęciach; na szczęście nie upuścił jej, upadając na szerniałe od ludzkich wydzielin deski podłogi. Płyn był palący i mężczyzna zaniósł się kaszlem. Zmusił się do jeszcze kilku łyków, a potem stracił przytomność.

Czas przesypywał się powoli, gwieździsta noc nadal przepływała nad miastem. Łowca poruszył się. Ból schował pazury i tylko ćmił. Za to pragnienie ujadało i warczało niczym łańcuchowy kundel. Niestety mężczyzna nie był ani odrobinę bardziej martwy. Znowu słyszał głos rzeki, która wołała go łagodnie. Schował prawie opróżnioną flaszkę do kieszeni skórzanej kurtki i spróbował doczołgać się do drzwi. Nasączone moczem, sztywne od mrozu jeansy krępowały jego ruchy. Dowlókł się do wyjścia, z wysiłkiem pchnął drzwi i leżał chwilę, dysząc ciężko. Wbił paznokcie w spróchniałe drewno, mozolnie podciągnął się na kolana i w końcu stanął, oparty o framugę. Nabrał w płuca mroźnego powietrza, aż przed okiem zawirowały mu czarne plamy. Zrobił kilka kroków i przytrzymał się

ulicznej latarni. Białe światło wydobyło z mroku wychudłą, zapadniętą twarz pokrytą brązowymi skrzepami krwi, zapuchnięty oczodół i czarne kosmyki sklejonnych włosów wymykające się spod kaptura bluzy. Mężczyzna wyciągnął flaszkę i popatrzył na etykietę: spirytus 70%, głosił napis. Pech, mógł przecież trafić na formalinę albo jeszcze lepiej na kwas solny. Widać rzeka chciała go mieć w sobie i nie dała mu zdechnąć za szybko. Pociągnął długi łyk. Idę, rzeko, daj mi jeszcze trochę czasu. Wyszczrzył się do siebie; to było pierwsze pijaństwo w jego trzydziestoparoletnim życiu.

Menel wytoczył się zza rogu wprost na Łowcę.

– Kopsnij pan fajkę, szefuniu – zachrypiał. – Widać, żeś pan swój chłop, zrzucim siem na flachę, będzie git – przymilał się po psiemu. Łowca zrobił krok ku niemu i jego twarz oblał niebieskawy blask wystawy. Odślonił zęby i warknął. Pijak jakby stracił nagle kilka promili. Odwrócił się wolno i pokuśtykał, jak tylko mógł najszybciej, kaczkowatym, sztywnym chodem.

– Nie chciałem, kierowniku... najmocniej pana przepraszam... mnie już nie ma.... – mruczał usprawiedliwiająco sam do siebie, trzęsąc się mocniej niż zwykle.

Łowca nie zwracał uwagi na pijaczka. Własne odbicie w sklepowej szybie nie pozwalało mu ruszyć się z miejsca. W końcu odwrócił twarz i przeciągle zawył z wściekłości. Poszedł dalej, nie widząc drogi. Potykał się o swoje nogi, choć przecież znał tu każdy występ chodnika.

Most majaczył na niebiesko, rzucał wymyślne cienie koronkowych przeseł. Jakiś czas temu sąsiad zaskoczył Łowcę otwierającego drzwi mieszkania. Koniecznie chciał porozmawiać. Złapał go nawet za rękaw. Łowca ostatkiem sił powstrzymał się przed instynktownym atakiem. Spuścił głowę, by ukryć wrogość. Sąsiad machał mu jakąś gazetą przed nosem. Mówił, że to świetna lektura i że jeden koleś napisał coś o ich moście, że niby zakochani z niego skaczą. Łowca nie był zainteresowany

ani czytaniem, ani miłością. Pod mostem zwykle wrzucał do rzeki pełne kobiecych szczątków worki. To był jego most, nie tego debila z naprzeciwka. Wziął jednak gazetę, by nie drażnić wścibskiego sąsiada. Teraz pomyślał, że może to nie takie głupie: skoczyć wprost do rzeki, połączyć się z nią na zawsze. Ludzkie sakwy na mięso miały przebłysk geniuszu, wybierając to miejsce, by oddać hołd rzece. Kiedy jednak Łowca znalazł się na środku mostu i popatrzył na wodę, zrozumiał, że rzeka oczekuje innej daniny. Chciała jej, nie jego. Musiał odszukać tę sukę. Musiał znowu zapolować. Rzeka jak zwykle przywróciła mu siły.

Wysączył ostatni łyk z butelki, roztrzaskał ją o chodnik i prawie rzeźkim krokiem ruszył w stronę domu. Księżyc, maleńki przy podświetlonym białym balonie widokowym, był połową siebie. Ulice do czysta wymiecione mrozem świeciły pustkami. Musiało być przed piątą; ostatni bywalcy knajp dotarli już widać do ciepłych domów, a poranne zombi jeszcze nie ruszyły zaspianym krokiem na swoje przystanki do codziennej harówki. Łowca przemykał cicho, ucząc się od nowa miasta widzianego tylko w połowie tak dobrze jak kiedyś.

\*\*\*

Nie mogła o nim nie myśleć. Wiedziała, że mężczyzna zdychał w marnej szopce parę przecznic od jej kamienicy, a potem powłókł się na drugą stronę rzeki. Powinna porzucić przytulny stryszek zamieszkiwany od kilkadziesiąt lat albo pójść i dobić człowieka, póki był słaby. Jak mogła tak głupio się zdradzić? Przeżyła na tym strychu wojnę i komunę, aż nagle uległa żądzy do stałocięplnego dwunoga.

Powinna, ale nie potrafiła. Wiedziała, że on wróci. Czekwała na niego każdej nocy. Zarzuciła polowania. Przestała nawet uwodzić zaćpane studentki sztuk plastycznych, jej ulubiony przysmak. Czuła się tak jak w pierwszym dziesięcioleciu po przeistoczeniu, kiedy ludzka krew panowała nad nią, doprowadzając rytmicznym pulsowaniem do szaleństwa. Pomyślała, że to zwykłe ludzkie zadurzenie, gorączka w głowie i mnóstwo

zmarnowanych godzin spędzonych na pustych fantazjach. Była chora, ot co. Chora brzmiało ciut lepiej niż zakochana w człowieku. Nie mogła dłużej czekać, księżyc po raz czwarty zbliżał się do pełni.

Wróciła, kiedy świtało. Na szczęście gęste, nabrzmiące deszczem chmury pochłonęły pierwsze poranne światło. Noc już prawie równała się z dniem, wiosna powoli wlewała jasny sok w burobrązowe miasto. Posiłek był bardzo dziewczęcy i smaczny. Jasnoszare długie włosy zwinięte w kok, koraliki kolczyków delikatnie muskające bladą skórę smukłej szyi, duże zielone oczy wpatrzone w nią z uwielbieniem. „Pani jest taka mądra, pani Ino... kiedy pani słucham, to przeraża mnie ogrom pracy przede sobą... Też chciałabym tyle wiedzieć o każdym skrawku tego pięknego miasta... tak jakby pani żyła w tamtych czasach, niesamowite... historia to fascynująca dziedzina, czyż nie...” Bla, bla, bla. Czego się nie robi dla zapchania burczącego brzucha.

Wdrapywała się wolno po wąskich schodach. Była pełna krwi i senna. Pragnienie tamtego mężczyzny odeszło, może wreszcie, pierwszy raz od prawie pół roku, uda jej się przespać spokojnie cały dzień. Pokonała kłódkę na drzwiach i zrzucając po drodze szpilki, ruszyła w najciemniejszy kąt strychu. W połowie drogi zamarła. Obejrzała się. Drzwi były otwarte. Nie pamiętała, czy je zaryglowała. Od środka zamykały się na duży, żeliwny klucz. Otwór zamka po drugiej stronie zalutowała już lata temu, ściągając do tego celu niezbyt trzeźwego ślusarza, którego ciało znaleziono rozwleczone na torach kilka dni później. Drzwi osobiście obija pilśnią tak, żeby nikt nawet nie podejrzewał istnienia zamka. Nie miała wtedy ochoty na kolejnego niedomytego pijaczka, a pilśń walała się na sąsiednim podwórku, jakby czekając właśnie na nią.

Podeszła ostrożnie do uchylonych drzwi. Przeszukała wzrokiem korytarz i wiodące w dół drewniane schody. Nikogo. Taka nieroztropność nie może się powtórzyć, bo przypłaci ją życiem. Leżąc już na granicy jawy i letargu w swoim czarnym plastikowym worku na zwłoki, który

zastępował jej łóżko, poczuła charakterystyczną woń i usłyszała szelest dochodzący od bramy wejściowej. To był mężczyzna, na którego czekała. Oprzytomniała natychmiast. Nie mogąc nic więcej zrobić ze względu na jasność dnia, nasłuchiwała kroków i łowiła wyczulonym węchem zapachy. Nic. Tamte doznania były tak subtelne, jakby reminiscencja sprzed wielu godzin na chwilę zawładnęła jej umysłem, a może to pragnienie i lęk mieszały zmysły. Potrzebowała snu, nie była w stanie dłużej utrzymać świadomości.

\*\*\*

Łowca długo dochodził do siebie po powrocie do domu. Chwilowa sprawność znikła i poświęcił wiele tygodni na jej odzyskanie. Początkowo leżał tylko i gapił się okiem w sufit. Czasem wstawał, by posmarować rwący ostrym bólem oczodół jednym ze swoich dekoktów albo wchłonąć kawał surowizny, której zapas na szczęście trzymał w zamrażalniku. Gapiąc się w pustkę, myślał o kobiecie. Wciąż i wciąż widział na suficie jej twarz, którą pozbawia gałek ocznych. Wyobrażał sobie obserwację kamienicy, widział, jak skrada się po starych skrzypiących schodach. Miał nadzieję, że to durne babsko, jakkolwiek sprytne by nie było, okaże się również na tyle zarozumiałe, iż pozostanie tam do czasu jego wizyty. Czuł, że nie była zwykłym człowiekiem, rzeka szeptała mu o tym cały czas. Daj mi ją, ona jest wyjątkowa – szumiało mu w głowie. Musiał być bardzo ostrożny i dobrze to zaplanować. Tym razem nie da się podejść tak łatwo.

Czasem przychodziły do niego inne obrazy. Pamiętał swoją pierwszą ofiarę. Była pomocą jego tatki. To ona go znalazła w jakimś zaułku, usmarkanego, obdartego dziesięciolatka, i przywlokła do pracowni. Tatko właśnie kogoś kroił. Popatrzył znad rogowych okularów i okrwawioną dłonią odgarnął spadające na twarz siwe włosy.

– Cóż to ma być, moja droga Rózo? – zapytał z lekką kpina. – Toż to żywe, nie nadaje się dla mnie.



– Ale przecież profesor sam mówił, że kiedyś był cenionym neurochirurgiem, a on ma chyba afazję, bo tylko warczy.

– Ano byłem, ale rączki już nie te, dziecko drogie. – Zaśmiał się pod nosem i wyciągnął srebrną piersiówkę. – Zdrówko, aniołeczku. A poza tym jest tyle zaburzeń mowy... Skąd pewność, że to afazja? Przecież poznałaś go dopiero dziś, gołąbeczko.

– Myślałam, że profesor może go zbada... – Dziewczyna skuliła się. Wcześniejszy entuzjazm gdzieś uleciał.

– Posadź go w kącie albo wykup na dobry początek.

Tatko nigdy mu nie powiedział, jakie postawił rozpoznanie i czy w ogóle to zrobił. Właściwie to tatko jakby o nim zapomniał. Rósł w cieniu kolejnych dzielonych na kawałki trupów i o ile nie włożył profesorowi pod nogi, ten się nim nie interesował. Róża czasem próbowała coś zrobić z chłopcem, nauczyła go nawet czytać, pisać i liczyć. Ale gdy odkryła jego rysunki, przerażona ograniczyła się do prania ubrań chłopaka i karmienia obiadami szykowanymi dla profesora. Wchodziło to w zakres jej obowiązków, a może tylko litowała się nad nimi: starcem i przybłądą. Rysunki monotematycznie przedstawiały Różę w charakterze poddawanych wiwisekcji zwłok. Dziewczyna zwała to na karb otoczenia, choć kiedy przypadkiem się na nie natykała, zawsze przechodziły ją dreszcze.

Pierwszy raz usłyszał rzekę, gdy skończył piętnaście lat. Siedział na brzegu, gapił się w nurt i kombinował, jak uwolnić się od przykrego obowiązku szkolnej opresji. Oczywiście szkoła była pomysłem Róży, która osobiście zawlokła go do dyrektora i powołując się na profesora, wymogła przyjęcie chłopaka do czwartej klasy. Nie dość, że był starszy o cztery lata od kolegów, to jeszcze nie mówił, a nawet się nie śmiał. Fakt, że nikt go nie rozumiał ani nie lubił, nie obchodził go zbytnio. Nie umiał znieść nudy ziejącej z prawie każdej lekcji oraz wiecznego niezadowolenia nauczycieli, którzy tylko pozornie akceptowali jego inność i na każdym kroku znajdowali powody, by go publicznie upokarzać. Siedząc w ławce, tęsknił

za znajomymi zapachami odczynników, sterylnością i ostrym, białym światłem w pracowni tatki, która mieściła się w jednej z piwnic wydziału medycyny sądowej.

Tego dnia minął szary budynek plomby szkoły, przyklejony do starych kamienic, i poszedł dalej aż do wiaduktu, a potem wzdłuż nasypu w kierunku rzeki. W powietrzu czuć było resztki letniego ciepła, mewy krzyczały gdzieś nieopodal, a tuż przy betonowym nadrzecznym murku na wodzie kręciły się kaczki. Oddał im śniadanie zrobione starannie przez Różę i zawinięte w szarą torebkę po cukrze. Nie znosił słodkich kryształków przyklejonych do kanapki z pasztetową. Ptaki zawzięcie walczyły o łup aż do ostatniego kęsa, wrzeszcząc przy tym jak opętane, a potem odpłynęły, obojętne na jego obecność. Wtedy usłyszał szept, który miał go odtąd prawie nie opuszczać. Daj mi kwiat, a dam ci świat – zaszumiało sitowie. Potrząsnął głową, ale słowa powtarzały się ciągle i ciągle. Jaki kwiat? Zrozumienie spłynęło nagle. Róża, rzeka pragnie Róży. Długo potem planował to, co nieuchronnie musiało nastąpić.

Najbardziej bał się stracić tatkę, gdy ten odkryje prawdę. Miał wtedy siedemnaście lat, a wybebeszone zwłoki Róży od pół roku karmiły rzekę. Tatko po zniknięciu młodej kobiety oklapł i zapadł się w sobie. Ponieważ nikt im nie gotował ciepłych posiłków, profesor prawie w ogóle przestał jadać. Przestał też kroić trupy. Nie schodził nawet do piwnicy. Godzinami siedział w starym fotelu w swoim uczelnianym mieszkanku na stryszku budynku – i pił. Chłopak początkowo próbował zastąpić Różę, ale widząc reakcję tatki na swoją nieudolność, wycofał się. Tatko chciał tylko alkoholu, coraz więcej alkoholu. Aż któregoś dnia zapił się na śmierć. Nigdy nie dowiedział się, co naprawdę spotkało Różę. Porządkując rzeczy tatki, chłopak trafił na rodzinny album. Róża pojawiła się w nim jako kilkuletnia dziewczynka. Siedziała na kolanach ładnej kobiety, chyba zmarłej młodo żony profesora. Była przybłądą tak jak on, a tatko widać kochał ją jak córkę. Wściekłość zalała chłopakowi serce czerwoną falą.

Dobrze wam tak obojgu, pomyślał. Potem długo siedział na murku i słuchał nurtu rzeki – nazwała go swoim Łowcą. Podobało mu się takie imię. Wolał je niż to nadane przez ludzi, banalne i zwykłe.

Uniwersytet zabrał mu małe, przytulne mieszkanko na strychu, ale miasto usłużnie dało inne. Kawalerkę parę kwartałów dalej. Miejsce było fatalne: ruchliwa ulica, spaliny, w weekendy bandy pijanych turystów. Wściekł się, poczuł oszukany, ale nie bardzo umiał się sprzeciwić. Przyjął to, co mu dali. Docenił, że mieszkanie jest na ostatnim piętrze, a naprzeciwko zwykle nikogo nie ma. Ogromny pokój podzielił meblami na pół. Ciężka kalwaryjska szafa wyznaczyła linię demarkacyjną między snem a jawą. Za nią było tylko wąskie kawalerskie łóżko z metalowym oparciem. Zadomowienie się i uznanie tego miejsca za swoje zajęło mu lata. Właściwie nigdy nie poczuł się tu jak w domu tatki, choć przecież otaczały go te same przedmioty. Tylko że tam też nie czuł się u siebie. Był na tym świecie przybłądą i tak już pozostanie.

Dość grzebania w starych śmieciach, pomyślał któregoś dnia. Rzeka jest teraz najważniejsza i domaga się swego. Pora dorwać tę szmatę, czymkolwiek jest. Plan dojrzewał w nim od dawna.

\*\*\*

Obserwował kamienicę od wielu dni. Udało mu się sforsować sąsiednią bramę i włamać na strych, którego okienko znajdowało się dokładnie na wprost okna na klatkę schodową. Zamarł przy nim niczym zahibernowane na zimę zwierzątko. Czasem tracił nadzieję, że ona w ogóle tam jest. Rzeka nie pozwalała mu jednak odejść, rzeka była pewna. Uspokajający szept koił ból zastygłych mięśni.

Tego wczesnego wieczoru jak zwykle tkwił wśród kurzu i biegających szczurów, które traktowały go od pewnego czasu niby stary mebel. Z marazmu wyrwało go cichutkie skrzyknięcie. Wydawałoby się, że nie powinien go wychwycić z takiej odległości. Jednak usłyszał, jak tego pierwszego cieplejszego dnia – za sprawą wiejącego z gór wiatru – uchyliło

się okno na klatce schodowej. Ktoś hałasował łańcuchem. Chwilę później dostrzegł jej sylwetkę podążającą schodami na parter. Stukot szpilek wbił mu się w mózg nieprzyjemnym staccato. Odczekał chwilę po trzaśnięciu bramy, założył na buty foliowe worki i pokonał schody w dół, podwórzec i schody w górę.

Drzwi na strych nie miały zamka; przytwierdzony do nich i ściany gruby łańcuch wieńczyła zamknięta kłódka. Nie dotykając niczego, uważnie im się przyjrzał. Coś mu nie pasowało. Ktoś nieporadnie i bez widocznego powodu obił je z zewnątrz starą, miejscami spuchniętą od wilgoci pilśnią. Drzwi były najwyraźniej ulubionym miejscem wszystkich okolicznych kotów, dziwnym trafem omijających strych, na którym koczował Łowca. Wciągnął głęboko powietrze nosem i o mało się nie porzygał od gryzącego zapachu moczu wszystkich tych napalonych kocurów. Powstrzymał odruch wymiotny, wciągnął powietrze jeszcze raz i wtedy to poczuł. Znajomy zapach. Róża dodawała tego do piasku swojego mrującego ulubieńca – kocimiętka. Ktoś celowo przyciągał tu koty. Ona je przywabiała. Może bała się szcurów, a może chciała odstraszyć smrodem dzieci, które codziennie wrzeszczały w studni podwórka, grając w nogę i głupiego jasia. Pewnie nie życzyła sobie nieproszonych gości. Za płytą mógł kryć się zamek.

Zszedł na dół i już na ulicy zdjął z butów szpitalne woreczki. Nie mógł sobie pozwolić na zostawienie śladów. Wszedł do pobliskiego sklepu z narzędziami; potrzebował paru drobiazgów do sforsowania drzwi. Dobrze, że wyszła tak wcześnie. Sklep był na szczęście jeszcze czynny, a właściciel, stary głuchawy dziadek, nawet zadowolony, że klient gada z nim na migi.

Pozostało mu teraz czekać na jej powrót i liczyć, że jak się kimś nazre, to potem uśnie. Nie wiedział tego na pewno, ale w gazecie, którą mu wtedy wcisnął sąsiad, był pseudonaukowy artykuł o dziwnych, starych jak świat istotach żywiących się krwią, które przesypiają dni w trumnach, a nocami polują na ludzi. Artykuł zainteresował go ze względu na obrazki ilustrujące

techniki polowania tych stworów. W ich istnienie nie wierzył aż do nocy, gdy został pogryziony i pozbawiony oka. Nadal miał wątpliwości, ale to była jedyna informacja, której mógł się uchwycić.

Pierwsze promienie słońca nie zdołały przebić się przez pierzynę chmur, by oświetlić cokolwiek. Stukot szpilek na schodach wyrwał Łowcę z niechcianej porannej drzemki. Wracała wyraźnie nasycona, potykając się w ekstazie o własne nogi. Miał szansę. Była wybitnie rozkojarzona. Począł na chrobot zamka, który teraz wydał mu się taki oczywisty, i zbiegł na dół. Na ułamek sekundy zamarł tuż przed drzwiami prowadzącymi z podwórca do jej kamienicy. Rzeka w jego głowie, dotąd ponagląca, nagle całkiem ucichła. Widział, że coś jest nie tak. Zawrócił do klatki drugiej kamienicy i zastygł tuż koło wejścia do piwniczki. Czuł, że musi uspokoić podniecenie, bo znowu przegra.

W końcu odważył się cicho i wolno wspiąć ku upragnionym drzwiom. Ostrożnie podważał kolejne gwoździe i nasłuchiwał odgłosów najlżejszego ruchu. Cisza. Odstawił płytę pod ścianę, wzbijając mały obłoczek kurzu pełnego kryształków kocich szczyn. Ostry zapach wiercił go w nozdrzach i o mało nie kichnął. Zamek był niezbyt skomplikowany. Łowca wlał do niego parę kropel z oliwiarki, a potem wsadził dwa zagięte druty i przekręcił. Bał się skrzypnięcia zawiasów, ale ponieważ nie słyszał wcześniej, żeby skrzypiały, zaryzykował. Drzwi uchyliły się bezszelestnie.

Na strychu panował półmrok. Począł, aż jedyne oko przywyknie do natężenia światła, i rozejrzał się uważnie. Skórzany fotel, stół nakryty starym, spływającym na podłogę, misternie wyszywanym obrusem, lampa naftowa, jakaś gruba książka, a w przeciwległym kącie stara gdańska szafa odsunięta od ściany ze względu na pochyłość dachu. Poza tym pusto i nawet czysto. Popatrzył na strop – nic. Czyli zostaje szafa i wnęka poza nią. Przemierzył przestrzeń, wstrzymując oddech, krew rytmicznie pulsowała mu w skroniach.

Zajrzał za szafę. Było tam wyjątkowo ciemno, ale bezbłędnie rozpoznał znajomy wygląd foliowego worka, identycznego jak te, których używał do transportu odpadków nad rzekę. Worek był pełny. Łowca dla pewności zerknął najpierw do szafy, której drzwi skrzypnęły leciutko. Serce szarpnęło mu się w piersi i znowu gdzieś uleciało całe lodowate opanowanie, z którego był tak dumny przez ostatnich kilkanaście lat torturowania i patroszenia ofiar. Czuł się jak duży groźny pies, który wsadził łeb do nory i zastał tam wściekłą waderę zamiast samotnych małych wilczków. Ostatnio coraz częściej tracił panowanie nad swoimi reakcjami. Nic się jednak nie wydarzyło. Zawieszta cisza wypełniała mu głowę. Przeczesał ręką wiszące w szafie sukienki i płaszcze. Schylił się i pomacał podłogę – tylko buty i jakaś waliza. Wrócił za szafę. Trącił worek stopą. W środku było nieruchome ciało. Ostrożnie rozsunał zamek biegnący przez środek.

Kobieta wyglądała jak dwudniowy trup, zimny, ale już niesztynny. Głupia gazeta sąsiada widać nie kłamała, nie oszukiwały dziwne portale poświęcone tym głodnym krwi, starym, martwym stworom. Poruszył ją delikatnie – nie zareagowała. Zasunął zamek. Owinął worek dodatkowo w obrus i przerzucił przez plecy. Napięcie spływało z niego powoli, choć nadal nie czuł się pewnie. Martwota kobiety była taka ulotna. Mężczyzna czuł, jakby jej mózg na bardzo głębokim poziomie wysyłał mu jakieś sygnały. Teraz, skoro wiedział, czym była, zdobędzie informacje, jak ją skutecznie dobić. Najpierw jednak musiał zanieść ją do domu. Rzeka w nim falowała oczekiwaniem.

\*\*\*

Zadziwiająco, jak bardzo obojętni są ludzie w wielkich miastach, pomyślał Łowca, taszcząc wór zatłoczonym poranną bieganiną chodnikiem. Nikogo nie zastanowiło, gdzie o ósmej rano zdąży mężczyzna w ciemnych okularach ślepcy z dziwnym ciężarem na plecach, przepychając się brutalnie między zaparkowanymi samochodami, ludźmi i ścianami

mijanych kamienic. Nawet jeśli jakaś potrącona kobiecina odwróciła się za nim, to tylko po to, by wyrazić jazgotliwie swój sprzeciw i podreptać dalej, tachając siaty.

Dotarł na miejsce lekko zziębnięty, ale nadal tak samo anonimowy. Dość brutalnie rzucił worek pod ścianę w ciemnym, wąskim korytarzu. Rozebrał się do naga na środku pokoju, z którego kolejne drzwi prowadziły amfiladą do kuchni i klitkowatej zimnej łazienki, przypominającej studnię. Musiał spłukać z siebie kurz i pot ostatnich godzin, zanim zabierze się za poszukiwanie rozwiązania. Włazł do starej, żółtej wanny, zaciągnął plastikową zasłonkę i puścił zimną wodę, a potem wrzątek. Jego ciało drżało, w głowie kłębił się dym myśli. Bał się. Czuł, jak po ramieniu pełźnie śmierdzący strach. Leżące niczym worek kartofli ciało kobiety wciskało się do mózgu Łowcy i odświeżało dawno zatarte szlaki. Kolejny raz tracił przez nią kontrolę, największe osiągnięcie swojego parszywego życia, tarczę chroniącą mężczyznę przed nim samym. Bał się, bo nagle zwątpił, czy na pewno chce ją oddać wodzie. Mały, biały robaczek pożądania cierpliwie wiercił w kolejnych warstwach skorupy obojętności, wgryzał się w niezłomne zasady, srał na to, czego chciała rzeka. A może by tak zatrzymać ją choć na kilka dni? – szeptał kusząco. W końcu coś ci się należy za tę całą brudną robotę, za ból i upokorzenia, za oko. Nie bądź frajerem, ona jest tylko twoja – bruździł cichutko.

Lód, wrzątek, lód, wrzątek, a potem szorstki jak stary worek ręcznik. Znaleźć dobry sposób. Wyrwać jej serce, przedziurawić jakąś szczapą, zakuć ciało w srebro, odciąć łeb, potem wydłubać oczy na pamiątkę. Nie może ryzykować starego rytuału. Nie wiadomo, czy jego chemia podziałałaby na tak odmienną fizjologię. Zrobi to póki jest dzień, a ona jest tylko workiem kartofli.

Łowca zaczął przygotowania. Mieszkanie pogrążyło się w mroku zasuniętych żaluzji i kotar, a potem rozbłysło oślepiającym światłem w stali blatu kuchennego stołu. Leżał na nim stary srebrny krzyżyk, talizman od

Róży, który wygrzebał z odległego końca szuflady. Dała mu go, wierząc, że to odpędzi mrok, który widziała w jego oczach i który tak bardzo ją przerażał. Zapomniał o krzyżyku już następnego dnia. Nigdy go nie nosił. Potem kilka razy planował go po prostu wyrzucić, ale jakoś mu to umykało, nie było na tyle ważne, by się na tym dłużej skupić. Teraz naiwna Róża wiele lat po swojej śmierci miała mu pomóc ostatni raz. Ułamana ostro noga od stołka dopełniała zestawu pogromcy nieumarłych. Niewiele, niedokładnie tak jak radzono na licznych stronach internetowych, które wcześniej przeglądał w pobliskiej kafejce. Stronach pełnych srebrnych kul, wody święconej, osinowych kołków, czosnku, wymyślnych krzyży i modlitw przypominających klątwy. Nieważne, pomyślał. Najpierw musiał wygrać z własną słabością, która falami przetaczała się przez nadal rozpalone ciało.

Naga kobieta na gołym blacie. Włosy kaskadą spływające ze stołu. Alabaster ciała pokrytego misternym żyłkowaniem zastygłej pod skórą krwi. Czerwień paznokci smukłej dłoni, jakby przed chwilą zanurzonej w posoce. Łowca starał się na nią nie patrzeć. Też był nagi, jak zawsze w czasie rytuału przemienienia. Zwykle wywoływało to jeszcze większe przerażenie w ofiarach, które podejrzewały go głupio o zwykłą męską chuć. Nie mógł jej zabić, za bardzo pragnął oczu tej kobiety. Choć nie patrzyła, po raz pierwszy własna nagość przyprawiała go o palące rumieńce.

Próbował nie zwracać na to uwagi, skupić się na zimnej pewności skalpela, ale gdy zbliżał rękę do jej twarzy, mimowolnie zadrżał. Nieopatrznie przeciął gładką skórę na policzku, ciemna posoka leniwie pobrudziła mu dłoń. Kiedy odkładał skalpel, ciężka kropla spadła na jej blade usta. Rozsmarował ją delikatnie, nadając im barwę starego wina. W nozdrza uderzył go ziołowy zapach jej włosów. Zanurzył w nich dłoń. Poczł miętkość jedwabiu; nigdy nie dotykał w ten sposób kobiecych włosów, nigdy nie przyszło mu to do głowy. Schylił się jeszcze niżej i językiem dotknął zakrwawionych ust. Nagły ogień zapłonął mu na wargach



i rozszedł się po całym ciele, w głowie poczuł uderzenie. Chciał się oderwać od kobiety, ale nie mógł. Jej smukłe palce właśnie wbiły mu centymetr paznokci w plecy. Otworzyła hipnotyzujące oczy, w rozwartych ustach błysnęły długie kły. Była bardzo silna. Wciągnęła go bez trudu na siebie i oplotła nogami.

– Wreszcie pozwoliłeś mi wejść do swojego domu – wyszeptała. – Próbowałeś mojej krwi, ja twojej. Jesteśmy związani na wieczność.

\*\*\*

Obudził się powalany zaschłą krwią i spermą. Podbrzusze pulsowało dziwnym, słodkim bólem. Leżał we własnym wąskim łóżku w skotłowanej pościeli. W głowie ziała wielka dziura niepamięci. Słodkawy dym nadal unosił się nad głową Łowcy. Wstał, a właściwie stoczył się z łóżka, i pojękując cicho, poczłapał do okna. Szarpnął za kotarę, podciągnął żaluzje; na zewnątrz zapadła już noc.

Burczący brzuch zaciągnął go do kuchni. Był głodny jak wataha wilków. Wypił do końca mleko z napoczętej wczoraj butelki i wgryzł się w resztkę półsurowej kiełbasy. Niestety musiał wyjść z domu. Banalność ludzkiej egzystencji jak zwykle mierzyla go, ale brzuch nie dawał za wygraną, Łowca nawet to przestał kontrolować. Co się z nim działo? Dlaczego ostatnio tak się zmienił? No i gdzie właściwie zgubił wczorajszy dzień? Rzeka próbowała do niego krzyczeć, groziła mu, ale jej głos był przytłumiony i blady, jakby ktoś mówił pod powierzchnią wody. Warknął coś na odczepnego i wzruszył ramionami. Potem się tym zajmie, jeśli będzie chciał.

Zagarnął kotłowaną pościeli, wziął prysznic, ubrał się pospiesznie i ruszył do nocnego sklepu, myśląc o dziwnym bałaganie we własnej kuchni.

Plecy swędziały go intensywnie, ale na razie je zignorował. Nigdy nie był czuły na ból; potem to przemyśli. Drzwi trzasnęły głośniejsz niż zwykle, zbiegł po schodach, mrużąc pod nosem melodię radiowego szlagieru. Dopiero na ulicy uświadomił sobie, że zapomniał opaski na martwy

oczodół. Rozdrażniła go własna bezmyślność. Powrót na górę wydał mu się jednak wyjątkowo uciążliwy, coś gnało go naprzód, nieznana energia wypełniała członki domagające się ruchu. Zwykle nie czuł się tak nawet po udanym polowaniu.

\*\*\*

Nocny sklep nie rozczarował go i tym razem. Nieliczni klienci przemykali jak duchy, nie patrząc nikomu w oczy. Z niejednej kieszeni męskiego płaszcza wyzierała szyjka flaszki owiniętej w papier. Jakaś młoda kobieta kupowała paracetamol i prezerwatywy. Doskonale obojętna sprzedawczyni kasowała te wszystkie tak niezbędne o tej porze rzeczy. Nie podnosząc wzroku, mechanicznie wydawała resztę.

Szybko wypełnił koszyk butlami mleka i półsurową kiełbasą; po świeże mięso wybierze się jutro. Zapłacił i nie czekając na kilkanaście złotych reszty, wyszedł na ulicę. Sprzedawczyni wołała coś za nim. Przebiegł pustą ulicę zalaną brudnopomarańczową poświatą latarni i po chwili znalazł się we własnej bramie. Kiedy wyciągał klucze, poczuł mrowienie na karku. Odwrócił się szybko. Cień przemknął na granicy widzenia – może rzuciło go drzewo poruszone podmuchem wiatru.

Na górę wchodził powoli. Nieokreślony niepokój wstrzymywał jego kroki. Kiedy otwierał drzwi do mieszkania, czyjaś dłoń delikatnie musnęła go po karku. Obrócił się – za nim była pustka. Wciągnął głęboko powietrze, nikły znajomy zapach wypełnił nozdrza, zapach... Nie mógł go z niczym skojarzyć, ale wiedział, że czuł go niedawno. W głowie pojawił się zapomniany obraz Róży kąpiącej się w starej żeliwnej wannie na nóżkach, zapach olejku cedrowego wyciekał zmysłowo przez dziurkę od klucza, dotykał jego twarzy znajdującej się tuż obok. Tylko co z tego, przecież ona już dawno została zżarta przez ryby. Łowca powoli zszedł na dół kamienicy, otworzył bramę, gdzie czekały na niego tylko smród szczyń i hałas przetaczającego się nocnego autobusu.

Wrócił do siebie nadal zaniepokojony, ale nic więcej się nie wydarzyło. Zjadł pośpiesznie kielbasę i popił litrem mleka. Doprowadził kuchnię i sypialnię do stanu klinicznej czystości, ale to nie pomogło. Kręcił się po mieszkaniu, nie mogąc znaleźć ani ukojenia, ani odpowiedzi na nękające go wątpliwości. Nie rozumiał siebie bardziej niż kiedykolwiek i nadal nie miał pomysłu na to, co wydarzyło się w ciągu ostatniej doby czy dwóch. Patrząc w lustrze na plecy, odkrył dość głębokie, ale już pokryte różową tkanką szramy, jakby podrapało go jakieś dzikie zwierzę, i to co najmniej kilka tygodni temu, a nie wczoraj. Nie miał na to żadnego wyjaśnienia. W końcu, gładząc kolekcję zatopionych w szkle oczu, usnął na skórzanym fotelu. Stojąca na stoliku obok lampa o ciemnozielonym kloszu oświetlała jego ręce oparte na podołku, długie palce zaciskały się na szkle jak na amulecie chroniącym przed złem.

\*\*\*

Obudził się obolały. Szklane oczy stoczyły się z jego kolan na miękki dywan. Mieniły się kolorami w promieniach popołudniowego słońca niby szlachetne, zrodzone w bólu klejnoty. Łowca pozbiierał je i z czułością ułożył w wyściełanym czarnym aksamitem drewnianym pudle z licznymi przegródkami. W głowie miał jeszcze większą pustkę niż wczoraj. Nie słyszał rzeki. Czyżby znowu go opuściła? Czuł się z tego powodu równocześnie wolny i porzucony, jak szczeniak, który za daleko odbiegł od stada.

Zebrał się do wyjścia. Może widok rzeki przywróci mu spokój, może rzeka przemówi – bez słów mrucał sam do siebie, aż mijana na schodach kobiecina spod piątki popukała się znacząco w czoło.

Rzeka o tej porze roku była zielonoszara i pachniała gnijącym truchłem wytarzanym w oleju silnikowym. Milczała uparcie, a Łowca po raz pierwszy w pełni dostrzegł jej odpychającą fizjonomię. Wydała mu się brudną, starą, zmęczoną prostytutką, toczącą się gdzieś pijanym krokiem w poszukiwaniu kamratów do flaszki. Oszukała go. Nie dostał od niej nic

poza poszturchiwaniem, wrzaskiem i kpiną. Wykorzystała jego zagubienie, a teraz odepchnęła go od siebie niczym suka natrętne szczenię.

\*\*\*

Wrócił do domu obładowany surową wołowiną i koniną z pobliskiej masarni, której właściciel znał go jeszcze z czasów, gdy chodził tam z Różą, by nosić jej zakupy. Staruszek pakował mu bez pytania zawsze to samo, tak jakby czas nie płynął od kilkunastu lat.

Zjadł kolację i właśnie pograżył się w codziennym rytuale przeglądania swojej kolekcji, gdy dobiegło go ciche pukanie. Łowca podkradł się pod drzwi i zaczął węszyć; znał ten zapach słodkiego papierosa. Powoli przysunął jedyne oko do wizjera. Za drzwiami w półmroku stała smukła brunetka, jej spojrzenie skoncentrowane na judaszu zdawało się przenikać przez powiększające szkło i hipnotyzować mężczyznę.

– Otwórz. Wiem, że na mnie patrzysz. Mam dla ciebie prezencik – wyszeptała.

Nie wiedział, dlaczego otworzył drzwi, właściwie nawet nie pamiętał, by to uczynił. Kiedy je uchylił, kobieta odwróciła się i sięgnęła ręką za siebie. Z mroku korytarza wychynęło bezwolne stworzenie płaczące się o własne nogi widoczne w całej okazałości z powodu wybitnie krótkiej spódniczki. Długi rudy warkocz załśnił w rzucanej z mieszkania poświacie lampy. Zamglone niebieskie oczy patrzyły na Łowcę, a raczej poprzez niego, gdyż dziewczyna była albo pijana, albo odurzona.

– Jest twoja, ja już się nasyciłam – powiedziała kobieta i popchnęła swoją towarzyszkę wprost na stojącego w drzwiach mieszkania mężczyznę. Ten zatoczył się lekko pod niespodziewanym ciężarem. Miękki dotyk kobiecego ciała podziałał niczym uderzenie pioruna. W nagłym błysku powróciły wszystkie wspomnienia. Pusty oczodół rozpalili się rwącym bólem. Rzeka zalała falą smolistej zimnej wściekłości jego ciało, które wyprężyło się, odrzucając dziewczynę na schody. Ta potoczyła się na dół

jak szmaciana lalka i zatrzymała na ścianie półpiętra. Jęcząc, gramoliła się nieporadnie z mozaikowej podłogi. Upadek przywrócił jej częściowo jasność umysłu i smród strachu dotarł aż do nozdrzy Łowcy, który zwykle tak łasy na ten zapach zignorował go zupełnie. Stał zatopiony w sobie, a kolejne obrazy przetaczały się gwałtownie przez jego mózg.

Widział nagą kobietę pod sobą, na sobie, obok siebie, jej włosy spadające falą na jego pierś, jej nogi oplatające mu plecy, czuł aksamitne ciepło jej skóry, słyszał jej ciche jęki stopniowo przeradzające się w gardłowy krzyk. Pamiętał szczupłe palce badające topografię jego blizn i oczy wpatrujące się z napięciem w jego twarz, tak jakby chciała zapamiętać na zawsze każdy szczegół. Tylko co on robił na tym obrazku, dlaczego się na nim znalazł, jak to w ogóle możliwe? Najgorsza była jednak fala nieznaney przyjemności, która towarzyszyła tym wspomnieniom. Fala, która powodowała napięcie w podbrzuszu i nieznaną mu dotąd tęsknotę za tym, by znowu dać się jej ponieść.

Kobieta przyglądała mu się spokojnie. Dziewczyną, która tymczasem schodziła, kurczowo trzymając się poręczy i rzucając ukradkowe spojrzenia na nich oboje, dawno przestała się interesować. Przywlokła ją tutaj tylko ze względu na Łowcę, ale widać nie docenił jej łaskawego gestu albo wręcz poczytał go za obelgę. Fascynowała ją ta gwałtowna reakcja oraz to, że potrafił wyzwolić się spod jej hipnotyzującego wzroku i zareagować całkowicie nieoczekiwanie. Stał teraz niczym posąg z zamkniętym jedynym okiem, odcięty od świata, tylko nozdrza drgały mu miarowo jak u byka tuż przed atakiem.

Łowca uniósł powiekę i wyciągnął rękę w stronę kobiety. Ta uśmiechnęła się leciutko i oblizwała wargi koniuszkiem języka.

– Traktuję to jako zaproszenie – zamruczała.

Mężczyzna potwierdził kiwnięciem głowy i odsunął się w głąb przedpokoju, nie puszczając jednak drzwi, które zatrzasnął gwałtownie za wchodzącą i zaryglował zamki. Kobieta stała nieruchomo, wpatrując się w

wiszące na ścianie czarno-białe zdjęcie dziewczyny w kwiecistej sukience i starszego dystygowanego pana podpierającego się na rzeźbionej lasce.

– Rodzina? – W jej głosie zadrgały dziwne nuty ni to smutku, ni rozrzewnienia.

Mężczyzna nie podążył nawet za jej wzrokiem. Wykorzystując widoczne rozluźnienie, schylił się i błyskawicznie pociągnął za chodnik pokrywający deski starej podłogi, jednocześnie rzucając się na kobietę całym ciężarem ciała. Przetoczyli się od ściany do ściany. Chwilę później leżał pod nią niezdolny do ruchu, a białe ostre kły złowieszczo zbliżały się do jego tętnicy szyjnej.

– Zapominasz się, najdroższy – wyszeptła mu wprost do ucha i polizała go po policzku, tak jakby próbowała, czy nadal jest smaczny. – Jesteś mój, a ja jestem twoja i nie możesz mnie tak traktować – wymruczała, a potem zamiast wbić w niego kły, po prostu oparła mu głowę na ramieniu i rozluźniła ucisk.

Łowca zadrżał od tej niespodziewanej deklaracji uległości. Pozostawiła mu decyzję, jak potoczy się ich historia. Rzeka wyła w nim obłąkańczo, pełna furii ciskała się brudnymi falami wstrętu i pragnienia ofiary. Podbrzusze paliło głodem, którego zaspokojenie było tak blisko. Czuł serce kobiety bijące tuż obok jego serca, jej ciepły oddech na szyi, zapach ziół i czegoś jeszcze, co było równocześnie mroczne i pociągające. Ten zapach go do niej przywiódł na początku, ten zapach nie pozwalał mu zrezygnować.

Do tej pory myślał, że to woń ofiary, która zaspokoi rzekę, ale teraz poczuł, że to on sam może zostać zaspokojony. Kobieta była silna jak on, a raczej dużo silniejsza. Nie pokonałby jej w walce, nie używając podstępów. Tak naprawdę mogła go zabić w każdym momencie, z wyjątkiem tamtej krótkiej chwili, gdy niósł ją niczym trupa przez miasto. Jednak nawet wtedy miał wrażenie, że w jakiś sposób go kontroluje. Nie potrafił przecież zadać ciosu od razu, gdy tylko znalazła się w jego mieszkaniu. Czynił nadmiernie

długie przygotowania, uzasadnione przezornością i chęcią dogodzenia rzece, ale tak naprawdę przeciągał sprawę i zrobił wszystko, by kobieta miała szansę umknąć mu spod ostrza. Nie był pewien, czy nie pamiętał tamtej nocy, bo go zaczarowała swoim spojrzeniem, czy dlatego, że nie chciał dłużej jej ścigać ani tym bardziej oddawać rzece. Tylko że ona wróciła i teraz leżała na nim miękko jak kotka, gotowa, by go zaspokoić kolejny raz. Nie rozumiał, po co to robiła. Nie dostrzegał w sobie niczego, co mogłoby zafascynować tak potężną istotę. Była tu jednak i czekała na jego ruch. Powoli uniósł prawą rękę i pogładził łuk jej białej szyi. Kobieta wyprężyła się lekko, podążając za tą pieszczotą.

\*\*\*

– Jestem estrią. – Przechadzała się nago po miękkim, wełnianym dywanie salonu, podchodziła do półek, brała do ręki bibeloty i fotografie. – Przez ostatnich kilka wieków przybierałam różne ludzkie imiona. Teraz jestem Iną, ale urodziłam się jako Regina Anastazja Zebrzydowska. Szlachectwo znowu stało się modne w ostatnich czasach, ale niewiele wie, kim była kobieta nosząca to imię cztery wieki temu.

Roześmiała się cicho. Łowca, także nagi, siedział w fotelu, patrzył na nią, mrużąc lekko oko. Istota przyciągała jego wzrok, właściwie mógłby tak siedzieć bez końca, śledząc jej płynne ruchy, gdy podchodziła do kolejnej półki, jej naprężone mięśnie, gdy stając na palcach, sięgała po stojącą wysoko książkę lub fotografię.

– Czytujesz artykuły o wampirach? Doprawdy zaskakujesz mnie, mój słodki. – Ina odwróciła się, trzymając wymięte czasopismo, jej oczy błyszczały dziwnie. – Więc chciałeś wbić we mnie obrzydliwy osikowy kołeczek? Co za bzdury, kto w ogóle wymyśla takie rzeczy? No oczywiście, gdybyś dobrze trafił, mógłbyś osłabić moje biedne, stare serce na jakiś czas, ale niewiele by to pomogło.

Łowca znieruchomiał w swoim fotelu. Jeszcze parę dni temu szykował się do wykończenia jej, a teraz drżał na myśl, że mogłaby nie tyle go zabić,

co po prostu wyjść i nigdy więcej nie wrócić.

– Wiem, że mi nie odpowiesz, i szczerze mówiąc, nawet mnie nie obchodzi, co chciałeś zrobić. – Jej głos świdrował mu mózg lodowym wiertłem. – Zapomnijmy o tym. Światło mnie nie zabija ani żadne inne głupie metody, które chciałeś na mnie wypróbować. Po prostu lubię nocne życie. No dobrze, trochę skłamałam. Światło spali moją skórę i oszpeci mnie na trochę. Nie umiem tak szybko regenerować oparzeń jak innych ran, ale nie umrę, po prostu będę brzydka, a uroda bardzo mi pomaga w zdobywaniu pokarmu. Dlatego śpiam w dzień.

Nagle się rozluźniła. Na jej wargach zadrżał ironiczny uśmiešek. Podeszła do niego i jakby to było całkiem zwyczajne, usiadła mu na kolanach.

– Moja historia jest dość długa. Jeśli chcesz poznać sposób zgładzenia mnie, musisz poświęcić mi noc lub dwie. Kiedy skończę mówić, podejmiesz decyzję, a ja się zgodzę. – Cichy, smutny głos owiewał mu ucho ciepłym oddechu, smukłe dłonie wędrowały po splotach blizn na piersi, jakby to była mapa jego życia. – Dziwisz się pewnie, czemu oddaję swoje istnienie w ludzkie ręce. Jestem zmęczona ciągłą walką, a poza tym przeżyłam tak wiele, że może czas się poddać. Nie mam ochoty oglądać kolejnych, coraz słabszych pokoleń ludzkich dzieci, które wykańczają się nawzajem.

Tyle że dotąd nie było wśród was żadnego godnego mnie choćby dotknąć, nie mówiąc o podarowaniu końca. Omalże nadajesz się do tej roli, a twoje milczenie ułatwia mi opowiedzenie o tym, co mnie spotkało. Na koniec zdradzę ci, jak skutecznie odesłać mnie tam, skąd przyszłam.

Łowca słuchał płynącego potoku słów, jego oddech stał się równy i spokojny. Pierwszy raz, odkąd usłyszał głos rzeki, miał w głowie taką ciszę. Rzeka czasem milczała, ale teraz wycofała się, pozwalając mu zanurzyć się w tej opowieści. Nareszcie był tylko on i istota szepcząca o sobie.



## Rozdział II

Urodziłam się w potężnej, religijnej rodzinie z długą tradycją wspierania kościoła i walki w jego obronie. Mój dziadek, Mikołaj Zebrzydowski, wielki marszałek koronny, a potem wojewoda krakowski, był zapaleńcem we wszystkim, co robił. Po nieudanym rokoszu przeciwko królowi Zygmuntowi III Wazie całkowicie wycofał się ze świeckiego życia i zwrócił ku Bogu. Ufundował na wzór jerozolimski Kalwarię Zebrzydowską, by na ścieżkach Golgoty zgłębiać mękę Chrystusową.

Nie bardzo go pamiętam. Umarł, kiedy miałam trzy lata. Bardziej pamiętam kalwaryjskie dróżki, które w dzieciństwie służyły mi za plac zabaw, co powodowało nieustanne zgorszenie całej rodziny, a zwłaszcza ciotek zakonnic, sióstr mojego ojca, który choć także pobożny, pozwalał mi na dużo; szczególnie że mateczka zmarła w tym samym roku co dziadek. Ojciec całe życie rozbudowywał jego dzieło, wkładając w to serce i umysł. Był surowym człowiekiem, zwłaszcza dla moich braci, których wiecznie strofował i łajał, a nawet bił, gdy uznał, iż tego wymaga ich moralny rozwój. Za karę jako dzieci musieliśmy w nieskończoność odmawiać różaniec. Ojciec powtarzał, że właściwie jest to nagroda i że już teraz wymadlamy sobie drogę do nieba.

Matka jawi mi się jako świetlisty anioł. Pamiętam, jak cesała włosy przed ogromnym lustrem w alkowie; mogłam godzinami stać i patrzeć na przelewający się przez jej dłonie jedwab ciężkich splotów. Płakałam za nią bardzo, bo tak naprawdę wychowywała mnie ona, a nie mamka, co było zwyczajem w możniejszych rodzinach.

Ojciec nie wytrwał długo w żałobie i ożenił się z Ewą Katarzyną Warszycką. Macochę z początku bardzo polubiłam, była miła i często poświęcała nam, dzieciom, czas, zabierając na przejażdżki powozem albo

na targ do Kalwarii. Gdy jednak kolejny rok mijał, nie dając jej upragnionego potomka, zaczęła patrzeć na nas mniej przychylnie; a zwłaszcza na mnie, gdyż przypominałam ojcu moją zmarłą matkę i często o tym mówił przy gościach, chwalać się mną i wywyższając ponad rodzeństwo.

Powiesz, że to banalna historia. Też tak czasem myślę, ale w dniu, gdy macocha oświadczyła, że idę do zakonu pod opiekę ciotki Gryzeldy vel Teresy od Świętych, pomyślałam, że po prostu umrę, jak dziadek i matka. Położyłam się wieczorem do łóżka, po długich jak na mnie modlitwach oraz generalnym rachunku sumienia, i czekałam na anioła o złotych skrzydłach, który łaskawie zanieś mnie do mamy. Miałam szesnaście lat i od ponad roku nadawałam się do macierzyństwa, ale wiara w sprawiedliwość boską i anioły nadal była we mnie potężna. O świcie jak zwykle obudził mnie codzienny rumor dobiegający z kuchennych pomieszczeń.

Było lato, ciepłe i suche. Przez szparę w kotarze wlewały się pierwsze różowe promienie. Srogo zawiedziona anielską opieszałością postanowiłam dłużej nie czekać, tym bardziej że wyjazd do klasztoru klarysek był zaplanowany na wczesne przedpołudnie. Macocha – zła na mnie za moje wiecznie podarte pończochy, wystrzępione sukienki, potłuczone kolana i inklinacje do zabaw z braćmi większe niż do modlitewnika i haftu – domyślała się chyba, jak zareaguję na próbę zamknięcia w klasztorze o bardzo ścisłej regule, więc chciała mnie tam odesłać pod nieobecność papy. Nie guzdrając się dłużej, spakowałam w chustkę drugie buty i zapasowe pończochy. Zbiegłam do kuchni, gdzie bez większego trudu podkrađłam gomółkę sera i kawałek chleba, równocześnie zagadując kucharkę i pijąc świeżo udojone, jeszcze ciepłe mleko. Z obejścia, niezauważona przez nikogo, wyszłam tak jak zwykle: przez stajnie oraz sad. Strach dodał mi skrzydeł. Przez pół dnia gnałam przed siebie bez żadnego planu. W końcu

padłam na kopkę siana na ukwieconej łączce. Byłam głodna i skonana. Zjadłam swój złodziejski łup, a potem usnęłam.

Obudził mnie chłód przedświt. W brzuchu burczało mi niemiłosiernie. Rozgrzałam się, biegnąc dalej przez las, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność, a na dodatek pokrywał wzgórza i dolinki, co wkrótce spowolniło moją wędrówkę. Już po godzinie wlokłam się głodna i zmęczona.

W końcu trafiłam na polną drogę, która zawiodła mnie do małego przysiółka: ot, parę rozpadających się chałup. Z komina jednej z nich snuła się cieniutka strużka dymu. Chaty otaczał sad pełen bzyzcących os wgryzających się w spadłe papierówki. Podniosłam jabłko i schrupałam je szybko, a potem następne i kolejne. Właśnie kradłam kilka na drogę, gdy drzwi chałupki uchyliły się i ktoś wykopał z krzykiem małego czarnego psa. Kundelek przekoziółkował, wstał, otrząsnął się, po czym ruszył w moją stronę, szczerząc i warcząc na przemian. No to wpadłam w pułapkę – przemknęło mi przez głowę – zaraz ktoś mnie złapie na złodziejstwie. Niewiele myśląc, opróżniłam chustę z jabłek i bardzo powoli zaczęłam cofać się w kierunku lasu; ale psiak nie odpuszczał, szczerzał coraz głośniejsze najeżył się cały – chyba zamierzał skoczyć mi do gardła. W tym momencie ciemna postać wyłoniła się z chałupy i poczęła do nas zbliżać.

– Czarny, kogoś tam upolował, piesku? – zachrypiał męski tubalny głos. – O, dzierlatka, a to nam się trafiło. Chyba dostojna panna jakaś, bo strojnie ubrana pod warstwą kurzu i liści – kontynuował mężczyzna, idąc wolnym krokiem, tak jakby podkradał się do płoczej sarny.

Miałam w głowie kompletną pustkę, nie mogłam się ruszyć, a gardło wyschło mi na wiór. Potem moją wyobraźnię zalały obrazy gwałtu i przemocy, zaś moje nozdrza – smród potu, dymu, gówna i brudnych szmat, w które tamten był odziany. Pies odsunął się, robiąc swojemu panu przejście, a potem podkulił ogon i uciekł, zapewne obawiając się kopniaka.

– Ja tylko... – wydusiłam z siebie rozpaczliwie. – Ja chciałam... o drogę zapytać i...

– I ukraść moje jabłka – dokończył oprych, sięgając po wiszący na mojej szyi herbowy medalion z miniaturką mateczki w środku. – A teraz ja wezmę twoją własność – wychrypiął, oblizał wargi i szarpnął mocniej, urywając łańcuszek. – Panna Zebrzydowska, sama, daleko od tatusia, to mi się trafiło – wymruczał spod zarostu pokrywającego mu pół twarzy. – Choć tu, turkaweczko, zaopiekuję się tobą jak nikt. – Zaśmiał się chrapliwie i żelaznym chwytem ścisnął moje ramię.

Ze strachu nawet nie pisnęłam, kiedy zawlókł mnie do chałupy, otworzył klapę w podłodze z gnijących desek pokrytej starą słomą i zepchnął do ciemnej dziury, która okazała się za niska, by w niej stanąć, i za mała, by się swobodnie położyć. Mogłam tylko skulić się na stercie cuchnących szmat, z każdą mijającą godziną cierpnąc coraz dotkliwiej.

Najgorsza była pierwsza doba, kiedy brzuch skręcał się z głodu, wargi skleiło pragnienie, a pęcherz w końcu się poddał. Nie wołałam o pomoc, bo i po co. Mój prześladowca gdzieś pojechał. Wcześniej słyszałam rzenie konia dochodzące zza domu. Zabrał też chyba ze sobą kundelka, bo zapanowała całkowita cisza. Wraz z upływającymi niemiłosiernie wolno w całkowitej ciemności godzinami zmysły zwodziły mnie coraz bardziej i pojawiły się majaki. Matula moja jako dobry anioł tuliła mnie do piersi niby maleńkie dziecię i zaczęłam się w tym ni to śnie, ni jawie zapadać jak w puchowej pierzynie.

Mój ciemiężca wrócił po jakichś dwóch dniach. Obudził mnie chluśnięciem wody z cebrzyka. Potem wywlekli mnie do izby – on i jakaś wiejska baba, gruba i tak brudna, że nawet mój własny smród nie mógł zabić fetoru bijącego od niej. Baba na siłę wlała mi do gardła papkę na mleku zaciągniętą mąką, a potem zdarła ze mnie uwalane ubranie, każąc oblec się w łachmany pełne łat i pcheł. Jej kompan skrępował mi ręce i nogi powrozem, wepchnął szmatę do ust, zawiązał drugą, a potem wrzucili mnie

na tył drabiniastego wozu, gdzie pod sianem krył się schowek z desek służący do przemytu.

Droga wlokła się niemiłosiernie, upał dokuczał coraz bardziej, pył i drobinki siana wdzierały się do nosa, szmata dławiła, a głową wciąż obijałam się o deski mojego małego więzienia. Nie wiedziałam, dokąd jedziemy, ale usłyszałam to i owo. Wprawdzie zbir mówił cicho, chyba celowo pilnując, by nic do mnie nie dotarło, za to baba od czasu do czasu rozwierała jadaczkę tak głośno, że głuchy by usłyszał. W końcu została uciszona, chyba kuksańcem, bo potem dolatywało do mnie już tylko ciche chlipanie.

Niemniej z wrzasków grubaski domyśliłam się, że interes nie poszedł po ich myśli. Tatki nadal nie było w domu, a macocha nie chciała dać ani talara, chyba że przyniosą jej moje serce wyłuskane z piersi. Baba była skłonna dokonać tego niecnego czynu, ale zbójca wpadł na lepszy pomysł. Szeptał coś o bogatym, zagranicznym kupcu w Krakowie, o moim dzieciństwie oraz o rzeczach, których wtedy kompletnie nie rozumiałam, ale strach mnie i tak obleciał nielichy. Baba zdaje się też miała ograniczoną wiedzę na ten temat, w końcu jednak przemówił do niej opis stada psów goniących za suką w rui. Do mnie też przemówił i gdyby nie ręce skrępowane za plecami, pewnie osobiście przegryzłabym sobie żyły.

Czego ja się głupia spodziewałam, uciekając z domu? Nawet teraz, po tylu wiekach, nie rozumiem swojej naiwności. Myślałam może, że pobędę w lesie ze dwa dni, a potem z Krakowa wróci tatko, wezwany przez macochę, która pchnie po niego kuriera na najlepszym koniu, i tenże kochany tatko znajdzie mnie szybciotko, przywiedzie do domu i już nigdy nie zostawi na łasce tej czarownicy, nie mówiąc o posyłaniu do klasztoru? Przeliczyłam się srodze. Nawet w najgorszych fantazjach o Ewie Katarzynie nie wyobrażałam sobie, że jest zdolna do takiej podłości. Nadal miałam iskierkę nadziei – w końcu nie utrupili mnie jeszcze, a tatko pewnie był już w drodze do domu, może nawet minęliśmy się z nim na trakcie. Na

pewno przeprowadzi dokładną indagację macochy oraz służby i natychmiast rozpocznie poszukiwania.

Dopiero po kilkuset latach dowiedziałam się prawdy, grzebiąc w różnych historycznych dokumentach z tamtej epoki. Umarłam ponoć w roku pańskim 1706 w klasztorze dominikanek w Krakowie jako siostra Dominika, będąc zgrzybiałą staruszką. Znalazłam też list od macochy do tej drugiej mnie z lata 1633 roku, w którym poza banalną wymianą plotek zobowiązywała Dominikę-Reginę do dotrzymania umowy i milczenia w wiadomej sprawie w imię dobra mojego, jaśnie wielmożnego pana Zebrzydowskiego oraz inszych bliskich mi osób, które ucierpieć mogłyby srodze wskutek mojego gadulstwa. Przypuszczam więc, że Dominika od dominikanek musiała być młodą chłopką, na tyle do mnie podobną, by po dwóch latach pobytu w klasztorze wszelkie różnice dało się wytłumaczyć marną dietą, zimnymi posadzkami, licznymi modlitwami i naturalnymi zmianami, które u nastoletniej panny mogą przebiegać dość gwałtownie. Posag mój podzielono pewnikiem między klasztor a jej rodzinę, co przypieczętowało milczenie zarówno chłopów, jak i przeoryszy, która nie mogła być aż tak naiwna, by pomylić nieociosaną dziewczuchę ze szlachcianką z zacnego rodu. Nie wiem, czy tatko odwiedził klasztor, tak jak zapowiedziano w liście; nie znalazłam na to żadnego dowodu. Niemniej wiedza, że padł ofiarą podłych manipulacji macochy, przyniosła mi niejaką ulgę po tych wszystkich latach, gdy żalność mnie ogarniała okropna na myśl, że nie szukał jedynej córki. Wtedy jednak, tłukąc się o deski przemytniczego schowka, nadal łudziłam się i nasłuchiwałam tętentu końskich kopyt. Niestety wszystkie wozy i pojedynczy jeźdźcy mijali nas, zamieniając najwyżej „szczęść, Boże” z woźnicą lub krótko rozpytujac o drogę na Kalwarię.

Dojechaliśmy, gdy zapadała bezksiężycowa, czarna noc; biorąc pod uwagę zbliżające się za około dwie niedziele letnie przesilenie, musiało być koło północy. Kołysząca się przy wozie latarnia rzucała chwiejne smugi

światła. Miejsce naszego postoju, spowite mrokiem, położone – jak się potem dowiedziałam – w kamieniołomie otoczonym lasem, wywarło na mnie upiorne wrażenie. O skalną ścianę opierała się sklecona z nieociosanych sosnowych bali chata pozbawiona okien, z jedną parą drzwi i wąską izbą, która służyła za przedsionek labiryntu jaskiń.

Podczas gdy baba wywlekała mnie z wozu, zbój wyprzągnął konia i owinął mu kopyta szmatami, a następnie uwiązał do palika tuż koło wejścia, dał wody w beczce i podwiązał worek z obrokiem. Potem we dwójkę zaciągnęli mnie do jaskini. Zapaliwszy pochodnie, zaryglowali okute drzwi na solidną sztabę. Dopiero wtedy przecięli więzy, tak jakbym była groźnym olbrzymem, a nie lichą dziewczuszką, głodną i wymęczoną podróżą. Czarny piesek, który milcząco znosił podróż, pojawił się u nóg swego pana i powitał nowe miejsce głośnym szczekaniem oraz merdaniem ogona; widać nieraz tu bywał i na dodatek nieraz pewnie oberwał, bo świetnie wiedział, że zanim drzwi nie zostaną zamknięte, mordy drzeć nie należy.

Upadłam w brudną słomę. Ręce i nogi wydały mi się całkowicie martwe. Po chwili czucie wróciło mrowieniem, a potem bólem. Tamci czekali cierpliwie, aż się pozbieram; widać nie chciało im się wlec mnie całą drogę. Wyciągnęłam z ust knebel, tkwiący tam już tyle godzin, że stał się kawałkiem mnie, jak język i zęby. Na to zuchwalstwo także nikt nie zareagował. Baba dała mi lekkiego kopniaka, żebym się podniosła, a zbir wyciągnął w moim kierunku bukłak z wodą. Wstałam, przytrzymując się ściany, w oczach mi się ćmiło. Ciepła woda z bukłaka śmierdziała źle wyprawioną skórą, ale smakowała wybornie. Baba wyrwała mi go jednak, ledwie wypłam kilka łyków.

- Miarkuj się, małpo, bo zachorasz na wątpia – burknęła.
- Pójdziem. – Zbir ruszył, nie oglądając się na nas i zabierając ze sobą jedyną pochodnię.

Poszturchiwana przez grubaskę, człapałam za szybko oddalającym się blaskiem, który chwilami całkiem znikał z oczu za jakimś zakrętem. Korytarz opadał coraz niżej, ze ścian spływała wilgoć, trzęsło mną niemożebnie z zimna i zmęczenia. Jaskinie były ogromnym podziemnym labiryntem, choć wydaje mi się, że częściej skręcaliśmy w lewo niż w prawo, tak jakbyśmy chodzili w koło. W końcu, gdy przemarzałam na kość, baba, okropnie zadyszana, zatrzymała się, odgarnęła grubą materię zasłaniającą przejście. Weszliśmy do obszernej okrągłej sali, wypełnionej światłem świec i ciepłem bijącym z centralnie położonego paleniska, nad którym ziała czarna dziura wsysająca dym. Ściany pokrywały kosztowne z wyglądu gobeliny, a kamienną polepę zarzucono miękkimi skórami, w których moje bose stopy zanurzyły się z błogością. Sześcioramienne żyrandole zwisały w pięciu miejscach. Połączone sznurami monet odbijających blask płomieni, tworzyły pięcioramienną gwiazdę wpisaną w okrąg, gwiazdę Isztar, jak mi potem powiedziano. Obecnie panuje na ten znak niezrozumiała moda, wtedy był jednym z wielu alchemicznych symboli, o których dobra krześcijanka nie miała pojęcia.

Baba popchnęła mnie w kierunku murowanego paleniska, nad którym wisiał wielki kocioł z potrawką. Zapach był oszałamiający, dominowały w nim aromaty dziczyzny i ziół. Po chwili trzymałam glinianą miche i drewnianą łyżką, nie zważając na ból, pakowałam do ust zbyt gorące jedzenie. Grubaska tylko łypała na mnie, ale nie rzekła ani słowa o moich wątpiach. Dała mi za to solidny kawał ciemnego chleba.

Wokół, oprócz trzaskającego w palenisku drewna, panowała nienaturalna cisza; nasz przewodnik nie pojawiał się, nikt inny także. Pomyślałam, że może jakoś dam radę uciec, jeśli nikogo więcej tu nie ma. Może nocą stracą czujność, popiją się albo przynajmniej mocno zasną zmęczeni podróżą. Jeśli nie wydobanę się z tych jaskiń, to na pewno nikt mnie nie uratuje. Tylko jak odnaleźć drogę w labiryncie?



Te niewesołe myśli przerwało mi pojawienie się zakutanej postaci. Nie zauważyłam ani nie usłyszałam jej przyjscia, dopóki nie dotknęła mojego ramienia. Pusta już miska spadła mi z kolan, a serce podeszło do gardła. Postać – trudno stwierdzić kobieta czy mężczyzna, dorosły czy dziecko – była niewysoka i drobnej postury, lekko przygarbiona. Twarz zasłaniały opadające luźno długie ciemne włosy oraz kawałek szmaty, tak że widziałam tylko świdrujące mnie spojrzeniem skośne czarne oczy. Sylwetka, zniekształcona warstwami odzienia, pozszywanego chyba z różnych części garderoby i ufarbowanego na bury kolor, także nie dawała żadnych wskazówek. Miękkie skórzane buty ułatwiały bezszelestne poruszanie się, nawet w miejscach, gdzie posadzka nie była zaścielona skórą.

Baba na widok przybysza mruknęła coś pod nosem, splunęła w ogień i przeżegnała się szybko, a potem potruchtała w kierunku jednego z gobelinów, który skrywał kolejne przejście. Zniknęła w nim bez słowa, zostawiając mnie na łasce Onego, jak nazwałam w myślach stojącą obok mnie istotę.

Ono gestem nakazało mi podążyć za sobą. Przeszliśmy przez kolejny otwór, także zasłonięty gobelinem z wyszytym zieloną nicią znakiem odwróconego trójkąta z odciętym linią dolnym wierzchołkiem. Obrzeża zdobiły wizerunki nagich kobiet i kozła, które wtedy wydały mi się nie do końca zrozumiałe; zresztą nie zdążyłam się im dokładniej przyjrzeć.

Krótki niski korytarzyk rozwidlił się i jego lewa odnoga doprowadziła nas wkrótce do sali z kolejnymi wejściami, przypominającej wystrojem domowy babiniec. Na środku dymiło małe palenisko, otoczone masą siedzisk, otomanek, puf zasłanych poduchami i pledami. Widać kobiety spędzały tu wspólnie czas, choć teraz żadnej nie było. Przeszliśmy do innej sali, gdzie z dużej ustawionej na środku balii buchała para, a pod spodem żarzyły się węgle, podtrzymując temperaturę wody. Ono dało mi na migi znać, że mam się rozdziać i wykapać, co zrobiłam z prawdziwą rozkoszą.

Bezpłciowość tego stworzenia była tak oczywista, że nie czułam najmniejszego skrępowania, rozbierając się przy nim, a potem pozwalając szorować w pachnącej werbeną, lawendą i rumiankiem wodzie.

Po kąpieli dostałam pucharek z miodowym napojem zaprawionym ziołami i padłszy na wskazane legowisko w jednej z licznych salek służących za sypialnie, natychmiast pogrążyłam się we śnie. Rojenia o ucieczce stały się bardzo odległe i mgliste, ciało pragnęło tylko kojącego ciepła miękkich piernatów, a umysł odpłynięcia w majaki, których głównym sprawcą był najpewniej ów tajemniczy płyn.

\*\*\*

Nie było mi dane dobudzić się przez wiele następnych godzin, które stały się dniami. Ono przynosiło co jakiś czas kolejne kubki dziwnych mikstur i wlewało mi je do gardła, a ja nie miałam siły się bronić. Próbowałam coś powiedzieć, ale tylko bełkotałam niezrozumiałe nawet dla mnie frazy, tak jakby obcy duch zawładnął moim językiem. Chciałam podnieść rękę, lecz choć byłam przekonana, że to robię, ona nadal spoczywała na moim brzuchu, coraz bledsza i słabsza.

W tamtym czasie majaki senne wywołane narkotycznymi napojami przeplatały się z okresami całkowitej nieświadomości i momentami, kiedy moja dusza, oddzielając się od ciała, szybowała po jaskini niby ptak. Z góry widziałam swoje mizerne ludzkie ciało, coraz bardziej bezwolne, coraz słabsze z powodu bezruchu i braku jedzenia. Nie czułam jednak głodu, nie czułam nic, oprócz dojmującego smutku, że żegnam się powoli z życiem, pomieszanego z prawie euforyczną radością płynącą z obecnej wolności. Nie wiedziałam, czy to, co widzę, jest do końca prawdziwe, choć potem okazało się, że faktycznie odwiedzane przeze mnie komnaty istniały, a nawet wyglądały podobnie. Musiałam więc wędrować bezcieleśnie po tym dziwnym miejscu.

Oglądałam liczne pomieszczenia, których przeznaczenie nie zawsze było dla mnie zrozumiałe. Był tam skarbiec wypełniony najróżniejszymi

bogactwami, klejnotami, złotą zastawą, bronią, której nazw nie znałam, zbrojami, gobelinami, posągami, dziwnymi trumnami w kształcie człowieka oraz mnóstwem drobiazgów o niejasnym zastosowaniu. Ale najbardziej zdziwiła mnie kolekcja złotych i srebrnych krzyży, zajmująca około jednej czwartej całej komnaty. Tak jakby ktoś splądrował sto wspaniałych świątyń.

Ze skarbca trafiłam do bogato zaopatrzonej spiżarni, w której sznury kielbas i połcie wędzonego mięsa sąsiadowały z beczułkami miodu, wina oraz piwa, gomółkami serów, bochnami chlebów, koszami owoców i warzyw, dobrze mi znanych, a także takich, których nigdy dotąd nie widziałam, workami suszonych specjałów, ziół wszelakich, a nawet wyschniętych płazów, żab, węży, różnych żuków, szarańczy i innego ohydztwa. Ktoś szykował się chyba na jakieś święto.

Jedną z większych komnat była biblioteka połączona z gabinetem i sypialnią, z której przejście wiodło do najdziwniejszego pomieszczenia, jakie odwiedziłam w swojej duchowej postaci, pełnego szklanych naczyń, alembików, kolb, menzurek, woreczków z różnymi proszkami, pudełek z maściami, metalowych narzędzi o wymyślnych kształtach, słoików z makabryczną zawartością, jak zakonserwowane ludzkie płody, martwe żaby, mózgi wyłuskane z czaszek, nie mam pojęcia, zwierzęcia czy dziecka, a także przedmiotów, których nijak nie umiałam nazwać, sklasyfikować ani zgadnąć, do czego służą. Na środku królował stół wypełniony po brzegi skomplikowaną szklaną aparaturą, a pod ścianą stał wygaszony piec. Oczywiście nie mogłam niczego wziąć do ręki, powąchać czy posmakować, ale to chyba nawet lepiej, bo gdybym podjęła się takiej próby w swojej normalnej postaci, mogłabym jej nie przeżyć.

W mojej wędrówce czasem następowały nagłe przerwy. Byłam gdzieś, a za chwilę znowu unosiłam się nad swoim ciałem lub gwałtownie zapadałam w ciemność. Nie mogłam zrozumieć, czemu tak się dzieje, choć z drugiej strony nie było to bardziej szalone niż reszta moich doświadczeń.

Nie dawało mi to jednak spokoju, do czasu aż w jednej z komnat, której mieszkanką musiała być kobieta – odkryłam mnóstwo pięknych sukien, płaszczy, butów, peruk, chust, szali, pończoch, pachnideł, czernideł, srebrnych grzebieni, puzderek, futer z dzikich zwierząt, koronek i wreszcie jedwabi – w lustrze mignęła mi zakutana postać Onego. W tym samym momencie, kiedy odwróciłam się, o ile dusze mogą to uczynić, znalazłam się na powrót w swoim ciele. Przekonałam się potem, że działa to także w przypadku spotkania czarnego kundelka, który błąkał się po jaskini podobnie jak ja. Widać jakaś siła chroniła mnie przed odkryciem przez żywe istoty, choć sama nie byłam jeszcze martwa – raczej egzystowałam na granicy światów.

Trudno mi jednoznacznie orzec, czy te wędrówki zaplanowało dla mnie Ono, czy też były one ubocznym skutkiem przygotowanych przez nie specyfików, o którym nie miało pojęcia. Obie koncepcje wydawały się prawdopodobne, nie mogłam jednak ze zrozumiałych względów wykluczyć ani potwierdzić żadnej z nich. Na rzecz celowości przemawiał fakt, iż mimo podjęcia przeze mnie kilku prób nie byłam w stanie przejść przez gobelin, za którym otwierał się korytarz labiryntu prowadzący ku wolności. Nie wiem, czy coś by mi to dało, ale imaginowałam sobie, że przynajmniej nauczę się wszystkich zakrętów, by po odzyskaniu ciała i sił zbiec z jaskini. Z drugiej strony może sam gobelin ograniczał moją wolność; symbol trójkąta rozświetlał się za każdym razem, gdy moja dusza zbliżała się do niego. Widać znak ten czynił materię nieprzenikalną dla duchów. Inne gobeliny nie stanowiły przecież dla mnie żadnej przeszkody.

Teorię tę ugruntowało jeszcze jedno zdarzenie, do którego doszło, kiedy zwiedzałam po raz drugi pomieszczenie za biblioteką. Miejsce to przyciągało mnie i odpychało równocześnie. Często kręciłam się po samej bibliotece, ale bałam się przekroczyć tamte drzwi – jedyne w całej tej pieczarze ze snów; ani skarbiec z licznymi precjozami, ani biblioteka pełna cennych woluminów, wartych kilka wsi każdy, nie były tak chronione jak

owo pomieszczenie. Krążąc po nim po raz drugi, zauważyłam, że jeden z kredensów wypełnionych makabrycznymi słojami jest lekko odchyłony od ściany. Wędrowka pod postacią duszy miała jeszcze jedną zaletę: nie potrzebowałam światła, by wszystko widzieć, mimo najczarniejszych ciemności. Zajrzałam więc w szczelinę i zobaczyłam korytarz. Już miałam się do niego wślizgnąć, kiedy tuż przede mną rozbłysnął taki sam znak jak na gobelinie prowadzącym do labiryntu. Wisiał po prostu w powietrzu, a jednak pohamował mnie skutecznie, czego nie sprawiły wcześniej masywne dębowe drzwi. A więc nadal byłam w pułapce.

Pomyślałam także o tym, że skoro przenikam przez materię gobelinów, a nawet przez solidne drewno, to może udałoby mi się przeniknąć na wskroś przez wszystkie warstwy skały nade mną i pokrzyżować nad okolicą, by lepiej zorientować się w położeniu tego miejsca. Szybko okazało się, że jest to niemożliwe. Kiedy próbowałam wejść w ścianę, ta odpychała mnie od siebie. Później, po bliższym zbadaniu, odkryłam, że ściany, sufit i podłoga pokryte są bardzo drobną siateczką szarych nitek, podobną do pajęczej sieci, która miast łapać, odrzucała intruza. Widać i tu użyto jakiejś magii, może słabszej niż przy wyjściach, ale przez swoje zagęszczenie równie skutecznej. Jednym słowem tkwiłam jak owad w sieci i nawet „duszna” wolność na niewiele się zdała – mogłam tylko słabnąć z dnia na dzień, czekając na lekką śmierć lub inne, dużo gorsze rzeczy, o których wolałam nie myśleć.

Nawiedzające mnie majaki senne nie były zbytnio urozmaicone; głównie jawiły mi się lata wczesnego dzieciństwa, bez troski, pełne słońca i matczynej troski. Mateczka bowiem, nie bacząc na swoje pochodzenie oraz pozycję, sama się nami zajmowała, troszczyła o nasze dobro, zapewniała wygody, pomagała nam, a nade wszystko kochała nas całym sercem, przeto spędzała z nami każdą wolną chwilę. Owszem, mieliśmy służbę, mamki i niańki, ale to ona budziła mnie rano, a wieczorem kołysała do snu. Pograżałam się więc w tych rojeniach bez lęku, nawet

tęskniłam za nimi, krążąc bezcielesnie po jaskini. Zdawałam sobie sprawę, że to ułuda, rodzaj pułapki, bo nic nie wróci mi kochającej matki i czasu, który mogłabym z nią spędzić, gdyby nie umarła przedwcześnie. Brakowało mi jednak jej przez całe życie i gdybym miała opisać raj, tak by właśnie wyglądał.

Któregoś dnia moje sny zmieniły się: zamiast anielskiej twarzy mamy ujrzałam zimne oblicze macochy, która przyglądała mi się z daleka, taksując wzrokiem, jakby oceniała, czy się nadaję. Nie miałam jednak pojęcia, do czego mam się nadać. Pod wpływem tego spojrzenia lęk zakradł się do mego serca i ścisnął je niczym wąż ofiarę. Z całej siły pragnęłam się obudzić, ale daremnie; więc musiałam dalej wpatrywać się w oczy macochy, które stopniowo stawały się oczami całkiem innej, obcej mi kobiety. Trwało to bardzo długo, a ja umierałam z przerażenia sianego w moim umyśle przez tę wrogą obecność, sondującą moje pragnienia, lęki, tajemnice i uczucia; wreszcie kobieta mrugnęła, tym samym uwalniając mnie z uwięzi spojrzenia. Dostrzegłam wtedy, że jej twarz nie jest obliczem macochy, ale istoty pięknej w sposób zapierający dech, a równocześnie złej i ponurej. Kobieta mrugnęła po raz drugi i zniknęła z mojej głowy, a ja złana potem obudziłam się tym razem na dobre.

Z oddali dobiegał melodyjny głos, ale słowa były dla mnie tylko obco brzmiącymi dźwiękami; nigdy dotąd nie słyszałam takiego języka. Chwilę potem, wypełnioną narastającym niepokojem i daremnymi próbami podniesienia się choćby na tyle, by zobaczyć wejście do mojej komnatki, opadłam z rezygnacją na przemoczoną pościel, ciężko dysząc. Zamknęłam oczy. Postanowiłam czekać, gdyż i tak nie mogłam uczynić nic więcej. Kiedy je otworzyłam, nade mną ciche niby cień stało Ono.

\*\*\*

**M**oje ciało było workiem oblekającym grzechoczące kości, kończyny gałęziami płaczącej wierzby, skóra lepiała się od potu, niemyta od Bóg raczy

wiedzieć ilu dni; piękne długie włosy posklejane w tłuste strąki wydzielały mdlącą woń.

Ono zajęło się po kolei każdym fragmentem mojego wyczerpanego ciała. Długa kąpiel w gorącej aromatycznej wodzie, potem krótka w lodowatej, nacieranie szorstkim płótnem, a następnie mój pierwszy w życiu masaż, choć wtedy nie znałam ani tego słowa, ani zabiegu, skutecznie przywracający do życia skórę, ścięgna i mięśnie. Owinięta w bardzo długi pas delikatnej białej bawełny, który okrył wszystkie moje członki, zostałam znowu napojona jakąś miksturą. Nie broniłam się – bo co da sprzeciw, skoro tamta kobieta potrafiła tak po prostu wejść do mojej głowy? Poza tym jaki sens miałyby fizyczny opór w stanie skrajnego wycieńczenia? Miałam tylko nadzieję, że mikstura przywróci sny o matce oraz wypędzi ten okropny tępy ból połączony z nudnościami, zawrotami głowy i drżeniem mięśni.

Ono zaniósło mnie na rękach do nowego pomieszczenia, w którym znajdowało się szersze legowisko, i ułożyło delikatnie niczym kruchą porcelanową lalkę. A następnie położyło się przy moich nogach. Nasze dłonie spotkały się – to było ostatnie, co świadomie zapamiętałam.

Tym razem sen zabrał mnie w miejsce całkowicie obce, nie tyle nieznaną, co z zupełnie innego świata. Ujrzałam półnagięto młodzieńca; siedział na podłodze pokrytej jasną plecionką w pustym pokoju o dziwnych ścianach bez okien, pełnym sączącego się zewsząd delikatnego światła. Chłopak miał zamknięte oczy, a z jego ust wydobywał się jeden dźwięk, wznosząc się i opadając wraz z rytmem oddechu. Czarne długie włosy zwinięte na czubku głowy w kok przebijały dwie srebrne szpile. Śniada twarz wydała mi się obliczem anioła, taki gościł na niej spokój.

Młodzieniec wzdrygnął się nagle, jakby mnie usłyszał, a potem otworzył lekko skośne czarne oczy. Nie mógł mnie jednak widzieć, gdyż byłam samą obecnością. W tym momencie pojawiła się przed nim przepiękna kobieta, która lekko unosząc się nad podłogą, wydawała się

bardziej utkanym z mgły omamem niż żywą istotą. Nie mogłam znać ich języka, ale prawem snu rozumiałam ich śpiewną mowę pełną przeciąganych, gardłowych głosek, trochę przypominającą zawodzenie i poszczekiwanie psa.

– Widzę, adeptcie, że marzy ci się nieśmiertelność – wyszeptała kobieta.

– Tak, jasna pani, kimkolwiek jesteś – odparł.

– Jestem tą, z której wszystko wypływa, i tą, która wszystko niszczy, tą, przez którą żyjesz, i tą, dla której umrzesz, chyba że pójdziesz nową drogą.

– A którądy wiedzie ta droga i dokąd prowadzi, świetlista? – zapytał, wcale niezdziwiony, że unosząca się tuż nad podłogą istota przecudnej urody grozi mu, to znów obiecuje, na dodatek mówiąc zagadkami.

– Droga prowadzi przez twoje serce i do niego. Cena jest wysoka, a nagroda ogromna. Stracisz wszystko, a zyskasz to, czego pragniesz.

– Pragnę nieśmiertelności, ale to wiesz, pani. Jak widzisz, chcę ją osiągnąć, idąc drogą tysiąca oddechów. Razem z moim Starym Mistrzem próbujemy też zmienić cynober w złotą miksturę, która da nam sławę i wieczną młodość – odparł, pokornie skłaniając głowę.

– Młodzieńcze, możesz okłamywać siebie, ale nie mnie. Przecież nie wierzysz w te wszystkie bzdury o przemianie, pięciu elementach, złocie powstającym z niczego. Nie można oszukać natury, nie da się stworzyć czegoś wspaniałego, nie ponosząc największej ofiary. Żeby żyć wiecznie, trzeba oddać życie. Pomyśl o tym i kiedy będziesz gotowy, by poświęcić to, co najbliższe twemu sercu, wezwij mnie.

– Jak mam to uczynić?

– Będziesz wiedział, gdy nadejdzie pora.

Młodzieniec uniósł głowę, ale kobieta zniknęła tak samo bezszelestnie, jak się pojawiła.



Opuściłam dziwny pokój, ale nadal towarzyszyłam młodzieńcowi, unosząc się trochę ponad nim. Stojnie ubrany w egzotyczne szaty, przechadzał się po różowo kwitnącym sadzie z dziewczyną, a właściwie dziewczynką. Rozpoznałam w drzewach wiśnie, acz te koło mojego domu nie kwitły nigdy tak pięknie. Dziewczynka, choć odziana w sukienkę krępującą jej ruchy, biegła wśród spadających delikatnych płatków, niepomna na ponure spojrzenia rzucane jej przez młodzieńca. W końcu przypadła do niego, zdyszana i szczęśliwa.

– Najdroższy bracie, tak się cieszę, że wreszcie zszedłeś do nas z tych dzikich ostępów, gdzie spędzasz całe dni z dziwakiem Lao Tsy. Nie wracaj tam już nigdy, obiecaj mi, obiecaj. – Błagalne spojrzenie spotkało się z pochmurnym.

– Obiecuję – wyszeptał młodzieniec, patrząc na siostrzyczkę. Jego śniada twarz poszarzała, ściągnięta nagłym bólem. Zasiane w nim ziarno dojrzewało powoli. Dziewczynka niczego jednak nie zauważyła, gdyż właśnie skakała dookoła brata, nucąc radośnie.

Scena skończyła się nagle, a ja szybowałam przez chwilę w niebycie, by wylądować w pomieszczeniu zalanym światłem tysiąca świec, zwielokrotnionym pięcioma zwierciadłami ustawionymi w okrąg dookoła ogromnego łoża, a właściwie legowiska z masy kolorowych poduszek o różnych kształtach i wielkościach. Z początku próbowałam zamknąć oczy, ale dusze nie mają powiek; musiałam patrzeć. A to, co ujrzałam, nie mieściło się w żadnych znanych mi kategoriach. Nie potrafiłabym wymyślić podobnych scen nawet po opróżnieniu połowy winnych zasobów piwniczki mojego ojca.

Owszem, zdarzało mi się widywać nagie służące kąpiące się w leśnym stawku ukrytym przed wścibskim okiem, a nawet moich braci pływających w rzece bez odzienia. Patrzyłam na parzące się owce, psy, koty, króliki, a nawet konie. Nie było mi obce to, że mężczyźni różnią się od kobiet i że mężczyźni z kobietami spółkują, czasem jak zwykle zwierzęta. Pewnego

lata, jeszcze przed moimi trzynastymi urodzinami, niechcący natknęłam się na grubą Hanke, naszą pomywaczkę, dziko sapiącą w objęciach koniuszego Staśka. I dobrze wiedziałam, co robią – odsłonięte uda Hanki i włochaty tyłek mężczyzny pomiędzy nimi nie pozostawiały wątpliwości. To jednak były dziecinne igraszki w porównaniu z roztaczającym się teraz przed mną widokiem. Ponieważ nie mogłam stamtąd uciec, choć – wierz mi – próbowałam, pozostało mi tylko patrzeć.

Kolorowe poduszki służyły wielu parom, trójkom, a nawet czwórkom zupełnie nagich mężczyzn i kobiet do zaspokajania się wzajemnie w różnych konfiguracjach. Jęki zlewały się w jedno przeciągłe zawrodożenie, nieco podobne do dźwięku wydawanego przez młodzieńca chcącego osiągnąć nieśmiertelność. Widać tu osiągnano ją zbiorowo i w dużo przyjemniejszy sposób. Mimo iż ludzka masa kłębiła się i przelewała przez siebie w całkowitym zatraceniu, środek pozostawał wolny dla jednej pary.

Tworzyli ją młodzieńca dziewczyna, która chyba ledwo dorosła, i znany mi już młodzieniec. Po dłuższej chwili rozpoznałam w młodce jego siostrę. Oni także złączeni byli w miłosnym akcie. Dziewczyna miała zamknięte oczy, jej głowa opadała w tył, a całe ciało, blade i wiotkie, bezwolnie poddawało się nieco mechanicznym ruchom młodego mężczyzny. Oboje oddani tej zwykle angażującej zmysły czynności, pozostawali jakby poza nią, niby marionetki pociągane za sznurki przez niezbyt wprawnego lalkarza. Po kilku kolejnych ruchach on odchylił głowę, zawył jak zwierzę, a następnie uniósł prawą rękę, wyszarpnął z włosów długą srebrną szpilę i wbił ją dziewczynie między żebra. Konwulsyjne drgawki wstrząsały krótko jej nagim ciałem; nagle otworzyła oczy, zupełnie przytomne i pełne bólu, lecz po kilku uderzeniach serca opadła bezwładnie na poduszki.

Młodzieniec jakby skamieniał, na jego twarzy malowało się zdumienie pomieszane z cierpieniem; po dłuższej chwili wpatrywania się w martwą siostrę wyciągnął z niej szpilę, wytarł o poduszkę, by na powrót umieścić w

swoim koku. Ułożył ręce dziewczyny na jej drobnych piersiach i nakrył ją delikatnie leżącym obok białym szalem. Ponieważ z rany nie wypływała krew, dziewczyna wyglądała, jakby spała. Zdawać się mogło, że brutalny akt, którego byłam świadkiem, miał miejsce wyłącznie w mojej wyobraźni. Młodzieniec klęczał obok i wpatrywał się w twarz siostry, sam już nie oddychając.

Ekstatyczne krzyki rozlegające się wokół osiągnęły apogeum, by nagle urwać się gwałtownie, jakby obecni tu ludzie tworzyli jeden organizm. Wszystko zamarło. Dziewczyna otworzyła oczy. Młodzieniec wypuścił powietrze z dziwnym sykiem. Spojrzenia kochanków spotkały się. Młody mężczyzna zerwał się gwałtownie na nogi. Ponownie wyrwał szpilę z włosów i wbił ją sobie w gardło. Upadł, charcząc. Dziewczyna podniosła się lekko, materia zsunęła się z niej swobodnie, opadając na poduszki. Stała nad nim całkiem naga.

– Wstań – powiedziała głosem tamtej boginki obiecującej mu nieśmiertelność. – To nic nie da. Teraz tylko ja mogę zabrać ci mój dar.

Mężczyzna podniósł się powoli ze szpilą tkwiącą w gardle, wyjął ją i obejrzał ze zdziwieniem: nie znalazł na niej śladu krwi. Pomacał gardło: skóra była sucha. Uniósł jeszcze raz rękę i tym razem wbił sobie szpikulec w oko, potem w drugie, w uszy, nos, brzuch. Dźgał się zapamiętale, ale krew nie płynęła, nic się nie działo. Kłuł się dalej, jakby dawało mu to jakąś ulgę w cierpieniu. Nie dawało. W końcu opadł na ziemię, zwinął się w kłębek i bezgłośnie załkał.

– I jak ci się podoba nieśmiertelność, głupcze?

On jednak nie chciał albo nie mógł odpowiedzieć. Nie chciał też patrzeć na tego stwora powstałego z ciała ukochanej siostry – którą zdradził, poświęcając dla własnej buty – lecz o oczach i głosie tej maskary, jak ją w myślach nazywał.

We mnie też zaszła dziwna zmiana i z obserwatora stałam się uczestnikiem. Bowiem odkąd mężczyzna stracił mowę, zaczęłam słyszeć

jego myśli.

– Pożegnaj się z siostrą, jej powłoka za chwilę się ukształtuje zgodnie z moją wolą. Nie mogę przecież wyglądać jak smarkuła. Nigdy więcej jej nie ujrzysz.

On jednak nie poddał się, choć czułam, że bardzo by chciał ostatni raz popatrzeć na oblicze swojej siostrzyczki. Uparcie odwracał wzrok, mimo iż kobieta uniosła jego twarz ku sobie.

– Jak chcesz. Ja nie mam upodobania w uszczęśliwianiu głupców. Ciesz się swoim darem przez wieczność. – Zaśmiała się cicho. Puściła głowę mężczyzny i okręciwszy się lekko na pięcie, rozplynęła niby opar mgły w słoneczny dzień.

*Teraz rozumiesz, co cię czeka? Rozbłysło w moich myślach. Taką ceremonię mam przygotować dla ciebie za kilka dni, kiedy księżyc osiągnie pełnię. Ciało to tylko ciało, nawet gdy się jest przeklętą boginią, trzeba je co jakiś czas wymienić na inne. Zostałaś wybrana, sprzedana i poświęcona niby jagnię na rzeź. Istnieje jednak maleńki cień szansy, by tego uniknąć, jeśli zostanę twoim sprzymierzeńcem i jeśli mi zaufasz. Zaufasz mi? Pokiwałam w myślach głową. W takim razie musimy odwiedzić jeszcze kilka miejsc w mojej pamięci, zanim cię zbudzę.*

\*\*\*

Ten sam młodzieniec, niezmienny nawet odrobinę, choć miałam wrażenie, że jego oczy postarzały się, przecząc młodości ciała, pojawił się w mojej głowie w wielu scenach, bardziej przypominających malarskie dzieła niż realne zdarzenia.

Widziałam, jak pochyla się nad staruszką o ciele wyschniętym na podobieństwo mumii, przemywa jego wątłe członki, ubiera go i przenosi na posłanie, a potem wsłuchuje się w delikatny oddech, by wreszcie usłyszeć ostatnie słowa mistrza i złożyć jego ciało w grobie. Patrzyłam na młodzieńca, kiedy szykował się do drogi, wyruszał w nią, aż wreszcie osiągał kolejne miejsca w tej pięknej, rozległej krainie różnorodnych

krajobrazów, ostrych szczytów górskich, niebezpiecznych przełęczy, wodospadów, lasów sypiących czerwienią i złotem liści, zielonych łąk, pól zalanych wodą, gdzie drobne postacie, stojąc po kolana w błocie, schylały się pracowicie, uprawiając ryż. Krainie zamków i twierdz, małych wiosek pełnych dziwnych, otoczonych murami domów o wielu dachach, rzek, po których pływały kolorowe łodzie i stateczki, murowanych portów, kamiennych dróg, miast niby mrowiska wypełnionych wieczorem lampionami i śmiechem ludzi. Nigdzie jednak młodzieniec nie zagrzewał dłużej miejsca, nigdzie nie mógł znaleźć ukojenia dla swego smutku po stracie siostry i ujścia dla palącej duszę nienawiści do maskary, do ambicji zasianych w sercu przez mistrza, do siebie samego wreszcie.

Imał się różnych robót – z nudów bardziej, by zabić niekończący się martwy czas swojego życia, niż z potrzeby pieniędzy czy sławy. Najczęściej brał się za zajęcia, których nikt inny nie chciał się podjąć, związane z brudem, kurzem, wysiłkiem ponad siły, smrodem odchodów, zwłokami, chorobami, nieszczęściem i upodleniem ludzkim. Tak jakby starał się odkupić swój uczynek, niosąc innym ulgę i pomoc, lub jakby próbował zniszczyć swoje niezniszczalne ciało.

W końcu, poznawszy całą nędzę i biedę ówczesnego świata, zaczął się wynajmować u różnych panów; walczył dla nich, a nawet zabijał na rozkaz. A ponieważ jego podzielony kraj długo pogrążony był w wojennym chaosie, poznał wiele śmiertelnych technik odbierania oddechu, połączonych z dużym lub małym lub upływem krwi ofiary, a nawet z jej brakiem. Nauczył się lekkim dotykiem powalać mężczyzn wielkich jak góra i równie lekkim muśnięciem przywracać oddech na pozór martwym kompanom na polu walki. Zabijanie stało się dla niego czymś tak zwyczajnym jak dla innych miska ryżu, będąca nierzadko jedyną zapłatą; zresztą zapłatą zbędną, gdyż na co nieśmiertelnemu ryż, chyba wyłącznie po to, żeby odliczać dni swojej niekończącej się mordęgi.

Wojenne zajęcie także nie przyniosło mu ulgi. Opuścił więc swój piękny kraj i udał się w wysokie góry, pokryte wiecznym lodem i śniegiem, gdzie mali, śniadzi mnisi w pomarańczowych habitach podtrzymywali modłami istnienie świata. Pozostał wśród nich bardzo długo, goląc jak oni głowę. Całymi dniami obracał modlitewnym młynkiem lub machał miotłą na dziedzińcu.

Mnisi, widząc, że mężczyzna nie zmienia się, mimo upływu lat pozostając ciągle równie młodym i silnym jak w dniu przybycia, zaczęli go bacznie obserwować. Nie dostrzegli jednak niczego, co mogłoby stanowić dla nich zagrożenie. Pytali, jak udało mu się pokonać czas. Ale on nie odpowiadał, nie dał się namówić na przelanie sekretu swej mocy na papier czy zdradzenie tajemnicy mową ciała. Mnisi, po wielu próbach wydobywania zeń czegokolwiek, w końcu zaczęli odczuwać irytację, mimo iż młodzian nadal sumiennie obracał młynkiem i starannie zamykał dziedziniec małej świątyni. Poczuli o nim myśleć jak o bezużytecznej gębie do wykarmienia, choć przecież całą strawę codziennie oddawał po kolei jednemu z nich.

Zebrali się więc potajemnie, żeby uradzić, jak się go pozbyć, nie narażając jednocześnie na zemstę młodzieńca. Wyobrażenia podsuwała im obrazy demonów przybierających ludzką postać, by wypijać krew i kraść dusze. Po długich sporach, a nawet kłótniach, które były czymś zupełnie nowym w tej zgodnej mniszej społeczności, postanowili pod pretekstem prośby o przyniesienie świętego kamienia, który spadł z nieba, wysłać go w góry tak wysokie, by już nigdy z nich nie powrócił.

Mężczyzna zgodził się bez oporu, a nawet z radością, choć trudno tak nazwać blady cień uczucia, który pojawił się w jego zastygłym sercu. Wraz z nieśmiertelnością nie posiadał szczególnej przenikliwości, ale po tylu setkach lat przebywania wśród istot śmiertelnych zyskał z czasem przekonanie, iż efekty jego daru, będącego przekleństwem, nie są miłe dla oczu innych. Wśród mnichów, cichych i nieskorych do zawiści, złości czy

zazdrości ludzi, pozostawał bardzo długo, ale nawet to miejsce odepchnęło go w końcu, tak jak wszystkie pozostałe. Zebrał swój skromny dobytek w jedną sakwę i nie zwlekając, ruszył w góry.

Początkowo w ogóle nie miał zamiaru wracać, ale pamięć o najspokojniejszych latach w jego tułaczce i wdzięczność, jaką żywił wobec swoich gospodarzy, skłoniły go do spełnienia ich prośby. Postanowił znaleźć to, po co go wysłano, a następnie niepostrzeżenie podrzucić dar mnichom i odejść na dobre.

Jednak odnalezienie świętego kamienia okazało się trudne nawet dla niego. W końcu nie wysłano go po to, by powrócił ze zdobyczą. Całymi miesiącami błąkał się niczym upiór po oblodzonych przełęczach, brnął w śniegu, opierał się silnym wiatrom próbującym zmieść go w przepaść. Kamienia jednak nigdzie nie było.

Któregoś razu, błędząc właściwie bez celu, gdyż tracił już nadzieję na spełnienie mnisiej prośby, natknął się na starą jak same góry i jak one ogromną śnieżną istotę. Postanowił pójść za nią; lepsze to niż bezcelowa włóczęga. Istota dość szybko spostrzegła jego obecność, ale ani nie zaatakowała, ani nie uciekła, tylko spokojnie wiodła młodzieńca w coraz dziksze i trudniejsze do wspinaczki ostępy. W końcu po tygodniu tropienia jej, istota zatrzymała się, odwróciła, zrobiła kilka kroków w jego kierunku i popatrzyła mu w oczy lodowymi ślepiami. Wpatrywała się tak przenikliwie, jakby chciała wyssać jego duszę, a gdy nie odwrócił wzroku i nie uciekł, przywołała go gestem, by się zbliżył, i odtąd szedł obok niej. Kruche przymierze zostało zawarte.

Droga mijiała szybciej, gdy śledzony i śledzący stali się towarzyszami. Po kilku kolejnych dniach nieustannego marszu, oboje bowiem nie potrzebowali snu ani jedzenia, dotarli w miejsce tak dzikie i niedostępne, tak ponure i piękne, że nawet młodzieniec poczuł się nieco pokrzepiony w swoim niemal martwym sercu. Istota wskazała na jeden z lodowych

załomów, tak jakby chciała się czymś pochwalić; kiedy podeszli bliżej, cień na łodzi okazał się wejściem do skalnej grotty.

Wewnątrz płonął mały ogień, ledwo oświetlając ściany pełne wydrążonych ciemnych niszy. Nikt ognia nie pilnował i nikt go nie podsyczał. Czyżby był tu ktoś przed nami? – pomyślał młodzieniec. Nie widział jednak wcześniej żadnych śladów: ani na jedynej ścieżce wiodącej do grotty, ani przy samym wejściu. Istota wyjęła z ognia rozżarzony węgielek i zapaliła od niego mały kaganek. Zbliżyła się do jednej z wnęk i ruchem głowy przywołała wędrowca, by podszedł i popatrzył.

Wewnątrz leżała czaszka wyrzeźbiona z czarnego kamienia; wypolerowana niby lustro, odbijała światło kaganka, tworząc małe rozbłyski. Istota pokazywała młodzieńcowi po kolei inne nisze, w których spoczywały podobne czaszki o różnych wielkościach, wszystkie uczynione z tego samego kamienia. Kiedy skończyli ten bardzo długi obchód, istota zatrzymała się przy ogniu i gestem wskazała ściany, jakby zapraszając mężczyznę do wybrania jednej z czaszek. On jednak, choć nigdy nie widział świętego kamienia, a mnisi byli bardzo skąpi w udzielaniu mu wskazówek, i choć przedmioty leżące w skalnych niszach wydawały się ze wszech miar święte i cudowne, wiedział, że nie ma wśród nich tego właściwego. Pokręcił więc tylko głową odmownie.

Istota odetchnęła z ulgą, a następnie usiadła przy ogniu, gestem zachęcając go do tego samego. Kiedy siadł obok niej na skrzyżowanych stopach, podała mu na otwartej dłoni, wyciągnięty nie wiadomo z którego kąta, chropowaty kawałek skały. Młodzieniec musnął go delikatnie i ten dotyk przeniósł go nagle w rozgwieżdżone niebo, z którego spadał szybko w kierunku ogromniejącej błękitnej kuli, by płonąc, roztrzaskać się o ziemię na milion kawałków. Gdy ponownie znalazł się w swoim ciele, siedział nadal koło ognia, a istota wpatrywała się weń intensywnie. Kamień, który trzymał w dłoniach, był gorący i parzył mu palce. Istota podała mu



małe metalowe narzędzie. Wędrowiec wiedział, że by wypełnić swą misję, powinien wygładzić kamień i nadać mu właściwy kształt.

Czas zatrzymał się w tej mozolnej pracy; jednak czas nie znaczył dla młodzieńca wiele, a raczej znaczył wyłącznie kolejne lata cierpienia, którego niczym nie można ukoić. Miał nadzieję, że kiedy skończy wykuwać i polerować kamienną czaszkę, będzie ona tak doskonała jak delikatna główka jego siostry. Łudził się, że gdy czaszka spocznie w świątyni i mnisi odprawią nad nią modły, jego ból choć trochę zelżeje. Nie tylko przecież zabił ukochaną siostrę, ale jeszcze odebrał jej szansę na godny pochówek, a tym samym na wejście do domu opiekuńczych duchów ich rodziny oraz spotkanie ze zmarłymi rodzicami, dziadkami i dalszymi krewnymi. Nie dość, iż z powodu przedwczesnej śmierci rodziców nie zaznała ciepła prawdziwego domu, to nawet jej dusza nie spotka się z najbliższymi, przez jego pychę i próżność.

Dni mijały, ogień płonął niepodsycony, istota to gdzieś zniknęła, to pojawiała się znowu, a młodzieniec jak zakłęty rzeźbił i polerował, polerował i wygładzał, aż któregoś dnia czaszka była gotowa. Istota zjawiała się w momencie, gdy mężczyzna podziwiał rozbłyśki ognia na doskonale gładkiej powierzchni. Razem wyszli z górskiej groty i udali się ścieżką w dół. Nie szli wcale długo, gdy poniżej, za następną przełęczą ukazały się dachy świątyni.

Młodzieniec jakoś wcale się nie zdziwił, tylko pomachał istocie na pożegnanie i zaczął schodzić szybkim krokiem. Stwór patrzył za nim przez chwilę, a potem rozpląnął się w nadciągającej zamieci śnieżnej tak, jakby go nigdy nie było.

Kiedy mężczyzna zbliżył się do świątyni na odległość kilkudziesięciu kroków, z dachów budynku zerwało się i odleciało stado ptactwa. Więcej oznak życia nie dostrzegł. Na podwórzu przed świątynią wiatr przeganiał uschnięte liście i kępki trawy. Izdebki mnichów opustoszały, kurz zalegał wszędzie grubą warstwą, brakowało osobistych drobiazgów, różańców,

młynków modlitewnych, mat do spania. Ogień od dawna nie płonął w palenisku klasztornej kuchni, ktoś wymiółł nawet popioły. Sama świątynia także zionęła martwym spokojem, tak różnym od spokoju wspólnoty modlących się ludzi. Kto obecnie podtrzymywał istnienie świata, tego młodzieniec nie wiedział, być może mnisi znaleźli lepsze miejsce do tego celu.

Czaszka złożona na głównym ołtarzu odbiła promień światła, który zakradł się nie wiadomo którądy. Wędrowiec długo siedział na skrzyżowanych stopach, wpatrując się w jej puste oczodoły; nigdzie się mu przecież nie spieszyło. Zapadał zmrok. Na niebie pojawiły się gwiazdy. Głowa opadła mu na piersi. Uschłe liście na dziedzińcu pokryły się warstwą lodu, a ptaki odleciały na dobre. Ciepły wiatr wymiółł resztki śniegu i osuszył dziedziniec. Ptaki wróciły, zaczęły świergolić i bić się na dachu. Uwiły gniazdo, a potem złożyły jaja. Odchowane młode odleciały z wiatrem. Lód zawładnął świątynią. Mężczyzna podniósł głowę. W sercu nadal płonął mu ten sam ogień, wszystko zmieniało się wokół, ale ból pozostawał tak samo żywy jak w pierwszej chwili, gdy popatrzył w obce oczy, tak niepasujące do twarzy jego siostry.

\*\*\*

Mężczyzna wstał i wyszedł na dziedziniec. Kwatery mnichów zmieniły się w zmurszałe ruiny, dach świątyni stracił połowę dachówek. Wokół słychać było tylko wycie zimowego wiatru. Wędrowiec po raz ostatni popatrzył na pagodę, zszedł w doliny i podążał dalej w kierunku niższych gór. Nie miał już żadnej nadziei. Nie miał celu. Miał tylko ból. Wędrował bardzo długo, aż dotarł na drugą stronę pasm górskich. Podążał dalej przez piaski i skwar.

Kiedy przepływał w małej, chwiejnej łódce jedną z czterech wielkich rzek tego kraju, czołno wywróciło się – zgodnie z ostrzeżeniami wieśniaków, którzy podarowali mu łódkę w zamian za poskładanie złamanej nogi ich najmłodszego syna.

Młodzieniec opadł na dno rzeki, jego długie włosy falowały wokół przystojnej twarzy, niezmienionej przez czas. Zamknął oczy i pozwolił unosić się wodzie, bezwolny i obojętny. Z nurtem rzeki dotarł aż do podwodnej jaskini pełnej zielonego blasku.

– Otwórz oczy, głupcze – usłyszał głos, niby znajomy, a jednak obcy. – Popatrz na mnie, nieśmiertelny idioto.

Niezbyt chętnie wykonał polecenie. Tuż przed nim otoczona wodorostami czarnych włosów unosiła się zielonkawa twarz kobiety, pozbawionej oczu wyżartych przez ryby, a jednak wpatrującej się w niego intensywnie.

– Dałeś się jej oszukać. Nie ty pierwszy, wielu było przed tobą – rzekła, a małe rybki wypłynęły z jej fioletowych ust. – Zwiąż mnie Ereszkigal i jestem jej siostrą. Rządzę krainą umarłych, tak jak ona rządzi krainą żywych. Suka nadal ma u mnie dług, obiecała mi boskiego zastępcę na swoje miejsce w zamian za to, że pozwoliłam jej odejść, choć wkroczyła do mego domu i przemocą chciała mnie zrzucić z tronu. Pamiętaj jednak, człowieku, śmierci nie zmoże żadne życie, a ceną za każde kolejne jest śmierć właśnie. Jej małżonek Dumuzi, król Kulab, służył mi jakiś czas, ale w końcu pozwoliłam mu uciec; miał wyjątkowo wstrętny charakter. Myślę, że ty nadasz się świetnie na mojego sługę. Podobasz mi się, taki ładniutki i cichy. Może nawet wyrównasz jej dług. Musisz się jednak zgodzić dobrowolnie. Jeśli na to przystaniesz, spełnię jedno twoje życzenie. Każde, oprócz zadania ci śmierci, martwych mam dość w moim królestwie, chcę kogoś żywego.

Młodzieniec nie lękał się dziwnej martwej istoty, obojętne mu było, gdzie spędzi resztę wieczności. Pomyślał życzenie.

– Zgoda – odparła topielica i odgoniła wyjątkowo natrętną rybkę wyjadającą jej policzek. – Pamiętaj jednak, że zemsta nie przywróci życia twojej siostrze i być może nie przywróci ci nawet spokoju ducha. Najpierw odsłużysz u mnie sto lat. Potem powiem ci, jak można jej zadać ból równy

twojemu cierpieniu. Niestety nie da się jej zabić, no chyba żebyś sprowadził ją ponownie tutaj. To moje wielkie pragnienie, choć równocześnie oznaczałoby to koniec wszystkiego, co żywe, ale cóż mnie to w sumie obchodzi, ja rządę umarłymi. A teraz chodźmy.

Wąski tunel, którego wejście znajdowało się u szczytu jaskini, powiódł ich do wnętrza góry. Znaleźli się u bramy prowadzącej do jałowej krainy Kur, którą rządziła martwa królowa.

– Darujemy sobie rzekę pozerającą człowieka i siedem bram wyznaczających siedem okręgów prawdziwego Kur. Dość się już dziś wymoczyłam i nachodziłam. Chwyć mnie za szyję, polecimy na skróty. W końcu ja tu rządę, a ty nie jesteś śmiertelnikiem, więc nie musimy bawić się w te wszystkie rytualne bzdury.

Kiedy wylądowali na placu przed ogromnym lazurytowym pałacem, mężczyzna zauważył, że wygląd jego nowej pani zmienił się. Już nie była tygodniową topielicą, ale potężną i piękną kobietą o bujnych piersiach i krągłych biodrach. Może nie dorównywała urodą siostrze, ale i tak wygrałaby z każdą ziemską niewiastą. Sploty jej czarnych błyszczących włosów ułożyły się w misternego koka, piękno złotych oczu podkreśliła czarna kreska, a ciało lśniło jak naoliwione. Za cały strój służyły jej złoty napierśnik i biała, delikatna jak mgiełka opaska biodrowa.

– Tak, mój wygląd zdecydowanie się poprawia, kiedy jestem w domu – odpowiedziała na niezadane przez młodzieńca pytanie. – Kiedyś byłam mieszkanką niebios, równą mojej siostrze. Jednak potwór Kur upatrzył mnie sobie i porwał. Jeden z bogów usiłował mnie stąd wyrwać. Walczył, ale przegrał, użył podstępu, który został odkryty, chciał zastąpić mnie inną, lecz jego dar odrzucono. Już na zawsze pozostanę w podziemnej krainie, nie mogę opuścić jej nawet na chwilę, a gdy zbliżam się do granic świata zmarłych, moje ciało ulega szybkiemu rozkładowi. Na szczęście potem staję się na powrót piękna. Bo jestem piękna, prawda? – zapytała zalotnie.

Młodzieniec potakująco kiwnął głową, ale odwrócił wzrok. Bogini tylko się roześmiała i odtąd już nigdy nie próbowała z nim flirtować.

Obowiązki sługi królowej ziemi bez powrotu nie nastręczyły mu trudności. Towarzyszył jej wszędzie niczym cień. Czasami, gdy ona wysysała sinymi wargami życie, trzymał głowę umierającego, który nieopatrznie trafił w to posępne miejsce jeszcze przed śmiercią. Czasami leżał przy niej na wielkim katafalku, a ona trzymała mu rękę na piersi i rozkoszowała się biciem jego serca. Posyłała go też w różne miejsca ze zwiatkami wiadomości. Odwiedzał zarazę, głód, nieurodzaj, plagę szarańczy, trzęsienie ziemi, tajfuny i potop. Wszyscy oni byli jej sługami. Bywał też u pomniejszych nieszczęść: bożka śliskich schodów i bogini brudnych rąk. Tylko wojny nigdy nie widywał, gdyż był on poddanym żywej siostry.

Kraina bez powrotu była prawdziwie jałową ziemią, pozbawioną światła i pełną pyłu. Duchy zmarłych błąkały się po niej, jęcząc z głodu, pragnienia i zimna. Póki najbliżsi składali im ofiary z jedzenia i picia, duchy mogły nieco się pocieszyć, ale po jakimś czasie, a tutaj czas był wiecznością, o każdym w końcu zapomniano. Młodzieniec dobrze rozumiał ich położenie i smucił się, nie mogąc im nijak ulżyć.

Często, gdy królowa zajmowała się własnymi sprawami w objęciach małżonka Nergala, włóczył się po tym bezkresnym mrocznym miejscu i wpatrywał w kolejne umarłe twarze, jakby samym spojrzeniem chciał zmniejszyć ich ból. Tak właśnie wypatrzył ducha delikatnej dziewczyny, która wydała mu się znajoma. Podążał za nią dość długo, bo zjawa ciągle mu umykała, kryjąc twarz. W końcu jednak dziewczyna zatrzymała się i zaczęła, aż mężczyzna ją dogoni. Kiedy się odwróciła, ten zmarł z przerażenia i nadziei zarazem. Oto miał przed sobą swoją zmarłą siostrę.

– Braciszku – wyszeptała zjawa – wybaczam ci, odejdz w pokoju. Po tych słowach rozplynęła się jak mgła.

Więc jakoś udało jej się uwolnić spod panowania Inanny, może tamta dokonała kolejnej przemiany. Cóż z tego, jeśli duch siostry utknął w tym

strasznym miejscu. Jak to się stało? Nie uszanował tradycji i religii przodków, poświęcając siostrę obcej bogini. Widać, opuszczając jej ciało, Inanna odesłała duszę dziewczyny do swojego świata zmarłych, do krainy bez powrotu. I teraz jego siostrzyczka już nigdy nie zazna spokoju wśród bliskich. Ale przynajmniej uwolniła się od Inanny. Marna to była pociecha. Choć lepsza taka niż żadna.

Jednak nawet ta niewielka radość młodzieńca nie trwała zbyt długo. Ereszkigal, trzymając mu rękę na piersi i wsłuchując się w regularne bicie jego serca, wyczuła subtelny zmianę. Popatrzyła mu w oczy i położyła lodowatą dłoń na czole.

– Myślisz, że widziałeś ducha siostry? – zapytała cicho. – Przykro mi, ale mylisz się. Ci, którym nie sprawiono porządnego pochówku, nie mogą tu trafić. A poza tym wiem ze swoich źródeł, że twoja siostra nadal jest więziona przez Inannę. Ta suka porzuca swoje ludzkie ciało tylko wtedy, gdy myśli, że moi szpiedzy są blisko. I robi to bardzo rzadko.

Opadła obok niego na poduszki i sięgnęła po kryształową buteleczkę, która zawsze stała na srebrnej tacy tuż obok katafalku.

– Wypij kroplę tego, a przynajmniej na jakiś czas zaznasz spokoju. To woda z rzeki zapomnienia, niestety na nieśmiertelnych działa tylko przez chwilę. – Podała mu cenny przedmiot. Młodzieniec przyjął podarunek i zapadł w pierwszy sen od kilkuset lat.

\*\*\*

Któregoś dnia Ereszkigal wezwała wędrowca do siebie i kiedy usiadł przed nią na piętach, podała mu wąskie pudełko. W środku na jedwabnej poduszce leżał sztylet o czarnym obsydianowym ostrzu.

– Wbijesz go w jej serce tuż przed kolejną przemianą. Ona zawsze obserwuje orgię zza jednego z luster. Musisz być bardzo ostrożny i szybki. Sztylet zadziała tylko w trakcie kulminacyjnego momentu, gdy nasienie kolejnego głupca wytryśnie w następne ciało gotowe, by przyjąć moją siostrę na swoją panią. Poza tym to zwykły sztylet, nawet niespecjalnie

ostrzy. Ale użyty w odpowiednim momencie udaremni jej wejście w nowe, dziewicze ciało. Odbierze możliwość nurzania się w ziemskich rozkoszach, które tak lubi. Wiesz, że jest boginią wszystkich kurew świata? Cieleśna rozkosz to pokarm dla jej zepsutej duszy.

Mężczyzna zamknął pudełko i schował je na piersi. Kiwnął głową w podziękowaniu.

– Jutro kończysz swoją służbę. Przyznaję, że ciężko mi się z tobą rozstawać, lubię bicie twojego żywego serca. Złożyłam jednak obietnicę, a śmierć nigdy nie kłamie i nie oszukuje. Poza tym chroni cię twoja bezimiennność; zrzekłeś się imienia i nie mogę wpisać cię do księgi umarłych. Odejdiesz więc wolny. Szukaj wojny, podążaj za nim, on cię doprowadzi do tej suki. Nie zdradź się tylko, że o mnie wiesz, bo nie zbliżysz się do niej do końca wieczności.

Młodzieniec zrozumiał, jak bardzo był bliski pozostania na zawsze w smutnej krainie bez powrotu. Bogom nie należy ufać, bez względu na to, jak uczciwi się wydają, pomyślał.

\*\*\*

Wojnę znaleźć było bardzo łatwo. Zawsze gdzieś na świecie ktoś kogoś mordował – w imię religii, honoru, wolności, a nawet pokoju.

Nadęty półbożek chętnie przyjął wędrowca w szeregi swoich poddanych, szczególnie po pokazie jego umiejętności bitewnych. Młodzieniec szybko stał się jednym z generałów wojny, a nawet zaufanym doradcą, choć przecież nigdy nie podpowiedział mu ani jednego rozwiązania taktycznego czy sprytnego fortelu. Wojna uwielbiał towarzystwo swego sługi, który pił równo z nim i nie przerywał mu pełnych przechwałek opowieści. Pewnego dnia zaprosił swojego najlepszego kompana na orgię, by uczcić wyjątkowo udaną rzeź. Mężczyzna zgodził się, zresztą wojna nie spodziewał się innej odpowiedzi.

Orgia miała iście bizantyjski charakter. Podłogę dużej sali zaścielały perskie dywany, delikatne kobierce z wełny wielbłąda, perfumowane

poduchy i jedwabne wałki pod głowę. Kolumny owinięto drogocennym złotogłowiem, z sufitu zwieszały się świeczniki – tak liczne, iż mimo braku okien było jasno niczym w słoneczny dzień. Wino lało się strumieniami, niskie stoły uginały się od pater i półmisek pełnych mięsiwa, owoców, słodczy i innych specjałów, a wokół snuł się wonny dym kadzideł.

Bóg wojny w samej tylko przepasce biodrowej rozpierał się na tronie wyściełanym skórami dzikich kotów. Otaczał go wianuszek pięknych kobiet, tworzących osobisty harem. Każda z nich była wyjątkowa, różniły się kolorem skóry, oczu i włosów – tak jakby władca dobrał je, by reprezentowały cały kobiecy świat – a zarazem były do siebie podobne jak siostry. Przymglone spojrzenia, odęte, rozchylone wargi, miękkie, delikatne ruchy; wynik szkolenia albo wspólnie zażytej substancji o otumaniającym charakterze, pomyślał na ich widok wędrowiec. A może to wojna tak na nie działała i nie potrzebował niczego więcej, by je do siebie przyciągnąć.

Mężczyzna nie poddał się panującej w sali atmosferze, co nie było trudne, gdyż czuł głównie obrzydzenie do siebie i reszty towarzystwa. Wspomnienie własnej orgii, przygotowania do której osobiście nadzorował, było jak rozpalone żelazo odciskające się wstydem na twarzy. Musiał jednak zachować pozory uczestnictwa, co także przyszło mu bez trudu; wystarczyło, że pozwolił chętnym kobietom oraz chłopcom zająć się sobą. Jako przyjaciel i protegowany wojny traktowany był po królewsku: nawet przelotny grymas wstrętu czy chłód w obejściu odbierano z pokorą i uwielbieniem.

Jedzenie i wino nie kusily, ale wolał je od zbiorowej kopulacji. Potrawy roztaczały przyjemną woń korzennych przypraw, miodu i oliwy, a wino o cierpkawym smaku szybko uderzało do głowy. Jak się okazało, odurzyło nawet jego; pewnie czegoś do niego dodano, by wywołać ekstazę.

Kiedy materia opadła z pięciu kolumn, ukazując ich lustrzaną powierzchnię, młodzieniec leżał zamroczony za jedną z nich. Przygniatał go ciężar wysokiej rudowłosej branki o bladej piegowatej skórze i małych



sterczących piersiach. Kątem oka dostrzegł znajomą postać lekko unoszącą się nad podłogą tuż obok niego. Ona jednak wpatrywała się w opustoszałą przestrzeń na środku sali, gdzie właśnie lokalny watażka spółkował z drobnym czarnowłosym dziewczęciem. Wędrowiec nie wiedział, czy go nie zauważyła, czy tylko ignorowała jego obecność. Kiedy znaczenie oglądanej sceny przedarło się do jego świadomości przez opary narkotycznego wina, sięgnął ręką za pazuchę, ale zamiast uchwycić schowany pod ubraniem sztylet, złapał za pierś dosiadającego go rudzielca, co wywołało jęk ekstazy, gorące pocałunki i zintensyfikowało dzikie ruchy. Miotająca się dziewczyna całkowicie zasłaniała mu widok. Zresztą i tak nie mógł sięgnąć za pazuchę, był bowiem kompletnie nagi.

Rudzielec w końcu opadł z sił i stoczył się z mężczyzny na poduszki. Bogini w tym czasie oddaliła się niepostrzeżenie, by zająć miejsce na środku sali, gdzie stojący na muskularnych nogach wojna brał ją gwałtownie, podtrzymując jedną ręką, a ona wiła się, ogarnięta żądzą.

Wędrowiec nigdzie nie znalazł drobnej czarnowłosej dziewczyny. Szukał jej, ale rozplynęła się jak mgła; nikt jej nie widział ani nie pamiętał, nawet watażka. Choć jego stan w zasadzie nie pozwalał na pamiętanie czegokolwiek. Więc dokonało się znowu, a on, mimo że znajdował się tak blisko, nie był gotowy.

Kiedy po uczcie nie pozostał żaden ślad, a ranek dawno zmienił się w południe, ktoś cicho zaskrobał paznokciami w tkaninę namiotu. Mężczyzna wstał bezszelestnie, podniósł leżący obok *jie dao*, miecz, którego zwykle używał do golenia oraz wycinania sobie drogi przez krzaki, i podkraść się do wejściowej zasłony. Odrzuciwszy ją gwałtownie, stanął twarzą w twarz ze splonionym jak róża i nieco wystraszonym rudzielcem.

– Panie – wyszeptała dziewczyna – znalazłam to obok miejsca, gdzie my... no... wczoraj... – Spuściła głowę i wyciągnęła ku niemu rękę. Na wąskiej dłoni błyszczała mała, bardzo stara moneta w kształcie kostki. Takich monet nikt nie używał w jego kraju od dawna; były w obiegu za

czasów jego dzieciństwa. Mężczyzna delikatnie wziął przedmiot i gestem odesłał dziewczynę.

Ze ściśniętym sercem badał palcem wyryte w złocie znaki. Jego siostra jako małe dziecko połknęła jedną z takich monet i mimo trwających kilka dni starań nie udało się odzyskać pieniążka. Widać los już wtedy przeznaczył mu inną rolę. Ulga pomieszana z wściekłością i żalem zalała serce mężczyzny. Siostra została uwolniona, jej dusza uleciała do przodków, doczesne ciało zniknęło, została po niej tylko ta moneta. Miał nadzieję, że mu wybaczyła i że znalazła ukojenie. On sobie nie wybaczy nigdy.

\*\*\*

*Nie pokażę ci kolejnych prób uśmiercenia tej diablity. Niech wystarczy, że były nieudane. Nie wiem, czy się czegoś domyśliła; nigdy mi tego nie okazała choćby skrzywieniem warg. W końcu wkradłem się w łaski Inanny i zostałem jej niewolnikiem, sługą, doradcą, powiernikiem. Zajęło mi to wieki. A każdy fałszywy ruch kosztował mnie kawałek duszy, o którą zresztą niespecjalnie dbałem.*

*Inanna nie była stała w uczuciach jak jej siostra, nie lubiła, gdy ktoś przebywał zbyt długo u jej boku. Wybierała najpiękniejszych młodzieńców na służących, ale kiedy tylko osiągnęli wiek męski, stawali się muskularni i owłosieni, oddalała ich od siebie. Jedyнным prawdziwym mężczyzną, z którym miała coś wspólnego, był jej bożek wojny. Prawowitego małżonka po jego powrocie z podziemi nawet nie chciała widzieć; twierdziła, że bliskość śmierci go skalala. Ja zyskałem nieśmiertelność jako młodzieniec i takim pozostałem; to ją chyba do mnie przekonało na początku, a potem doceniła fakt, iż nie musi mnie odsyłać po kilku latach na rzecz młodszego osobnika. W końcu moja nieśmiertelność na coś się przydała.*

*Oczywiście rozpoznała mnie natychmiast i bardzo długo musiałem ją przekonywać, że już nie mam żalu o siostrę. Nie jest łatwo oszukać boginię, która żywi się ludzkimi uczuciami – a zwłaszcza miłością – że dawny afekt*

minął, wypalił się. W końcu jednak mi się udało, dzięki codziennym głośnym zachwytom na jej widok, tysiącom komplementów i umizgów, a potem godzinom poświęconym dawaniu przyjemności jej boskiemu ciału, opiekowaniu się nią i spełnianiu każdej zachcianki. Ale zanim dopuściła mnie do siebie, lata przeleżałem u jej stóp, niczym święty Aleksy pod schodami, żebrząc o jedno łaskawe spojrzenie, a w sercu nienawidząc każdej sekundy w jej obecności.

Ostatnią próbę zgładzenia Inanny podjąłem kilkadziesiąt lat temu w Pradze. Alchemicy byli tam bardzo potężnym bractwem. Pożądali złota i nieśmiertelności jak wszyscy głupcy tego świata. Jak ja wieki temu. Byłem już pewny zwycięstwa. Dziewczyna odkryła, że przyrodni brat, mistrz alchemii, chce ją poświęcić w misterium coincidentia oppositorum, ale nie spanikowała, tylko zaczęła szukać sprzymierzeńców. Chciała mi pomóc zabić Inannę i zemścić się na swoim zdradzieckim bracie.

Zawiódł ten ostatni. Wszystko było przygotowane, wielka alchemiczna pracownia znajdowała się w podziemiach kamienicy w Żydowskim Mieście, enklawie otoczonej murem. Nie do końca wiem, co się wtedy wydarzyło. Rebeka leżała naga na stole ofiarnym, jej wiekowy, prawie dziewięćdziesięcioletni brat trząsł się nad nią, śliniąc ze starości i żądy. Światło setek świec odbijało się w pięciu kryształowych zwierciadłach ustawionych w okrąg. Nie było tym razem innych uczestników przemienienia; starzec zażądał tego jako jedyne warunki, oprócz złotego eliksiru nieśmiertelności i bogactwa. Dziewczyna, zgodnie z ustaleniami, nie wypła otumaniającego wina z opium, które dla niej przygotowałem; udała tylko, że je przełyka, a potem wypluła ukradkiem. W momencie gdy starzec zbliżyłby się do szczytu, miała zrzucić go z siebie i zacząć krzyczeć, co niewątpliwie skupiłoby na niej gniew Inanny na tyle długo, bym zdołał wreszcie pchnąć ją sztyletem.

Dziewczyna nie zdążyła tego zrobić, nie musiała poświęcić swojego niewinnego ciała dla tego capa, któremu nie wystarczało, że stworzył

potwora golema, mordującego nocami młódki w ciemnych zaułkach miasta za murem. Staruch, tknięty jakimś przeczuciem, zawahał się. Może to jego wielki i jedyny Bóg dał mu wreszcie znak po osiemdziesięciu dziewięciu latach obojętnego milczenia. Może władca pasterzy kóz nie zdzierzył kolejnego odstępstwa od swoich żelaznych przykazań. Poraził i tak już zwiotczałe członki starca, który upadł na kolana i bijąc głową o polepę, zaczął wzywać swego Boga; niestety dla niego – nadaremno. Widać aż tak się stwórca nie zaangażował, a może raczej zrobił to na swój pokrętny sposób, pozwalając na wymierzenie słusznej kary starszej koleżance.

Inanna nagle urosła, jej skóra stała się czarna i błyszcząca, dodatkowe ręce wystrzeliły z boków, a w purpurowych ustach pojawiły się długie kły. Podniosła starca za włosy i rozszarpała go pozostałymi rękami na kawałki, a potem pożarła krwawe strzępy. Po tej przekąsce ściągnęła dziewczynę z ołtarza, wyrwała jej szponem język, wydlubała oczy i przebiła uszy; na koniec pozbawioną zmysłów, nagą i zakrwawioną, rzuciła jak ochłap w kałużę juchy pozostałą po jej uczcie.

Nie wiem, czy Rebeka przeżyła; jeśli tak, na pewno postradała rozum. Nie mogłem jej pomóc, nie zdradzając się przy tym. Stała się kolejną ofiarą mojej buty. Inanna, przybrawszy na powrót postać słodkiej kusicielki, kazała mi natychmiast pakować dobytek, i już po godzinie galopowaliśmy w kierunku Krakowa na kupionych w zajeździe pod Pragą koniach. Nie do końca rozumiem przywiązanie tej diablicy do mnie, ale zadbała o to, bym jej towarzyszył; choć mogła po prostu stamtąd zniknąć, każąc mi uporządkować miejsce nieudanej przemiany.

Od tamtej pory szukałem, przebrany za podróżnika ze Wschodu, kolejnej odpowiedniej dziewczyny, której brat okaże się pazernym głupcem zakochanym w sobie. Aż w końcu znalazłem ciebie, Regino.

Pytam kolejny raz, czy chcesz mi pomóc zemścić się na Inannie i ukarać twojego brata Franciszka Floriana, który cię sprzedał bez

*mrugnięcia okiem, podburzając sprytnie macochę do pozostawienia cię w rękach zbójów?*

Milczałam, nie mogąc uwierzyć, że zdradził mnie ten, którego uważałam zawsze za swojego poplecznika i obrońcę przed gniewem macochy. Gdy byliśmy dziećmi, on brał na siebie winę za wszystkie wspólne figle. On dostawał w skórę ojcowym pasem. On ściągał mnie z drzew i wyławiał z rzeki, uczył jeździć konno i łapać ryby w strumieniu. On przychodził do mnie w nocy, by spać w nogach mojego łóżka, gdy bałam się diabłów i gdy w chorobie wyobrażałam sobie, że Jezus z kalwaryjskiego kościoła zejdzie z krzyża i zabierze mnie do Boga, choć byłam jeszcze dzieckiem i niczego nie przeżyłam.

Nie chciałam w to uwierzyć. Przecież nie było go, gdy uciekałam z domu! Jak mógł przewidzieć, co zrobię, jak mógł pokierować mną tak, bym trafiła do tej przeklętej chaty, gdzie zostałam uwięziona? Milczałam, ale głos w mojej otumanionej głowie mówił dalej:

*Franciszek od dawno na ciebie dybał. W przeciwieństwie do swojego starszego brata Michała myśli miał przesiąknięte złem od dziecka. Znalazłem go podczas jednego z sabatów na Świętym Krzyżu, kiedy całował tyłek kozła. Było to rok temu, gdy włączył się po kraju z bandą innych wysoko urodzonych panków, szukając okazji do burd i gwałtów, a czasem mocniejszych przeżyć w kompanii czarnego pana. Już wtedy mówił o tobie jak o kochance. Pragnął cię ponad wszystko, bardziej nawet niż władzy i złota, których pożądał, ale równocześnie nimi gardził, bardziej niż wiecznego życia. Zgodził się, nie ze względu na nieśmiertelność, ale by posiść twoje ciało w trakcie magicznego rytuału.*

*Zapytasz pewnie, co powstrzymało go wcześniej, przecież mógł cię dopaść niezliczoną ilość razy, gdzieś na sianie, nad strumieniem, a nawet w twoim pokoju. Umiał się skradać jak kot, bezszelestnie poruszać po waszym domu, czyż nie? Mówił mi o waszym sielskim dzieciństwie, o tym, jak miłość i pożądanie do ciebie łagodziły ból razów twardej ojcowskiej ręki. Mówił mi*

*też, jak cię podglądał nagą wiele razy, aż w końcu Michał go na tym przyłapał, ale się nie zdradził ze swoją wiedzą. Dopiero gdy zabrał Franciszka do lasu, pod pretekstem polowania, przyłożył mu nóż do gardła i kazał natychmiast wynosić się z domu. Wtedy zaczęła się jego pijacka włóczęga, z której wrócił, bo obiecałem mu ciebie. Pewnie mnie znienawidzisz, dziwiłbym się, gdyby było inaczej. Musisz jednak zrozumieć, że nie mam wyboru, owszem, jesteś moim narzędziem, ale wspólnie możemy wygrać oboje.*

Dopiero w tym momencie odczułam prawdziwą trwogę; wcześniej iskierka nadziei kazała mi się oszukiwać, że mam szansę wyjść z tego cało. Mój świat zawalił się – brat mnie pożądał i chciał złożyć w ofierze, macocha mnie sprzedała, ojciec nie szukał, a drugiego brata poniosło nie wiedzieć gdzie w jakichś pewnie arcyważnych politycznych sprawach. Jeśli się nie zgodzę, bogini mnie zeżre ze złości; jeśli się zgodzę, to albo stanę się ciałem dla cudzej duszy i będę cierpieć męki przez wieki, albo pomagając temu dziwnemu mężczyźnie, skończę w najlepszym razie jako ślepa, głucha i niema wariatka.

*Czemu mam ci uwierzyć? – spytałam w myślach.*

*A więc nie poznałaś go? Twój brat przybył wieczorem do domu i usłyszał, że płaczesz w sypialni. Rozmówił się z macochą i gorąco poparł jej projekt oddania cię do klasztoru. Bardzo mu było na rękę, że w domu nie zastał ani ojca, ani Michała. Każdy z nich myślał, okłamany przez Franciszka, że ten przebywa z drugim.*

*Twój brat Michał jeździł wtedy po Europie, poznawał świat; Franciszek jakiś czas mu towarzyszył, ale wkrótce się znudził, zwłaszcza że w kompanii starszego brata nie mógł sobie na zbyt wiele pozwolić. Jak mi opowiadał, próbował kilkakrotnie wyrwać się spod jego pieczy, by na własną rękę poznawać zamtuzy oraz inne zakazane miejsca, ale Michał szybko go odnajdywał i przywoływał do porządku, strasząc listem do ojca. W końcu Franciszek nie wytrzymał i poprosił o możliwość powrotu do*

ojczyzny, ale zamiast udać się prosto do domu rodzinnego, znalazł miłą mu kompanię i ruszył w Polskę.

Zahaczył aż o stopy, gdzie brać kozacka burzy się od jakiegoś czasu, bardzo niezadowolona ze swego losu. Tam jeden z jego kompanionów zadurzył się w dziewczce kozackiej, którą porwał. Kozacy odbili i dziewczkę, i kompana, ale Franciszek schwytał jednego z nich i tak długo męczył torturami, aż ten zdradził miejsce, gdzie Kozacy trzymali więźnia. Kompania brata zebrała więcej zabijaków, tacy zawsze się znajdują, i wspólnie napadli na chutor. Nie na wiele się to zdało, bo Kozacy, widząc nadjeżdżającą małą armię, rozprawili się z więźniem bardzo okrutnie, a jego zwłoki powiesili na drzewie. To tak rozwścieczyło Franciszka, że spalił wieś, wcześniej wyrznuwszy mieszkańców. Potem kompania odjechała, obawiając się zemsty.

Mówię ci o tym nie dlatego, by cię nastawić przeciwko bratu, ale żebyś pojęła, jaki to człowiek. Franciszek nie liczył na twoją ucieczkę, chociaż znając cię tak dobrze, brał to pod uwagę. Planował porwać cię w drodze do Krakowa. W nocy wyszedł z domu i udał się do swojej kryjówki w lesie, gdzie co jakiś czas sprowadzał sobie dziewczki z okolicy. Tam ucharakteryzował się na zbójcę i ruszył z powrotem, by obserwować twój poranny wyjazd do klasztoru. Gdy zobaczył, że uciekasz z domu, omal się nie zdradził, bo aż chciał krzyknąć z radości. Śledził cię niczym wilk jagnię, a gdy zatrzymałaś się w sadzie, przekradł się cichcem do swojej kryjówki, skąd wyszedł, niby zaalarmowany szczekaniem psa.

Czemu tak łatwo rozpoznał twój medalion? Naprawdę myślałaś, że każdy okoliczny chłystek i oczajdusza zna wasz ród na tyle dobrze? To nieco zarozumiałe. Kiedy tkwiłaś w piwnicy, umył się, przebrał i wrócił do domu, gdzie trwał alarm spowodowany twoim zniknięciem. Obiecał, że cię znajdzie. Pojechał, niby cię szukać, a tak naprawdę spotkać się ze mną w twojej sprawie. Potem płakał przed macochą, kłamiąc, że owszem znalazł cię, ale zhańbioną przez zbójców i oszalałą z tego nieszczęścia. Oboje

*uradzili, żeby cię tym zbójcom odsprzedać, bo i tak nadajesz się już tylko do zamtuza; na pewno nie do klasztoru. On się miał ze zbójcami rozliczyć i udał, że to zrobił, przywożąc po godzinie liche woreczek miedziaków. Macosze widać było to bardzo na rękę, bo nie dość, że ochoczo we wszystko uwierzyła, to jeszcze obiecała, że jakoś załatwi sprawę z twoim ojcem. I tak znalazłaś się tutaj, w mocy Inanny. Więcej nie wiem. Czy teraz posłuchasz, jaki mam plan?*

*Tak... – wyszeptałam w głowie. To wszystko złamało mnie bardziej niż dwa dni w piwnicy bez jedzenia i wody, niż upiorna podróż w wozie z sianem, niż tygodnie leżenia tutaj w charakterze omalże trupa. Właściwie to chciałam zakończyć mój żywot jak najszybciej. A niech mnie nawet zeżre, pomyślałam, bylebym nie musiała jej służyć.*

*Wobec tego posłuchaj. Miałem czas, by przemyśleć swoje błędy. Tym razem nie boję się, że zawiedzie twój brat, jego akurat jestem pewny. On pragnie cię w wyjątkowy sposób. Mógł cię wziąć w tej chałupinie w lesie, a jednak się powstrzymał dla przyszłej nagrody. Wymyślił sobie bowiem, a ja nie wyprowadzałem go z błędu, że oboje staniecie się nieśmiertelni i będziecie żyć razem do końca czasu. On wspaniały wojownik, nie do pokonania, nieśmiertelny, zawsze młody, ty jego królowa miłości, piękna, posłuszna, spełniająca jego wyuzdane zachcianki z żarliwością i oddaniem.*

*Nie wie, głupiec, że to nie ty staniesz się boginią, lecz bogini wykorzysta twoje ciało, by zaznawać rozkoszy śmiertelników. Tak naprawdę nie wolno mi okłamywać uczestników misterium, muszą zrobić to z własnej woli, nie pod przymusem lub wskutek oszustwa. Ale milcząc, nie mogę przecież odpowiadać za cudze fantazje. Nie mam też obowiązku zdradzać wszystkich szczegółów, a kto paktuje z diabłem, nawet tak pięknym jak Inanna, musi się spodziewać piekła w nagrodę.*

*Jednak tym razem nie zawierzę tylko ostrzu od martwej królowej. Dlatego chcę, byś zaznała fizycznej miłości, zanim położysz się na ołtarzu. Twoja utracona niewinność zniszczy rytuał. Wprawdzie będziesz też musiała*



*oddać się twojemu bezecnemu bratu, ale tylko po to, bym mógł zabić tę sukę. Bogini nie zdoła dokonać przemiany, jeśli twoje ciało nie będzie już dziewicze, co da mi czas, by ją pokonać. Potem zabiję twojego brata, oczywiście jeśli nadal tego pragniesz. Wybór należy do ciebie.*

Skinęłam głową potakująco, choć wizja tego wszystkiego napawała mnie obrzydzeniem i lękiem. Cóż, sama ułatwiłam bratu sprawę, ale z drugiej strony przecież on i tak dopiąłby swego. Byłam tego pewna. Czułam do siebie wstręt, czułam wstyd i żal. Dałam się zwieść najbliższej osobie. Nie poznałam go w tych brudnych szmatach, zarośniętego jak zbój, nie poznałam jego głosu, no ale nie widziałam go od dwóch lat, mógł zmężnieć i zmienić się nieco. Na dodatek wziął sobie pomocnicę – babę, której wrzaski miałam usłyszeć, by tym łatwiej dać się oszukać.

Wcześniej nie dostrzegałam w nim potwora, byłam ślepa, i nagle odzyskałam wzrok – to bolało najbardziej. Przypominały mi się teraz szczegóły, które ignorowałam przez lata. Jego świdrujące spojrzenie, gdy sądził, że śpię. Lekki dotyk palców na mojej gołej łydce, kiedy leżał w nogach łóżka. Dłoń opierająca się o moją ledwo wyrosniętą pierś, kiedy podrzucał mnie w wodzie. Klepięcie w pośladki przy podsadzaniu na konia. I wreszcie uczucie bycia obserwowaną towarzyszące mi w trakcie kąpieli. Okazało się, że to nie moje dziewczęce przewrażliwienie, lecz ukryty prześladowca, który swoim wzrokiem przyprawiał mnie o ciarki. A teraz miałam mu się oddać publicznie, potem skazać go na śmierć, a wcześniej utracić niewinność...

Pytanie z kim – odsunęłam od siebie. Postanowiłam skupić się na zemście, gniew jest łatwiejszy niż strach i rozpacz. Gniew daje nadzieję.

*Skoro się zgadzasz, za chwilę wyprowadzę cię z transu. Pamiętaj, by się przed nią nie zdradzić. Jest boginią, ale przede wszystkim jest próżna i pewna siebie, nie zwraca zbytnej uwagi na głupie śmiertelniczki. Traktuje cię jak kawałek ładnego mięsa, który pragnie wykorzystać.*

*Gdy się obudzisz, będziesz nieco zagubiona, ale nie martw się. Ja się wszystkim zajmę, pokieruję tobą, maleńka.*

Jego słowa napełniły mnie otuchą. Poczułam się, jakbym była jego dawno zmarłą siostrą. Choć właściwie powinno mnie to przerazić...

## Rozdział III

Łowca pozwolił jej odejść. Nie podjął jeszcze decyzji, której od niego oczekiwała. Chciał słuchać jej głosu i czuć jej nagie ciało obok swojego, ale świt ich rozdzielił. Pozwolił kobiecie odejść, bo nie zniósłby jej zimnej obecności w ciągu dnia. Stałaby się wtedy zbyt podobna do martwych ciał, które poddawał rytuałowi, a on pierwszy raz pożył bardziej życia niż śmierci. Pragnął też, pierwszy raz od czasów Róży i jej opowieści o świętych męczennikach, wysłuchać jakiejś historii do końca. Chciał wysłuchać historii Iny.

Obiecała wrócić po zmroku, choć nie miał żadnego wpływu na jej decyzje. Nie mógł też jej zatrzymać, a jednak poprosiła go o zgodę na odejście. Rzeka nadal milczała i jakby wstrzymała oddech, czekając na jego ruch. Kiwnął głową potakująco i wskazał Inie drzwi. To wszystko mieszało mu w głowie, a Łowca nie lubił czuć zamętu, nie lubił czuć czegokolwiek; właściwie nie tyle nie lubił, co wcześniej niczego nie czuł, może poza wściekłością zalewającą oczy czerwoną mgłą, gdy ktoś burzył jego plany. Teraz czuł zbyt wiele i nie był wściekły. Raczej zdziwiony.

Opowieść uczyniła jeszcze jedno: przywołała dawno zagrzebany w niepamięci obraz małej dziewczynki płaczącej się koło jego chłopięcych nóg. Nie znał jej. Tak jak nie wiedział, kim byli jego rodzice. Do tej pory jego pierwsze wspomnienie to twarz Róży schylającej się nad nim, gdy leżał skulony w zasikanej bramie. Miał wtedy dziesięć lat i nie pamiętał niczego ze swojego wcześniejszego życia; a teraz pojawił się ten obraz.

Widział swoje chude poobijane kolana i drobne rączki wczepiające się w jego spodenki. Widział dziecięcą buzię okoloną loczkami. Buzia śmiała się do niego i wołała: „Mamo, mamó, on jest złym wilkiem i warczy na mnie. Boję się go”. I znowu wybuchła śmiechem, a on warczał groźnie

niczym prawdziwy zły wilk. Istnienie jakiejś matki nie budziło jego wątpliwości, ale dotąd nie posiadał żadnych wspomnień na jej temat. Czy była to także jego matka, czy tylko tej małej? Nie, wcale nie chciał tego wiedzieć. Nie życzył sobie jeszcze większego zamętu w swojej głowie. I tak miał więcej do przemyślenia niż kiedykolwiek w życiu.

Wyszedł z domu właściwie tylko po to, by wymazać z pamięci obraz nagiego wyprężonego ciała, kiedy Ina, stojąc na palcach, sięgała po coś leżącego na półce. Nie czuł się właścicielem tych przedmiotów, one po prostu tu były, tak jak drzewa za oknem, tak jak bruk na wąskich uliczkach jego dzielnicy, były tu od zawsze, a teraz – dotknięte jej dłonią – nabrały specjalnego znaczenia.

Zbiegał szybko po zniszczonych drewnianych schodach; blade światło świtu wpadało przez brudne szybki witrażowych okien. W bramie jak zwykle śmierdziało moczem i rzygami; dzielnica bawiła się wczoraj do upadłego. Kopnął pustą flaszkę po wódce, aż potoczyła się na ulicę. Nigdy dotąd nie był tak pełen wątpliwości – co powinien zrobić, gdzie pójść. Skręcił z bramy w lewo. Na chodniku leżały urwane lusterka samochodów; siedem pod rząd. Cóż, tylko głupcy parkowali w tym miejscu, zasłużyli sobie. Skręcił ponownie i dalej szedł szybko, znaną mu co do dziury w chodniku ulicą; nogi same niosły go nad rzekę.

Ta piękna suka – nagle zaczął dostrzegać, że coś poza martwymi ciałami może być piękne – pozbawiła go jednego oka; wciąż zdarzało się, że pusty oczodół przeszywał ostry, świdrujący ból. Choćby dlatego ta wywłoka należała się rzece, ale rzeka zamilkła. Nie był już pewien, czego od niego chce. Zresztą ta dziwna nieumarła kobieta sama zaproponowała mu swoją ostateczną śmierć. Ktoś, kto tyle razy odbierał życie, kto widział błaganie o litość w tyłu opętanych przerażeniem oczach, nie potrafił tego pojąć. Nie rozumiał Iny i nienawidził jej, zarazem podziwiał ją i pragnął jej ciała.

Rzeka płynęła spokojnie. Przybyła jej nowa odstręczająca budowla: kładka pętająca brzegi, łącząca to, co powinno być rozdzielone, dająca ludzkiej fali sposobność swobodnego przelewania się z dzielnicy do dzielnicy. Łowca przyglądał się wcześniej budowie kładki, cały czas mając nadzieję, że projekt upadnie – tym silniejszą, że niedaleko spoczywały czarne worki pełne szczątków. Rzeka złościła się na tych ludzi; zesłała na nich powódź, która porwała część konstrukcji, co mocno opóźniło prace. W końcu jednak i ona się poddała, tak jak pies, który po solidnym kopniaku pozwala założyć sobie kaganiec. Dobrze, że choć zadbała o niego i nie oddała ciała, które jej kiedyś podarował.

Mężczyzna wszedł na kładkę. Nie odważył się nigdy wcześniej przejść nią na drugi brzeg, bojąc się, że rzeka uzna to za zdradę. Ale rzeka milczała nawet wtedy, gdy zatrzymał się na samym środku, w najwyższym punkcie konstrukcji, i spoglądał na cichy nurt płynący poniżej. W sumie uznał, że to całkiem dobre miejsce do wrzucania kolejnych worków; zapewne było tu głęboko, a na dnie zalegało sporo mułu. Tylko czy nurt nie porwałby dalej jego podarunku? No i byłby całkiem na widoku, nawet w nocy. Widział kiedyś wieczorem wulgarną iluminację zdobiącą kładkę – ohyda. Pewnie nocą łążą wtedy całe tłumy pijanych turystów. Ktoś przypiął do siatki balustrady kłódkę z wyrytymi inicjałami. Jeden zakochany głupek i za chwilę zaroi się od naśladowców. Ludzie nie zasługiwali na nic lepszego niż zostanie trupami; martwi przynajmniej nie zachowywali się jak idioci.

Oderwał się od balustrady i ruszył na drugą stronę rzeki. Jakieś dziecko, góra trzyletnie, wpadło mu pod nogi, odruchowo łapiąc się jego spodni, i podniosło główkę. Mężczyzna zobaczył w jego oczach zaciekawienie, a potem narastający lęk. Chłopczyk puścił jego nogawkę i zaczął krzyczeć wniebogłosy. Podbiegła matka, równie zaniepokojona jak malec, ale Łowca już ich wyminął. Obojętnie szedł dalej. Ten mały ma instynkt, pomyślał, wie, że mógłbym go rozszarpać jedną ręką. Dzieci są

podobne do psów, które czekają na pijaków i szaleńców. Dzieci nie dają się oszukać pozorom i maskom nakładanym, by ukryć prawdziwe intencje.

Zszedł z kładki, obejrzał się jeszcze niepewnie na rzekę: cisza. Po drugiej stronie dostrzegł zmiany spowodowane powstaniem nowej trasy komunikacyjnej – pojawiło się mnóstwo knajp, fronty kamienic przeszły remont lub były w trakcie odnawiania, wymieniano chodniki. Wszystkich opanowała jakaś gorączka, jakby to zapomniane wcześniej miejsce nagle stało się najbardziej pożądaną lokalizacją w mieście. Niedobrze, bardzo niedobrze, to praktycznie przesądzało kwestię jego wyprowadzki. Musi tylko uporać się z tą estrią czy jak ją tam zwał.

Nadal szedł niby bezmyślnie przed siebie, chociaż cel wędrówki błąkał się po obrzeżach jego świadomości od samego początku. Szedł do niej. To znaczy chciał z ulicy popatrzeć na okrągłe okienko strychu, gdzie spędzała dnie. Tak przynajmniej pomyślał, kiedy znalazł się na wprost tamtej kamienicy. A potem, jak w okresie, gdy śledził nieumarłą, przeszedł przez ulicę i minął bramę. Schody zawiodły go na strych, drzwi były otwarte.

\*\*\*

Mężczyzna wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać. Cisza. Tylko jakiś gołąb gruchał namiętnie w załomach dachu. Łowca wślizgnął się do środka; nadal nic. No ale czego się spodziewał? – nawet jeśli tu była, to albo spała, albo czaiła się w ciemności w obawie przed intruzem. Otwarte drzwi nie dawały mu spokoju; czuł się, jakby wchodził do cudzego domu tuż po opuszczeniu go przez włamywaczy. A jeśli ona tu jest i go zauważy, czym wytłumaczy to najście? Wcześniej w ogóle o tym nie myślał, przecież nie planował, że tu przyjdzie, chciał tylko zobaczyć rzekę, przejść kładkę, popatrzeć w okno na strychu...

Obszedł powoli pomieszczenie, ale nigdzie nie znalazł worka, w którym sypiała estria. Wzrok przywykł do ciemności i zaczął zauważać inne zmiany: brakowało osobistych przedmiotów, zniknęły stolik, lampa, fotel, książki, została tylko masywna szafa. Na podłodze dostrzegł mnóstwo

świeżych śladów wielkich stóp odcisniętych w kurzu, za dużych jak na nią. Kobieta odeszła bez pożegnania, a może ktoś ją wypłoszył; tak czy siak, nie było jej tutaj. Dla pewności zajrzał jeszcze do szafy. Drzwi zaskrzypiały ponuro; w środku nie znalazł choćby jednej szmaty, nawet kurzu nie było, ktoś wszystko zabrał – i to niedawno.

Nie pozostało mu nic innego, jak opuścić to miejsce. Nie sądził, by tu wróciła, by ją jeszcze kiedyś spotkał. Pobawiła się nim trochę jak kocur wychudzonym szczurkiem i zniknęła równie niespodziewanie, jak się pojawiła. Właściwie mógł się tego spodziewać. Poza Różą nie było w jego życiu żadnych kobiet, nie licząc tych martwych, oddawanych rzece. Pomyślał, że Róża chyba go nawet kochała siostrzaną miłością. Nie zastanawiał się nad tym wcześniej, bo go to zwyczajnie nie obchodziło.

Właśnie zamykał drzwi, kiedy usłyszał ciężkie kroki na schodach. Wsłuchał się uważnie: mężczyźni, przynajmniej dwóch, jeden miał nadwagę i sapał, drugi szedł lekko i pewnie, ale musiał być potężny. Nie mogli go tu zastać. Czym by wytłumaczył swoją obecność? Nie wahając się dłużej, zaczął szybko schodzić. Może jeśli spotkają go na niższych kondygnacjach, pomyślą, że mieszka w tej kamienicy albo kogoś odwiedza.

Nie pomylił się w ocenach. Jeden z nich był zażywnym grubasem z siwymi, przylizanymi potem włosami; dyszał i ocierał czerwoną twarz rękawem niebieskiego kombinezonu roboczego firmy remontowej. Drugi miał chyba ze dwa metry wzrostu, muskularne ciało i ogorzałą twarz człowieka spędzającego dużo czasu na słońcu, i to nie tylko w lecie. Także był ubrany w firmowy kombinezon. Kiedy Łowca ich mijał, grubas złapał go za rękaw.

– Przepraszam szanownego pana, ale jeśli trzymał pan jakieś rupiecie na strychu, to zostały wywiezione zgodnie z informacją zostawioną przez administrację, termin zabierania gratów minął wczoraj – wysapał starszy mężczyzna.

Łowca tylko mruknął i uwolnił rękaw. Chciał iść dalej, ale na drodze stanął mu drugi robotnik.

– Nie wie pan może, czyja jest ta szafa? Strasznie cholerstwo ciężkie i pewnie warte kupę kasy, nie chcemy, by nas ktoś potem po sądach włóczył za kradzież antyków. – Blondyn mówił cicho i miękko, wpatrując się badawczo w jego twarz. Drapieżnik zawsze pozna innego drapieżnika, pomyślał Łowca, przeklinając się w duchu za tę niepotrzebną i niebezpieczną eskapadę. – Wie pan, ludzie są dziwni, zostawiają coś samopas, ale spróbuj się do tego dobrać, zaraz podnoszą krzyk.

Łowca wiedział, że tamten bynajmniej nie mówił o szafie, ale zupełnie innej formie męskiego posiadania. Czyżby miał jakiś kontakt z Iną? Może wie, gdzie się podziewa? Nieważne, i tak go przecież nie zapyta. Zmusił się, by odwrócić jedyne oko od twarzy blondyna. Pierwszy raz trafił na kogoś o tak hipnotyzującym wzroku. No, drugi, przecież ona miała identyczne spojrzenie.

Tracąc kontakt wzrokowy z natrętem, odzyskał zdolność poruszania się. Odsunął mężczyznę i znowu zaczął schodzić. Tamten nie zatrzymywał go, nie wołał za nim, tylko lekkim krokiem wspinał się na strych za sapiącym grubasem. Łowca pomyślał, iż ten silny i groźny mężczyzna wcale nie spodziewał się odpowiedzi; chciał przekazać mu ostrzeżenie, obsikać swoje terytorium. Kim był, pozostawało zagadką.

\*\*\*

Łowca dotarł do domu zupełnie bezwiednie; w głowie kłębiło mu się jeszcze więcej myśli i niezrozumiałych emocji. Czuł ulgę, bo nie musiał decydować, czy złożyć estrię w ofierze rzece. Zarazem obawiał się, że jej więcej nie zobaczy. Wmawiał sobie, że chce poznać historię Iny do końca. Ale doskonale wiedział, że to nieprawda.

Musiała go opętać swoim wzrokiem, na zawsze pozbawiając spokoju. Nienawidził jej za to i z tego powodu pragnął ją zabić, nawet jeśli tym



samym oddałby jej przysługę. Chciał, by wszystko wróciło na stare tory; on, trupy kobiet na stole i rzeka czekająca na posiłek.

W domu miotał się od ściany do ściany, od okna do drzwi. Był dzikim zwierzęciem w klatce swoich ograniczeń i żądy. Dzień włókł się i włókł. W końcu zapadł zmierzch, a potem noc. On miotał się dalej. Próbował pocieszyć się swoją kolekcją, ale po chwili oczy uśpione w szkle rozsypały się, ciśnięte ze złością na dywan. Noc mijała cicho; żadne kroki na schodach, żaden zgrzyt otwierających się drzwi – mężczyzna nie zamknął ich nawet na klucz – żaden głos nie zakłócały sennego upływu godzin.

Świt zastał go zlanego potem, gdy kończył którąś z rzędu setkę pompek i przysiadów. W końcu, kiedy zrobiło się całkiem jasno, poszedł pod prysznic. Stał w strugach wrzątku, aż ciało zobojętniało na ból, wtedy zmieniał wodę na lodowatą. Skóra na palcach stóp i rąk pomarszczyła się, na plecach poczerwieniała, a blizny po paznokciach Iny płonęły żywym ogniem. To jednak w niczym nie pomogło mężczyźnie. Próbował się wcześniej masturbować, myśląc o swoich ofiarach, ale kiedy doszedł z jej obrazem przed oczami, poczuł tylko większą złość. O uldze niepodejmowania decyzji zapomniał wiele godzin temu.

\*\*\*

Mijały kolejne dni. Łowca trawiony wewnętrzną gorączką biegał każdego wieczoru przez kilka godzin rzeczными bulwarami. Czasem wchodził na kładkę, ale nigdy jej nie przekraczał. Zatrzymywał się na środku i patrzył w ciemny nurt rzeki. Mijały go stada roześmianych lub pokrzykujących w pijackim zamroczeniu turystów. Czasem ktoś go potrącił, ale ignorował to.

Wychudł, a jego mięśnie stały się suche i żylaste od ciągłych ćwiczeń i marnych ilości żarcia. Nie polował też na kolejne ofiary, nawet o tym nie myślał; zresztą rzeka uparcie milczała, nie miał po co zabijać. Czuł, że gdyby podarował jej jakąś przypadkową kobietę, wyrzuciłaby resztki wprost pod nogi pieszego patrolu strażników miejskich, którzy codziennie dokonywali rutynowej inspekcji rzecznych brzegów.

Brak konieczności polowania odsunął w czasie kwestię wyprowadzki. Nie musiał się martwić dzielnicą. Nie miało to teraz znaczenia. Właściwie każdy na jego miejscu cieszyłby się życiem. Majątek tatki i tantiemy z jego publikacji, sączące się cienkim, ale regularnym strumykiem, zapewniały mu skromne utrzymanie bez konieczności kalania się pracą. Mógł robić, co chciał, mógł nawet sprzedać któryś z obrazów odziedziczonych po tatce i wyjechać gdzieś na miesiąc czy dwa. Owszem, nie miał nikogo, nawet znajomych, nie mówiąc o przyjaciółach, ale nigdy się tym nie przejmował.

Nie posiadał rodziny, jednak za nią nie tęsknił; czasem wspominał Różę, ale w nieco odmiennym kontekście, pamiętał głównie jej oczy i ich ostatnie spojrzenie. O tatce też nie myślał, było to za trudne; ogarniała go wtedy fala zimnej wściekłości, której źródeł nie umiał do końca rozpoznać. Wiedział tylko, że tatko, zapijając się na śmierć, jakoś go skrzywdził. Przypuszczał, że mogło się to wiązać z wyrzuceniem go z mieszkania po śmierci profesora.

Był teraz wolny od pracy, rodziny, kłopotów finansowych, a nawet od szepczącej rzeki, a jednak czuł się jak wilk złapany we wnyki, który woli odgryźć sobie łapę, niż w nich tkwić. Niestety Łowca utknął w niewidzialnej pułapce i nie mógł jej opuścić nawet kosztem łapy, bo nie potrafił prętów swojej klatki dotknąć, zobaczyć ani nazwać. Przychodziło mu do głowy tylko jedno rozwiązanie: skok z kładki prosto w objęcia rzeki, ale jakoś nie umiał się na to zdecydować. Odsuwał od siebie to rozwiązanie i czekał.

\*\*\*

Wiosna zmieniła się szybko w upalne lato, miasto wypełniło się blaskiem i kurzem. Łowca przesypiał całe dnie, a nocami zlany potem przemierzał jak zwykle wiślane bulwary. Nad wodą pojawiały się kolejne barki tętniące światłem i muzyką. Nie rozumiał, dlaczego rzeka je toleruje. Jego napawały strachem i wstrętem.

Tego wieczoru trawiła go wyjątkowo silna gorączka, ciało miał wilgotne, włosy zmierzwione i matowe; twarz, blada i wychudła, zastygła w gniewnym grymasie, wyglądała upiornie. Oko płonęło jak u wściekłego wilka. Musiał jednak pobiegać, nie mógł spędzić całej nocy w swoim mieszkaniu, bo chyba rozwaliliby ściany gołymi rękami. Myśl o skoku do chłodnej, kojącej wody zdominowała inne. Po co dłużej walczyć? Jego życie nie miało sensu. Nigdy nie zrobił niczego, co usprawiedliwiłoby jego istnienie: nigdy się do nikogo nie uśmiechnął, nikomu nie pomógł, nikogo nie kochał, nie pracował, nie umiał zadbać ani o siebie, ani o innych, był zbędnym balastem dla społeczeństwa, które tolerowało go tylko ze względu na majątek tatki.

Kiedy trzeci raz tej nocy zbliżał się do kładki, podjął decyzję, że skoczy właśnie teraz. Zwolnił bieg i dysząc z wysiłku, wszedł po skarpie na ulicę, a potem na kładkę. Poniżej cumowała duża zabytkowa barka oświetlona licznymi latarenkami i lampkami. Łowca popatrzył w dół na ludzi siedzących przy stolikach; jego wyostrzony słuch wyłapał charakterystyczny kobiecy śmiech: niski i wibrujący. Nie mógł dostrzec twarzy, ale sylwetka wydała mu się znajoma. Skok do kuszącej chłodem i zapomnieniem wody został odroczony. A może nigdy by się na niego nie zdobył?

Mężczyzna zszedł z kładki i podążył schodami w dół, by przejść tuż obok barki. Kobieta siedziała blisko barierki; odwróciła właśnie głowę, śmiejąc się perliście. Lekko zamglonym spojrzeniem przesunęła po Łowcy, ale raczej nie mogła go zobaczyć: była zanurzona w świetle, on stał w cieniu.

Zamarł pod zaszczytanym przez psy i pijaków murem z piaskowca i trwał tam, prawie nie oddychając, długie godziny. Tak, to była ona. Piła, śmiała się, kładła dłoń na ramieniu wysokiego mężczyzny, który siedział obok. Pozostali dwaj wpatrywali się w nią, a ich oczy płonęły pożądaniem. Jednak wydawała mu się obca, jakby ktoś inny zamieszkał w ciele Iny. I nie

widziała go czy nie rozpoznała? Nie był pewien. W końcu całe towarzystwo zebrało się do wyjścia; Łowca schylił się, udając, że odpoczywa pod ścianą po biegu. Przeszli tuż obok. Ona wciąż zdawała się go nie zauważać, ale zrobiwszy dwa kroki, uniosła głowę, wciągając powietrze i wężąc. Zamarła na chwilę, a potem ruszyła dalej.

Łowca śledził ich aż do drzwi pubu o znamiennej nazwie „Zbliżenia”; warował na targowym placu w pobliżu, aż świt zastał go śpiącego z głową wtuloną we własne kolana. Zerknął jedynym okiem na drzwi. Knajpa była zamknięta na głucho.

\*\*\*

Kolejne dni stały się udręką. Mężczyzna krążył ciągle wokół miejsca, gdzie ją spotkał – na próżno. Po jakimś czasie doszedł do wniosku, że umysł spletał mu figla i to była inna kobieta.

Kiedy nadeszła jesień, uznał, że wymyślił sobie to wszystko, ale za każdym razem, gdy nakładał opaskę na pusty oczodół, to przyjemne złudzenie rozwiewało się.

Nadejście zimy sprowadziło na niego kolejną obsesję; w kamienicy zakładano Internet i mężczyzna postanowił z tego skorzystać. Dzięki sieci mógł robić zakupy bez wychodzenia z domu, ograniczając osobisty kontakt z innymi ludźmi do spotkania z kurierem przy drzwiach. W zimowe dni już nic nie ciągnęło go nad rzekę. Biegać przestał jesienią, ćwiczył tylko w domu pompki i przysiady. Nadal chudł, choć wydawało się to niemożliwe; stał się nie tyle żylasty, co kościsty, tak jakby wysychał od środka i przeistaczał się w żywą mumię. Włosy i broda zasłaniały większość wymizerowanej twarzy, w której płonęło dziko zielone oko.

Łowca całe noce spędzał w sieci, gromadząc informacje potwierdzające choć w nikłym stopniu opowieść kobiety. Stał się ekspertem od rodziny Zebrzydowskich i starożytnych wierzeń religijnych. Przejrzał setki stron, chcąc dowiedzieć się czegoś o monetach, mieczach, ubraniach i symbolach z tej dziwacznej historii. Niczego to jednak nie wyjaśniło;

teoretycznie dałoby się stworzyć taki życiorys tylko na podstawie tego, co można przeczytać w sieci. Osoba z dużą wyobraźnią zrobiłaby to bez trudu. Reszty szczegółów i tak nie był w stanie zweryfikować; owszem, mógłby wybrać się do przepastnego gmachu biblioteki, do której zabrała go kiedyś Róża, gdy szukali tatki, ale nie sądził, by to cokolwiek rozstrzygnęło. Przecież z danych w bibliotece każdy mógł skorzystać, również ona.

Z drugiej strony dysponowała nadnaturalną siłą, wydłubała mu oko i zorała plecy, biła się lepiej niż mężczyzna, a gdy byli razem, robił tylko to, na co mu pozwoliła, oraz umiała wchodzić w ten dziwny trans przypominający śmierć. No i wreszcie po co miałyby to wszystko zmyślać? Żeby uprawiać z nim ostry seks? To zrobili, zanim opowiedziała mu o sobie. Żeby mu coś zabrać, do czegoś namówić? Odeszła, niczego nie chcąc. Zabrała mu zimny spokój, który chronił go przez tyle lat przed ludźmi.

W końcu znalazł jedną nieścisłość w opowieści. Kim, u licha, była baba, która wraz z przebrany za zbója bratem zawiozła dziewczynę do jaskini, a potem rozplynęła się niczym mgłą? Nie pasowała do tajemniczych podziemi, a skoro ją tam wpuszczono, musiała znać sekret, musiała też być lojalna, żeby przeżyć; no chyba że nie wyszła stamtąd żywa. Łowca uczeplił się baby niczym archeolog kawałka kości, nie umiał jednak rozwiązać tej zagadki. Właściwie powinien uznać, że baba stanowi dowód na zmyślenie całej historii, ale wzbraniał się przed tym – zwłaszcza że nadal nie miał pojęcia, dlaczego Ina mu ją w ogóle opowiedziała.

Zastanawiała go jeszcze jedna niespójność: język kobiety w trakcie opowieści zmieniał się. Łowca odnosił wrażenie, jakby słuchał kilku osób. A może opowiadając nasycone silnymi emocjami fragmenty, wracała do zwrotów, których używała jako dziecko? Bardzo chciał ją wytłumaczyć i nie dopuszczał do siebie myśli, że była tylko oszustką. I zupełnie tego nie rozumiał.

\*\*\*

Łowca nigdy nie był religijny. Te kwestie kompletnie go nie obchodziły. W szkole uczęszczał na katechezę razem ze wszystkimi. Czasem było to nawet ciekawsze niż inne lekcje; zwłaszcza męka Chrystusa pobudzała wyobraźnię chłopca. Zastanawiał się, ile bólu może znieść człowiek, nie mdlejąc. Ciekawiło go, w które dokładnie miejsca na dłoniach wbito gwoździe, żeby utrzymały ciężar całego ciała. Wydawało mu się to mało realne; musieli je wzmocnić, może przywiązali ręce sznurem. Kiedyś złapał małego bezdomnego psa i ukrzyżował go na dwóch deskach; zwierzę urwało się po kilku godzinach, no ale pies ma inną budowę niż człowiek. Z wiadomych względów chłopak ukrywał swoje zainteresowania przed księdzem i kolegami, którzy na pewno nie podzieliliby jego entuzjazmu dla takich eksperymentów.

Obecnie nie wierzył w Boga. Mógłby może uwierzyć w Antychrysta; istnienie takiego nadnaturalnego bytu wydawało mu się całkiem zrozumiałe w otaczającym go świecie. Jednak Antychryst nie występował w oderwaniu od Boga, co mocno komplikowało kwestię wiary Łowcy. Postanowił więc nie wierzyć w żadnego z nich.

Róża wlokła go do kościoła, zwłaszcza w ważniejsze święta, a w czasie Wielkiego Postu na różaniec. Opierał się, by nie pomyślała, że to lubi, ale w sumie siedzenie w mrocznym wnętrzu, pełnym blasku elektrycznych świeczników, kapiących od złota ornamentów oraz zapachu kadzidła, sprawiało mu przyjemność. No i w kościele nie słyszał rzeki. Kiedy miał jej dość, szedł właśnie tam, siadał na drewnianych schodkach prowadzących na boczną ambonę i godzinami gapił się na malowidła.

Mały obraz przedstawiał ukrzyżowanie, a drugi, całkiem spory, potężnego anioła w stroju rzymskiego legionisty, który przebijał mieczem czerwonego, leżącego mu pod stopą, uskrzydłonego demona. Fascynował go ten mroczny archanioł z mieczem równie wielkim, co miotająca się, przygwożdżona do ziemi bestia. W tym obrazie było mnóstwo treści, które zazwyczaj nie pojawiały się w księżych kazaniach pełnych słów o

współczuciu, miłosierdziu i wybaczeniu. A tu Bóg był istotą żądną krwi, wysyłającą swoje hufce do walki na śmierć i życie z diabelskim przeciwnikiem. Jedyne go syna pozwolił ukrzyżować, a ukochanego anioła, niosącego światło, strącił z nieba i nigdy mu nie wybaczył nieposłuszeństwa. Od ludzi oczekiwał kajania się po wsze czasy za błąd przodka Adama, tego niedoskonałego syna człowieczego, dzieła, które nigdy nie spełniło oczekiwań stwórcy. Takiego Boga Łowca nawet trochę lubił, byli do siebie podobni.

Wrócił wspomnieniem do jedynej wycieczki poza swoje miasto. Odbił ją z Różą. Zabrała go do Kalwarii na drogę krzyżową w Wielki Piątek. Podróż była upiorna. Tłum ludzi w autobusie ściśniętych jak śledzie w beczce, śmierdzących potem, a czasem czymś dużo gorszym: mieszanką długo niepranych, zawilgoconych ubrań, gotowanej kapusty, tytoniu, starej wódki i zwykłego brudu. Wielu pasażerów było starych; ci pachnieli rozkładem, jakby umarli za życia. Chłopak jechał z twarzą przyciśniętą do przedniej szyby, a ludzie wciąż wpychali się do środka pojazdu na kolejnych przystankach. Myślał, że nie wytrzyma i porzyga się na tę szybę od gorąca i smrodu.

Na miejscu nie było lepiej, tłum kłębił się, ludzie potrącali go i odpychali. W którymś momencie rozłączono go z Różą i mimo że próbował się do niej zbliżyć, już po chwili dzieliło ich kilkanaście osób, które za nic nie chciały się odsunąć. Widział jeszcze przez chwilę czubek głowy dziewczyny – gdyż od roku był bardzo wysoki i okropnie przy tym chudy – potem Róża całkiem zniknęła mu z oczu i nie pomogło nawet jego prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Ogarnął go lodowaty strach, nienawidził ludzi, nie cierpiał tłumu, nie mógł się wydostać, mógł tylko odciąć się wewnątrz – i czekać.

Tłum przepychał go z miejsca na miejsce, falował niczym żywy organizm; w końcu chłopak, choć wcale o to nie zabiegał, znalazł się całkiem blisko barierek otaczających miejsce ukrzyżowania. Ludzie modlili

się głośno, atmosfera gęstniała, czas płynął powoli. Wreszcie umęczony i zlany potem pomieszany z czerwoną farbą zakonnik, odgrywający Chrystusa, dowlóknął się na szczyt Golgoty. Chłopak jakby się nagle ocknął: oto uczestniczył w spektaklu, o którym myślał od tak dawna, oto mógł patrzeć na krzyżowanie człowieka. Oglądał przedstawienie, ale przecież fizyka to fizyka, muszą tego biednego zakonnika jakoś przytroczyć do krzyża. To było jak patrzenie na nagą kąpiącą się kobietę, gdy ma się trzynaście lat w czasach pozbawionych Internetu i pornosów w kioskach; a takie były wtedy czasy. Chłopak poczuł nabrzmiewającą w spodniach erekcję, świadom, że właśnie dopuszcza się ohydneho świętokradztwa; gdyby Róża się o tym dowiedziała, znienawidziłaby go albo już do końca swych dni modliłaby się za jego chorą duszę. Nic jednak nie mógł poradzić na wzbierające w nim pożądanie, które osiągnęło punkt kulminacyjny, kiedy tamten mężczyzna zawisł na krzyżu.

Chłopak zasłonił krocze ścisną w dłoni kraciastą cyklistówką, którą dostał niedawno od tatki. Dobrze, że mimo ciepłego dnia zabrał ją ze sobą, bo ci ludzie tutaj mogliby go zlinczować. I tak nie wyobrażał sobie, jak dotrze do domu z tą okropną plamą na spodniach, która nawet po wyschnięciu usztywni i pobrudzi delikatną wełnę. Tatko może nie zwracał na niego uwagi, ale na ubrania z Peweksu nie skąpił. Chciał, by jego podopieczny dobrze wyglądał, nie jak współczesne proletariackie tałatajstwo. Nie cieszyło to chłopaka, bo stanowiło jeszcze jeden powód do szyderstw i kuksańców ze strony kolegów, którzy wykpiwali jego elegancję i wołali za nim: „Te, głąbie, coś się tak wystroił jak stróż w Boże Ciało, myślisz, że ci od tego rozumu przybędzie?”. A potem leciały gorsze obelgi i kamienie.

Udało mu się w końcu wydostać z tłumu i wrócić za wszystkimi na przystanek autobusowy, gdzie czekała Róża, cała niespokojna i prawie we łzach. Wyściskała go wtedy strasznie mocno i nawet nie zauważyła plamy na spodniach. Poczekali na ostatni autobus, bo oboje mieli dość tłoku;



niestety w pojeździe starczyło miejsca na to, by wisieć, trzymając się jedną ręką rurki nad głowami innych. Chłopak nigdy więcej nie dał się namówić na żadną wycieczkę; zresztą Róża nie dożyła kolejnego Wielkiego Piątku, bo zajął się nią dzień wcześniej.

Teraz, kiedy najpierw wysłuchał opowieści estrii, a potem zagłębił się w świat bogów żądnych krwi i władzy, mógłby nawet uwierzyć w ten nadnaturalny świat. Nie umiał bowiem, jak na razie, inaczej wytłumaczyć władzy tej kobiety nad sobą.

\*\*\*

Astronomiczna wiosna zastała Łowcę tkwiącego w otępieniu. Za oknem był szary świt. Sypał śnieg i wcale nie zanosilo się na odwilż, mróz trzymał mocniej niż w lutym. Ludzie zaczynali mieć powoli dosyć tej przedłużającej się zimy, ale mężczyzna nawet nie bardzo wiedział, że pada.

Od dawna nie wychodził z domu, nie zamawiał też zakupów, co drugi dzień zjadał nie całkiem rozmrożone surowe mięso, którego zapas w zamrażalniku powoli się kurczył. Przestał ćwiczyć, przestał się myć, siedział tylko na brudnej pościeli i tępo patrzył przed siebie. Jego jaźń skurczyła się do punktu na ścianie – starej dziury po gwoździu.

Dzwonek u drzwi zabrzmiał w jego głowie jak alarm przeciwlotniczy, ale ponieważ od dawna prowadził wojnę ze społeczeństwem, postanowił go zignorować. Dzwonek dzwonił, dzwonił, dzwonił, aż w końcu spalił się z cichym syknięciem. Cisza, która zapanowała, wyrwała mężczyznę z letargu. Obrócił głowę w stronę przedpokoju i wciągnął powietrze, wężąc. Poczł kurz, mnóstwo kurzu i lekko mdlący zapach papierosa – jej papierosa. Zwlókł się z łóżka i idąc wzdłuż ścian, dotarł do drzwi wejściowych. Przyłożył oko do judasza. Nie był pewien, czy to ona, bo postać pogrążona była w półmroku i na dodatek okutana w rude futro, szale i chusty. Postanowił jednak otworzyć. Był słaby, ale przecież kobiety rzadko napadają kogoś w domu. Postać prawie na pewno była kobietą.

– Wyglądasz jak trup – powiedziała na jego widok – a przecież to ja jestem żywym trupem.

Mężczyzna odsunął się powoli, robiąc jej przejście, a potem zemdłał pierwszy raz w życiu.

Kiedy się ocknął, czuł w ustach smak krwi; chyba przygryzł sobie wargę, upadając. Leżał na kanapie w salonowej części pokoju, przykryty pledem. Kobieta moczyła szmatkę w letniej wodzie i przemywała mu twarz. Na jej nadgarstku dostrzegł świeżą bliznę, różową i wąską, kiedy jednak przyjrzał się dokładniej, szramy tam nie było. To musiał być jakiś cień, pomyślał.

– Omal nie zagłodziłeś się na śmierć, ale za chwilę poczujesz się dużo lepiej. Musisz się wykapać, mój doskonały węch nie toleruje takich woni. Kupiłam ci też trochę koniny w pobliskiej masarni. Właściwie nie wiem czemu, chyba miałam przeczucie. – Spojrzała przeciągle i zachichotała. – Przyszłam dokończyć moją opowieść. – Przechyliła głowę na bok i popatrzyła na niego ze smutkiem. – Przepraszam, że tyle mi to zajęło, ale ostatni rok jawi się w mojej pamięci jako pusta dziura. Wychodziłam od ciebie, promień wczesnego słońca padł mi na twarz, za długo tu zabawiłam, a potem ocknęłam się w jakiejś piwnicy. To było wczoraj. Musiałam zaspokoić głód, dobrze, że miałam pieniądze, a właściwie całe rolki pieniędzy, setek i pięćdziesiątek. Wolę nie myśleć, skąd się wzięły. W każdym razie, gdy funduje się innym alkohol, znalezienie tętnic staje się banalnie proste.

Łowca patrzył na nią i wydawało mu się, że to maligna, kolejna z wielu. Ostatnio częściej śnił, niż był przytomny. Kobieta jednak nie znikwała, a on czuł się z każdą chwilą silniejszy.

– Takie dziury w życiorysie zdarzają mi się niestety regularnie, czasami gubię rok, a czasami tylko kilka godzin. Nie umiem tego wyjaśnić. Na szczęście to, co mną wtedy kieruje, ma tyle przyzwoitości, by zostawiać moje ciało w bezpiecznym miejscu. – Uśmiechnęła się jakby zakłopotana. –

Widzę, że siły ci wracają. Opuszczę cię na kilka dni, żebyś wrócił do formy. Nie nadaję się na niańkę i pielęgniarkę, wybacz.

Kobieta poderwała się z brzegu kanapy, na której przysiadła, by umyć mu twarz. To nagłe oddalenie, gdy jeszcze chwilę temu miał ją na wyciągnięcie ręki, obudziło w nim chęć, by protestować, zatrzymać ją nawet siłą. Wiedział jednak, że to bezcelowe, nawet gdyby dysponował dawną sprawnością. Kiwnął więc tylko potakująco głową i patrzył na nią, gdy zbierała swoje rzeczy i szykowała się do odejścia. Potem trzasnęły drzwi i znowu jej nie było w jego świecie. A może właśnie się obudził?

\*\*\*

Nadal był bardzo słaby, ale w resztkach mięśni, które mu pozostały, czuł przyływ dziwnej mocy.

W ciągu paru godzin doprowadził siebie i mieszkanie do porządku. Jadł w tym czasie kilkakrotnie: najpierw dwa kilo surowej koniny przyniesionej przez Inę, a potem ostatki z zamrażalnika. W końcu, gdy już nie miał ani jedzenia, ani zajęcia, wyszedł z domu do nocnego sklepu. Nie myślał o kobiecie, postawił w głowie tamę, odgradzającą go od jakichkolwiek rozważań. Żeby nie oszaleć, skupił się na prostych czynnościach. Liczył kroki, potem płytki chodnika, a w sklepie – kiedy czekał na skasowanie zakupów – pudełka z ciastkami. Mózg cały czas próbował go wykiwać, ale prócz siły fizycznej, odzyskał także zdolność samokontroli. Przynajmniej miał taką nadzieję.

W ciągu kolejnych dni powróciły stare schematy funkcjonowania. Dużo ćwiczył, biegał, od nowa poznawał okolicę, która zmieniała się ostatnio dużo szybciej, niż by sobie tego życzył. Kolejne kamienice zyskiwały odnowione fronty, w chodnikach łatano dziury, knajpki mnożyły się na potęgę. Tylko miejscowi pozostali na szczęście równie biedni, szarzy i zwyczajni, a kolejka po darmową zupę wydała mu się nawet dłuższa niż kiedyś. Było też mniej turystów chlejących po pubach i wrzeszczących po nocy. To pewnie przez tę nietypową pogodę. Wiosna postanowiła w tym

roku zostać na południu, a może nawet umarła. Przecież on prawie umarł, więc wiosna też mogła nie przeżyć. Łowca wyobraził sobie tegoroczną rezurekcję, pochód starowinek o szóstej rano, prawie po ciemku, w sypiącym śniegu, wędrujących dookoła ponurego gmaszyska kościoła. No chyba że do Wielkanocy wiosna jednak zmartwychwstanie. Zaśmiał się cicho do siebie. Zaśmiał? Przecież on tego nie potrafił. Dotąd.

\*\*\*

Estria dotrzymała słowa. Wróciła po tygodniu. Był Wielki Czwartek. Padał śnieg. Łowca stał w oknie i wpatrywał się w lecące z nieba płatki oświetlane ulicznymi lampami.

Stukanie do drzwi natychmiast wyrwało go zadumy. Wpuścił Inę, która długo wyplątywała się z warstw odzieży, otrzepując ją ze śniegu. Oboje milczeli. W końcu odwróciła się i popatrzyła na niego z aprobatą. Kiedy stał oparty o futrynę drzwi do salonu, podświetlony z tyłu łagodnym blaskiem lampki do czytania, niemal przypominał dawnego siebie. Nadal był chudy i wyniszczony, ale mięśnie nasączyły się białkiem z mięsa, a pobudzane fizycznym wysiłkiem niemal podwoiły swoją objętość. Wciąż nie mógłby wygrać z nikim w ulicznej bójce, ale istniała spora szansa, że chociaż zdołaliby uciec.

Kobieta prześlizgnęła się obok, lekko zahaczając ciałem o jego wysunięte biodro. Ten dotyk zelektryzował Łowcę. Odwrócił się błyskawicznie i złapał ją w pasie. Nie broniła się. Wtulił nos w jej włosy, pachniały ciągle tak samo podniecająco. Pamiętał poprzedni raz, ale każdy kolejny tej nocy był jeszcze lepszy. No i jak miał ją niby zabić? W końcu gdy się nasycił, pozwolił jej snuć dalej przerwana opowieść.

## Rozdział IV

Obudziłam się zrana potem. Mężczyzna, którego jeszcze wczoraj nazywałam Ono, gdzieś zniknął. Nasłuchiwałam, ale panowała całkowita cisza przerywana jedynie regularnym kapaniem wody skraplającej się pod nierównym pułapem. Czas płynął, a ja bałam się ruszyć. Niepewność, czy to wszystko było snem, czy też pojawiła się realna nadzieja na uwolnienie, paraliżowała mnie. Poza tym powoli docierało do mnie, na co się zgodziłam pod wpływem uwodzącej umysł mocy narkotyków i przejmującej opowieści ciemnowłosego mężczyzny. Głowę wypełniły mi obrazy przyszłych zdarzeń.

Mężczyzna musiał pozbawić mnie czystości; przypuszczałam, iż uczyni to osobiście. Nie chodziło tylko o stratę hymenu, ale też duchowej niewinności. To drugie nagle wydało mi się czymś dużo gorszym niż przebicie dziewiczej błony zaostrzonym kołkiem, co właściwie mogłam zrobić sama. Jak bardzo i ile razy będzie musiał mnie zdeprawować, by plan okazał się skuteczny? A gdy to już nastąpi, nadal czekał mnie udział w orgii i to jako główne danie dla Franciszka. Zyskiwałam niby życie, unikałam uwięzienia duszy na dziesiątki, a może nawet setki lat, ale równocześnie miałam zostać zbrukana najpierw przez wschodniego diabła, a potem przez własnego brata, i to na oczach innych, by żyć dalej pozbawiona rodziny, zdana na łaskę skośnookiego poganina.

A jeżeli plan spełźnie na niczym i ta wściekła boginka pożre mnie żywcem? To równanie nie miało dobrego rozwiązania. Czarnowłose wspominał wprawdzie, że mogę się nie zgodzić i nie zmuszą mnie wtedy do wzięcia udziału w rytuale, co nie znaczy, że mnie stąd wypuszczą. A jeśli tak, to jako brankę brata lub innego rozpustnika, do czego mojej zgody nie

potrzeba. Najchętniej umarłbym tu i teraz; to przynajmniej oszczędziłoby mi innych upokorzeń.

Postanowiłam znaleźć sztylet lub nóż, który wbiję sobie w serce, jeśli zdołam. Narkotyk przestał działać i wizja uwolnienia za cenę hańby przestała mnie kusić. Straciłam wolność, rodzinę, a nawet wiarę w Boga, ale nie zabiorą mi tego ostatniego przywileju: prawa do odebrania sobie życia. Z tą myślą spełzłam z łóżka. Trzęsąc się jak osika i pocąc obficie, ruszyłam na poszukiwania.

Nie udało mi się dojść zbyt daleko, bo zemdlałam. Obudziłam się w balii z ciepłą, pachnącą wodą. Głowę miałam opartą o drewniany zagłówek. Czarnowłosa delikatnie masował moje dłonie, a potem zanurzył szmatkę w wodzie z zamiarem umycia mnie. Otrzeźwiałam momentalnie. Szarpnęłam się, aż bryzgi wzburzonej nagłym ruchem wody ochlapały mężczyznę.

– Nieee... – zaskamlałam cienko.

Popatrzył na mnie uważnie i wycofał się. Klęknął, usiadł na stopach, opuścił głowę i czekał, jakby był moim sługą. Skuliłam się. Odruchowo przykryłam piersi dłońmi, choć przecież znajdowały się pod wodą.

– Chcę umrzeć – wyszeptałam. – Nie dam rady ci się oddać, panie, a tym bardziej mojemu bratu. Wiem, że być możesz poniesiesz karę za moje nieposłuszeństwo, nie umiem jednak postąpić inaczej.

Mężczyzna drgnął. Potem jakby skurczył się w sobie. Widziałam, że nienawidzi mnie podwójnie: po pierwsze za zniweczenie jego planu, a po drugie za możliwość ucieczki w śmierć. Wstał cicho i wyszedł do jednego z licznych pomieszczeń wokół łaźni. Ogarnął mnie jeszcze większy lęk. Czyżby poszedł po Inannę albo po mojego brata? Ale on po chwili wrócił sam, niosąc w rękach podłużne zawiniątko. Wręczył mi je i wrócił na swoje miejsce.

W środku, w pięknie rzeźbionej pochwie znajdował się długi, wąski nóż z kościaną rękojeścią. Dotknęłam palcem ostrza; natychmiast pojawiła się krew, która zaczęła kapać, tworząc w wodzie falujące kwiaty.

Wystarczyło przeciągnąć nożem wzdłuż przedramienia i po chwili odnalazłabym spokój na modłę starożytnych stoików, o których czytałam raz w bibliotece papy. W księdze była nawet, na osobnej luźnej karcie, rycina przedstawiająca Senekę w drewnianej balii; jego głowa opierała się o zagłówek, zupełnie tak jak moja, a z żył w zgięciach łokci chlustała krew. Ktoś wydarł chyba ten obrazek z innego dzieła i założył nim stronę o rzymskim filozofie. Piękna śmierć.

Zbliżyłam ostrze do przedramienia. Zmówiłam krótką modlitwę do Jasnej Pani i choć wiedziałam, że odbierając sobie życie, zamykam bramy do niebiańskiej wieczności, miałam nadzieję, że akurat ona zrozumie i wstawi się za mną u Pana Jezusa. Nagle, tuż przed planowaną śmiercią, zrobiłam się bardzo wierząca, mimo że jeszcze chwilę temu wątpiłam w Najwyższego. Pani, dodaj mi siły i otuchy, bym mogła to uczynić, szeptałam bezgłośnie. Szeptałam i szeptałam, aż woda w balii dawno wystygła...

Zrezygnowana opuściłam rękę z nożem, który upadł na posadzkę. Mężczyzna podniósł się lekko, podszedł i z szacunkiem wytarł sztylet szmatką, umieścił go w pochwie, a tę zawinął delikatnie i schował za pazuchą. Potem rozpostarł przed sobą duże, grube prześcieradło, bym mogła wyjść z lodowatej wody. Owinął mnie i długo rozcierał moje skostniałe ciało. W końcu obtarł leżące się ciurkiem łzy i robił to tak długo, aż przestały płynąć.

\*\*\*

Godziny ciągnęły się w nieskończoność, a jednak koszmar nadchodzącego rytuału zbliżał się nieubłagane. Prawie nie spałam tej nocy, miotałam się w pościeli trawiona gorączką. Szeptałam słowa wszystkich znanych mi modlitw. Wzywałam Boga, anioły i samego diabła, by mnie zabrali z tej przeklętej jaskini. Usnęłam, kiedy duża i gruba świeca wypaliła się, zwiastując nadejście dnia. To był jedyny znak upływu czasu w tym czyścicu.

Męczyłam się w niespokojnej i płytkiej drzemce, kiedy ktoś stanął z nową świecą w otworze wejściowym. Ocknęłam się z krzykiem.

Mężczyzna był wysoki i kogoś mi przypominał, ale światło rzucało chwiejne cienie na jego twarz, czyniąc ją upiorną i nierozpoznawalną. Wyciągnął w moim kierunku rękę ze świecą, jakby chciał mi się lepiej przyjrzeć, i wtedy zrozumiałam, że to mój pozbawiony skrupułów, zdeprawowany brat.

– Obudziłaś się, Regino – wyszeptał głosem nabrzmiałym z napięcia. – Przyszedłem cię stąd zabrać. Długo mi zeszło, ale zbójcy sprytnie zatarli swoje ślady, na dodatek macocha maczała w tym palce. Mam nadzieję, że nie zdążyli cię skrzywdzić.

To musiał być majak zmęczonego umysłu. Nie powinnam wierzyć jego słowom, ale bardzo chciałam mu zaufać. Chciałam zostać uratowana przez ukochanego brata, mojego rycerza, który zawsze stawał pomiędzy mną a złym światem. W końcu miałam tylko szesnaście lat, wychowałam się w pobożnej, zacnej rodzinie, wierzyłam w rycerzy bez skazy. Jednak opowieść skośnookiego była zbyt dokładna, by ją całkiem odrzucić. Bo niby skąd wiedziałby aż tyle o mojej rodzinie? Nie ufałam żadnemu z nich. Skuliłam się w kącie pośłania.

– Nie bój się, to ja, twój brat, nie poznajesz mnie? A więc skrzywdzili cię i oszalałaś od tego, i tej okropnej ciemności. – Zwiesił głowę.

Serce we mnie skamieniało, tak bardzo chciałam podbiec, rzucić mu się na szyję. On podniósłby mnie do góry i obrócił się dookoła, jak wtedy gdy byłam małą dziewczynką.

– Poznaję cię, bracie, ale ci nie wierzę – wykrztusiłam przez ściśnięte gardło i skuliłam się jeszcze bardziej.

– Co? Nie rozumiem... Czemu miałabyś mi nie wierzyć? – zdziwił się i zrobił krok w moją stronę, wyciągając powoli rękę niczym do spłoszonego konia. – Moja mała biedna dziewczynka... ktoś naopowiadał ci jakichś



bzdur o mnie... – Podchodził coraz bliżej i szeptał łagodnie: – No nie bój się, przecież nigdy bym cię nie zranił, jesteś źrenicą mego oka – mruczał.

W końcu przyklęknął i zaczął gładzić mnie po włosach. Tego już było za dużo. Rozszlochałam się rozpaczliwie i wpadłam mu w objęcia. Jego dłoń jednostajnym, uspokajającym gestem przesuwała się po moich plecach, usta tuż koło ucha wypowiadały kolejne magiczne zaklęcia. Pachniał tak znajomo. Był jak ciepły wiosenny wiatr, który wdarł się w zasypaną śniegiem krainę. Niósł ukojenie i nadzieję na powrót do domu.

Długo tak siedzieliśmy razem. Ja szeptałam mu o swoich upokorzeniach, strachu i braku nadziei, on opowiadał mi o tym, jak nie mógł odnaleźć moich śladów, jak umierał z rozpacz na myśl o utracie swojej małej siostrzyczki. Nie wspomniałam mu jednak o moich wizjach i o wędrówce, którą odbyłam w czasie snu ze skośnookim mężczyzną. Wstydziałam się swojej łatwowierności. W końcu wszystkie moje łzy obeschły i zmęczona zasnęłam w jego ramionach, a on kołysał mnie niby malutkie dziecko.

– Moja mała, moja maleńka siostrzyczka – powtarzał cały czas.

Kiedy się zbudziłam, spał tuż obok, równo oddychał – taki dobry i kochany. Mój straszny brat. Mój rycerz. Pogłaskałam go po twarzy, a on spojrzał na mnie zielonymi oczyma i uśmiechnął się.

Szybko przygotowaliśmy się do drogi. Sługa Inanny patrzył na to obojętnie. Nie pomagał nam, ale też nie przeszkadzał. Mój brat też traktował go jak powietrze. Trochę mnie to dziwiło, przecież tamten był uzbrojony i stanowił dla nas zagrożenie, nie należało liczyć na to, że zwyczajnie pozwoli nam odejść. Ale może jakoś się dogadali, może Franciszek wykupił mnie za złoto? Nie chciałam się teraz nad tym zastanawiać, marzyłam, by jak najszybciej znaleźć się w domu albo przynajmniej daleko od tego miejsca.

Kiedy już staliśmy przed gobelinem zasłaniającym wejście do labiryntu, nagle skądś wybiegł czarny piesek i radośnie rzucił się do nóg

mojego brata. Obejrzałam się; koło paleniska z założonymi na piersi rękami stał skośnooki diabeł i patrzył na mnie ze smutkiem setek lat udręki. Psiak tańczył wokół naszych nóg, próbował dosięgnąć ręki Franciszka, by ją polizać, zapamiętałe merdał ogonem.

– A gdzie to się, mości państwo, wybieracie? – głos dobiegł z za jednego z gobelinów. Materia odsunęła się i naszym oczom ukazała się olśniewająco piękna kobieta. – Nie taka była umowa, mój panie. Już nie pragniesz nieśmiertelności i złota? Chcesz uciec z tą głupią dziewczuchą?

Inanna. To było oczywiste i nie musiałam nikogo pytać. Jej blask oślepił, głos sączył się miodem do uszu, ruchy miała miękkie i płynne, twarze aniołów zdałyby się przy niej maszkaronami. Nawet ja, patrząc na nią, miałam ochotę paść jej do stóp i całować rąbek powłóczystej szaty. Nie rozumiałam, jak Franciszek nawet przez chwilę mógł pragnąć mnie zamiast niej. Nie pojmowałam, jakim sposobem tamten mężczyzna ze wschodu mógł planować zranienie jej choćby. Wiedziałam już na pewno, że mój brat jest najpodlejszym łgarzem i szubrawcom, ale by ją zadowolić, gotowa byłam mu się oddać tu i teraz, tak bardzo chciałam jej służyć.

– Zapomniałaś języka w gębie, dziewczko? – warknęła na mnie. – Nie gap się jak wół na malowane wrota, nie jesteś na swojej wsi. Nie chcę twojego uwielbienia, chcę twojego ciała. Musisz się zgodzić z własnej woli, nie pod wpływem mojego niewątpliwego uroku. To by było nieuczciwe i rytuał by się nie udał.

Pokornie odwróciłam wzrok, choć przyszło mi to z dużym trudem. Odsunęłam się też od brata, gdyż znowu zdałam sobie sprawę z ogromu jego podłości.

Czarnowłosa mężczyzna podszedł do mnie i delikatnie ujął moją rękę, a potem odprowadził do pomieszczenia z paleniskiem, które nazywałam babińcem. Nie wiem, o czym rozmawiała Inanna z moim bratem, słyszałam tylko ich głosy dochodzące z głównej groty. Początkowo jego był butny, a

jej wściekły. Potem jednak oba głosy ścichły i uspokoiły się, więc chyba doszli do porozumienia.

Kiedy jakiś czas potem czarnowłosa mężczyzna oprowadzał mnie po całej jaskini – co zdarzyło się po raz pierwszy, gdyż dotąd tylko w „dusznej” postaci oglądałam te wszystkie pomieszczenia – nie spotkałam ani brata, ani bogini. Oboje gdzieś zniknęli. Ja natomiast byłam tak bardzo zmęczona tą ciągłą huśtawką nastrojów, od rozpaczy po nadzieję, od obrzydzenia po fascynację, że czułam już tylko obojętność względem swego losu.

W komnacie Inanny – bo najwyraźniej do niej należała alkowa wypełniona kosztownymi przedmiotami, którą odwiedziłam wcześniej w sennej wędrówce – czarnooki mężczyzna posadził mnie przed wielkim lustrem i jął nacierać moją skórę wschodnimi olejkami i pachnidłami. Włosy namaścił mi oliwą i upiął wysoko w przepiękny kok, twarz obsypał białym proszkiem, brwi przyciemnił czernidłem, namalował linię wokół oczu, a usta pociągnął cynobrem, tworząc jakby od nowa kontur warg w kształcie małego serduszka; moje kości policzkowe podkreślone różem nabrały ostrości, a cała twarz stała się bardziej obrazem namalowanym na płótnie niż prawdziwym obliczem. W lustrze widziałam egzotyczną piękność zupełnie do mnie niepodobną. Mężczyzna nadal milczał, nie wyrzekł jednego słowa, ale wiedziałam, że przypominałam teraz jego siostrę.

Nie protestowałam, kiedy mnie malował, i nie sprzeciwiłam się, kiedy wziął mnie na rękę. Zrozumiałam, że już od dawna ubiera mnie w szaty przypominające te noszone przez kobiety w jego kraju. Fryzura i malunek na mojej twarzy pasowały do nich idealnie. Mężczyzna położył mnie delikatnie na wielkim łożu Inanny. Nie czułam już lęku, raczej ciekawość tego, co miało nastąpić. On sam zaczął się rozdziewać i spod bezkształtnego ubrania wyłoniło się szczupłe, muskularne ciało młodego

wojownika. Kiedy pozbył się większości szarych szmat, jakby urósł o parę centymetrów, a może tylko się wyprostował, zarzucając postawę sługi.

W samej tylko przepasce biodrowej położył się koło mnie, ale nasze ciała nie stykały się ze sobą. W ręce trzymał buteleczkę; gestem nakazał mi się z niej napić. Pomyślałam, że skorzystam z tej jedynej drogi komunikacji z nim, bo do tego zapewne służył narkotyk. Wypiłam zawartość flakonika i ujęłam ciepłą dłoń młodzieńca.

\*\*\*

Tym razem zanurzenie się w majaki przypominało powolne wchodzenie do jeziora w upalny dzień, kiedy skórę przyjemnie chłodzą drobne fale. Nie był to jak poprzednio skok do studni z lodowatą wodą. Zetknęliśmy się naszymi myślami i usłyszałam w głowie jego spokojny głos.

– *Chciałaś mnie o coś spytać, słucham więc.*

– *Tak, panie. Wybacz moją śmiałość. Przepraszam cię też za brak zaufania i dziękuję, że za każdym razem uszanowałaś mój wybór.*

– *Nie dziękuj. Nie ma znaczenia, co dla ciebie zrobię, i tak zawsze to ja będę twoim dłużnikiem.*

– *Wobec tego, panie, opowiedz mi, jak zdołałaś przekonać siostrę, by uległa ci w tamtym rytuale. Przecież musiała się zgodzić, czyż nie?*

Przez twarz młodzieńca przebiegł skurcz i zaczął mówić w mojej głowie trochę wbrew sobie.

– *Miłość chodzi dziwnymi ścieżkami. Tak naprawdę Mai nie była moją siostrą z krwi tych samych rodziców. W naszej kulturze mężczyzna posiada wiele żon i konkubin, a jego obowiązkiem jest dbać o nie wszystkie. Matka Mai była długoletnią nałożnicą mojego ojca, nie miała z nim dzieci. Wstydziała się tego i nawet chciała odebrać sobie życie, by zmazać swoją hańbę. Ojciec bardzo ją kochał, mimo iż nie pojął jej za żonę.*

Zgodnie z prawem mojego ludu oddalił ją od siebie i sprzedał dalekiemu krewnemu. Zapobiegł w ten sposób jej śmierci. Tamtemu mężczyźnie urodziła córkę, jednak nie było jej dane długo cieszyć się

szczęściem. Wybuchł pożar; rodzice Mai wraz z kilkoma domownikami zginęli. Dziecko ocalało cudem; wyniosła je z pożaru jedna z służących. Kobieta była już stara i nie miała środków do życia, więc wraz z dzieckiem oddała się pod opiekę mojego ojca, który z miłości do matki Mai przyjął je obie.

Zawsze traktowałem Mai jak młodszą siostrę. Wychowała się na moich kolanach. Nigdy nie myślałem o niej jak o kobiecie, nigdy nie nastawiałem na jej niewinność, choć właściwie nic nie stało nam na drodze. To ona zakochała się we mnie i podejrzewam, że Inanna musiała maczać w tym swoje wstrętne palce.

Próbowałem przekonać Mai, że jest najdroższa memu sercu, ale kocham ją jak siostrę. Ona cierpiała coraz bardziej, nie rozumiejąc, dlaczego odrzucam jej miłość. Próbowałem od tego uciec, spędzałem dużo czasu ze Starym Mistrzem, ale ziarno zasiane w mojej duszy przez tę diabolicę Inannę także wykiełkowało. W końcu postanowiłem się temu poddać. Nie mogłem żyć z siostrą jak z żoną, ale mogłem przynieść ulgę jej mękom, poświęcając ją dla Inanny. Myślałem, że to zwykła krwawa ofiara i że po jej złożeniu pochowam siostrę zgodnie z naszą tradycją. Nie przypuszczałem, że bogini zawładnie jej ciałem. Mai zgodziła się na ten plan; wolała dla mnie umrzeć, niż żyć beze mnie. To, co widziałaś, miało być dla niej stosem pogrzebowym, a nie łóżem rozkoszy.

Pewnie szokują cię te słowa, ale w mojej kulturze mamy inny stosunek do śmierci niż w twojej. Czasami dalsze życie jest zbyt wielką udręką, a śmierć stanowi wybawienie. Nie boimy się śmierci. Nasz honor jest dla nas ważniejszy. Kobiety często popełniają samobójstwo, gdy nie mogą urodzić mężowi dziecka, gdy je ktoś zbruka lub gdy nie mają środków do życia. Nikt ich za to nie gani, wręcz przeciwnie, wszyscy uważają, że wybrały rozsądne wyjście. Śmierć jest tylko bramą do krainy przodków, nie czeka nas poza nią ani niebo, ani wieczne potępienie i ogień piekielny. Przodkowie opiekują się nami po śmierci, czuwają nad naszymi sprawami, negocjują w naszym

imieniu z bogami. Natomiast brak pogrzebu skazuje duszę na wiekiście męczarnie; zamiast dołączyć do grona duchów opiekuńczych, błąka się umęczona po świecie. Na to właśnie skazałem moją małą siostrę swoją butą i fałszywą troską.

Młodzieniec umilkł. Ja także nic nie mówiłam, żal wypełnił moje serce. Współczułam im obojgu. Chciałam mu pomóc, poza tym i tak nie widziałam przed sobą lepszej drogi.

– Mam jeszcze jedno pytanie. W jaki sposób porozumiałeś się z moim bratem, nie rozmawiając z nim? Czy pogrążyliście się w takim śnie jak ten?

– Nie. Nie wpuściłbym twojego brata do swojego domu, a co dopiero do umysłu. Ściągnąłem go do Inanny, machając mu przed oczami sakiewką pełną złota, a bogini skłoniła go do swojego planu. Chciwość ludzka otwiera wiele drzwi zamkniętych dotąd na głucho. Zresztą twój brat okazał się aż nadto chętny do współpracy, rzekłbym nawet: gorliwy.

Obraz takiego Franciszka nadal nie mieścił się w mojej głowie, nie rozumiałam, jak można być tak dobrym aktorem, tak dwulicowym człowiekiem. Wybacz mi naiwność w postrzeganiu ludzi; z której zresztą wkrótce się wyleczyłam.

– Zgadzam się. Rób to, co musi być zrobione. Dręczy mnie jednak obawa, że ona pozna, iż nie jestem dziewicą, gdy tylko na mnie spojrzy.

– Musiałaby cię dotknąć. Postaram się, by do tego nie doszło. Wiem, że bardzo się boisz, cóż, ja też odczuwam lęk, nie byłem w ten sposób z kobietą od tysiąca lat, tak mniej więcej... – Choć wydawało się to absurdalne, miałam wrażenie, że młodzieniec uśmiecha się z zakłopotaniem.

– Zanim cię obudzę, muszę cię o coś spytać, gdyż możemy nie mieć już więcej wspólnych snów i możliwości wymiany myśli. Co mam uczynić z twoim bratem, gdy będzie po wszystkim?

– Zabij go – odparłam bez wahania. Ten wyrok, wydany tylko w myślach, ale najprawdopodobniej nieodwołalny, uczynił we mnie ogromną

pustkę. Dzieło się dokonało. Bez względu na to, co się wydarzy w ciągu paru następnych dni, nie byłam już czysta, choć moje ciało jeszcze niczego nie doświadczyło. Stałam się nierządnicą i morderczynią.

\*\*\*

Wiedząc, że przynajmniej w tej kwestii mam wybór, postawiłam warunek, by nikt poza naszą czwórką nie brał w ceremonii udziału. Inanna zgodziła się, acz niechętnie; mruknęła, że potem to sobie odbije w dwójnasób. Mojemu bratu było wszystko jedno i tak pragnął tylko mnie, a czarnowłosy mężczyzna zakutany w swoje szare szmaty jak zwykle milczał.

Centralne palenisko było wygaszone, a duże pomieszczenie zalewał blask tysiąca świec. Wokoło ustawiono pięć zwierciadeł w srebrnych, kunsztownie zdobionych ramach. Blask świec odbijał się w lustrach oraz sznurach monet tworzących pięcioramienną gwiazdę nad moją głową. Leżałam na podwyższeniu zbudowanym na palenisku, wyściełanym skórą dzikich kotów. Byłam naga, a moja skóra błyszczała od oliwy; obok mnie spoczywał długi sztylet, który Franciszek zamierzał wbić w moje serce, by – jak sądził – ofiarować nam obojgu nieśmiertelność.

Czarnowłosy mężczyzna grał na fletni pana melodię, która wznosiła się i opadała niby jęki zimowego wiatru. Inanna stała tuż obok swego sługi, nie kryła się za zwierciadłem, widać chciała wszystko dokładnie widzieć; jej twarz była pełna niespokojnego oczekiwania, ciało drżało lekko. Wyraźnie ekscytowała się rytuałem. Od czasu do czasu oblizywała wargi, a jej białe zęby przypominały kły dzikiego zwierzęcia. Ona też była naga. Ciało miała doskonałe: łabędzia szyja, lekko wystające obojczyki, jędrne piersi, wąska talia, kształtne, ale nieobfite biodra, długie szczupłe nogi z silnymi udami. Krucze loki utrefione na czubku głowy w misternego koka podtrzymywała srebrna opaska, a między piersiami kołysał się medalion w kształcie księżyca.

Mój brat podszedł do mnie i zrzucił lekką, czarną szatę, wyszywaną złotem w niezrozumiałe symbole. Już tylko skośnooki grajek pozostawał

ubrany. Tymczasem melodia narastała, zaczęła wibrować i przyspieszać, słyszałam w niej tętent racic samotnej sarny uciekającej w mroźną noc przed watahą wilków.

Brat wspiął się na podwyższenie, klęknął i kolaniem rozsunął moje nogi. Zawisł nade mną, opierając się na rękach. Jego twarz była tuż przy mojej, oczy nabrały intensywnej barwy morskiej toni, ciemniejąc i ogromniejąc. Widziałam, jak zaciska szczękę, jak drżą mu mięśnie ramion, po policzku spływa kropla potu, a może to była łza. Melodia fletni zmieniła się, brzmiała jak bicie serca, pulsowała rytmicznie. Brat wszedł we mnie jednym płynnym ruchem; gdy nie poczuł oporu, w jego oczach odmalowały się zaskoczenie i wściekłość. Chciał się chyba wycofać, ale objęłam go udami i przyciągnęłam do siebie. Moje ręce zacisnęły się na jego silnych plecach.

– Zaufaj mi – wyszeptałam. – Kocham cię. – Było to pierwsze tak wielkie kłamstwo w moim życiu, ale wiedziałam, że nie ostatnie.

Muzyka przyspieszyła jeszcze bardziej, tak jak mój brat we mnie. Czułam, że to ja go posiadałam, że mam nad nim kontrolę, że roztapia się we mnie niczym wosk. Z ofiary stałam się katem brata, a świadomość, że skazałam go już na śmierć, dodawała mi odwagi i równocześnie wywoływała w moim sercu dziwny smutek i chęć spełnienia wielkiego pragnienia Franciszka. Nie odmawia się ostatniej łaski umierającemu, myślałam, to przecież nie po krześcijańsku. Dziwaczność tej sytuacji nie docierała do mnie w pełni i choć nie byłam odurzona, czułam narastającą ekstazę, tym samym zrównując się z moim prześladowcą w owym bezceństwie.

Widziałam, że jego twarz coraz bardziej wykrzywia grymas ni to bólu, ni rozkoszy, oczy miał półprzymknięte, wreszcie z jego gardła wydarł się długi, ochryply jęk. Zgodnie z rytuałem powinien mnie teraz zabić i nawet sięgnął po sztylet, ale nóż już od dłuższej chwili spoczywał pod moimi plecami i Franciszek nie mógł go odszukać. Zacisnęłam wewnętrzne



mięśnie, o istnieniu których jeszcze kilka dni wcześniej nie miałam pojęcia, i stosując starą wschodnią technikę, zakończyłam ten akt jednym ruchem bioder. Mój brat otworzył szeroko oczy z jeszcze większym zdumieniem i ciężko dysząc, opadł na mnie zlany potem. Zepchnęłam go z siebie, choć był piekielnie ciężki, i usiadłam.

Czarnowłosy młodzieniec nie trzymał już fletni pana, ale zakrzywiony wąski miecz. Bogini wiała się na podłodze w konwulsjach i przeklinała w dziwnym śpiewnym języku, aż w końcu znieruchomiała i zaczęła się gwałtownie starzeć: kolejne lata życia, skrócone do sekund, odzierały ją z młodości i ciała, aż w końcu zostały z niej tylko srebrna opaska, medalion i kupka pyłu. Poczulałam w piersiach dziwne trzepotanie, jakby ptak uwiązł w siatce ptasznika, a potem wszystko ucichło.

Mój wschodni nauczyciel zbliżył się do nas i gestem nakazał Franciszkowi, by się ubrał. Ten powoli dochodził do siebie i zaczynał rozumieć, co się wydarzyło. Został oszukany przeze mnie i sługę bogini. Zerwał się na równe nogi i z gołymi pięściami ruszył na uzbrojonego w miecz wojownika. Tamten jednak nie chciał zabijać bezbronno; rzucił mu swój miecz, a sam wyjął z pochwy na plecach drugi. Franciszek przyjął podarunek z ochotą. Od dziecka świetnie władał bronią białą i często wygrywał ze starszym bratem i ojcem, gdy trenowali na dziedzińcu. Było mi go teraz strasznie żal, ale wyrok zapadł. Franciszek musiał umrzeć.

Zwarli się w szybkich ciosach i kontratakach. Obaj walczyli z równą finezją i obraz błyskającej stali urzekał moje serce. Widać stało się okrutne i puste. Pojedynek trwał już dość długo i szczerze mówiąc, dziwiłam się, że mój brat nadal żyje; widziałam kilka ciosów, które winny zadać mu śmierć, a jednak na jego ciele nie pojawiła się ani jedna kropla krwi.

W końcu czarnowłosy młodzieniec, który musiał mieć świadomość, że dzieje się coś dziwnego, pozwolił się zranić – tak to przynajmniej wyglądało, jakby celowo się odsłonił. Z jego ramienia trysnęła krew. Franciszek zawył radośnie, a tamten opuścił miecz i przyjął śmiertelne

cięcie, które trafiło go w bok szyi. Gdy umierał w szybko rosnącej kałuży krwi, widziałam w jego oczach spokój i coś na kształt radości. Pomyślałam, że jego umęczona dusza wreszcie znalazła ukojenie. Była to ostatnia spokojna myśl, zanim wpadłam w panikę niczym małe dzikie zwierzątko w obliczu zbliżającego się drapieżnika.

\*\*\*

– Ty suko – wyszeptał Franciszek wprost do mojego ucha, kiedy brał mnie już po raz trzeci, nie bacząc na moje krzyki i łzy. – Oszukaliście mnie. Ukradł moją własność, a teraz jest trupem. Ty mała dziwko, będziesz za to płacić każdego dnia aż po kres czasu, bo jesteśmy oboje nieśmiertelni, czyż nie? – syczał, a krew trupa, którą był zbryzgany, mieszała się z jego potem i skapywała mi na plecy.

– Dobrze ci, mała szmato? Zaciśnij uda, jeśli potrafisz! – krzyczał, szarpiąc mnie ręką za włosy. – Trochę szkoda, że nie mogę cię zabijać i patrzeć, jak zmartwychwstajesz, to by była dopiero frajda! – szalał. A potem opadł na mnie bez sił, a strużka śliny z jego ust spłynęła mi po policzku.

Co się stało z Inanną? Czy zamieszkała we mnie, czy odeszła na zawsze? Czy ja także zyskałam nieśmiertelność jak Franciszek? Jeśli tak, moja przyszła wieczność nie malowała się w jasnych barwach.

Kiedy mój brat w końcu stoczył się ze mnie, czułam się jak zbity pies. Co to za nieśmiertelność, jeśli cierpisz jak zwykły człowiek?

Brat rozkazał, bym przygotowała mu kąpiel.

– Musimy stąd odejść jak najszybciej, nie wiadomo, jakich jeszcze sługusów miała Inanna i kiedy się zjawia – powiedział.

Napełniłam balię wodą i umyłam go, a potem poszukałam ubrań w komnacie bogini. On w tym czasie plądrował jej skarbiec, gromadząc najcenniejsze przedmioty i wyłuskując klejnoty z pozostałych. Przynajmniej jego część umowy z Inanną została dotrzymana; był

nieśmiertelny, bogaty, no i miał mnie, nie do końca taką, jak sobie wyobrażał, ale jednak.

Kiedy wyłoniliśmy się z labiryntu jaskiń, była oczywiście noc. Rytuał zawsze odbywał się o północy. Dzięki panującym ciemnościom moje oczy nie miały trudności, jakich się spodziewałam, myśląc o wyjściu na zalany letnim słońcem świat. Lękałam się poranka i tego, jak poradzę sobie po tak długim czasie przebywania w jaskini. Moje obawy okazały się jednak płonne. Już pół godziny później przekupiony strażnik wpuszczał nas do Kazimierza, żydowskiego miasta oddzielonego rzeką od krakowskiego grodu. Mój brat miał przecież geszeft do zrobienia i chciał to załatwić jak najszybciej.

Zaprzyjaźniony handlarz nie tylko kupił od niego kradzione kosztowności, ale jeszcze uraczył nas kolacją. Brat zasiadł do jedzenia z grzeczności – nie odczuwał przecież głodu – ja natomiast wręcz rzuciłam się na jadło i długo nie mogłam się nasycić. Podane potrawy, choć ich dotąd nie znałam, wydały mi się niebiańską ucztą po dniach głodówki. Po pysznej zupie rybnej kupiec podał nam potrawkę mięsną z ciecierzycą. Charakterystyczny smak czulentu złamano egzotycznymi przyprawami, a wino okazało się lekkie i słodkie. Marchwiowy cymes z cynamonem, gałką muszkatołową i pieprzem był wyborny, a strudel z jabłkami pieścił podniebienie. Z pełnymi ustami dopytywałam o składniki i nazwy potraw, czując się tak, jakbym na chwilę znalazła się w innym czasie i miejscu. Ten posiłek pozwolił mi zapomnieć, że jestem więźniem i to podobnym do nieszczęśników strącanych do Tartaru, gdzie ich męka trwała przez wieczność, powtarzając się w upiornym i pozbawionym nadziei cyklu.

Moje łakomstwo zaniepokoiło brata, który już dłuższą chwilę przyglądał mi się z niesmakiem spod lekko opuszczonych powiek.

– Daj mi dłoń – zażądał.

To podziałało na mnie niczym wiadro wody ze strumienia. Wyciągnęłam rękę, spodziewając się najgorszego, i nie pomyliłam się. Brat

położył moją dłoń na stole, przytrzymał i brutalnie wbił w nią widelec. Krzyknęłam z bólu, nasz gospodarz złapał się za pejsy i ją zawodzić przeciągle: aj waj, aj waj. Chyba niezbyt lubił rozlew krwi we własnym domu. Posoka spływała mi po ręce przyszpilonej do stołu i wsiąkała w biały adamaszkowy obrus. Plama rosła i zdawała się lśnić czystą purpurą w świetle wieloramiennego, srebrnego świecznika.

Ciepły blask wcześniej umiłał nam wieczór, a teraz płomyki świec rzucały upiorne cienie na nasze twarze: moją wykrzywioną cierpieniem, brata – wściekłością, a kupca – lękiem. Trzęsłam się z bólu i strachu, zaciskając zęby, żeby więcej nie krzyżeć. Chwila w raju dobrego jedzenia i miodowego wina okazała się bardzo kosztowna. Jawne okazywanie słabości mogłoby zachęcić mojego brata do dalszego znęcania się nade mną. Jakże szybko opanowałam kod znany wszystkim ofiarom! Milcz, udawaj, że jesteś powietrzem, ale zachowaj czujność i nie spuszczaaj z oprawcy oczu; oczywiście rób to ukradkiem, bo spojrzenie prosto w twarz kata może go sprowokować. Franciszek drugą ręką złapał mnie za podbródek i uniósł moją twarz; chciał spojrzeć mi w oczy, ale ja odwracałam wzrok.

– Patrz na mnie, mała zdiro – wysyczał. – Patrz, kiedy do ciebie mówię. Jesteś więc zwykłą śmiertelniczką, a to ci niespodzianka. – Zaśmiał się złowieszczo, odsłaniając białe zęby. Nie widziałam już w nim występnego brata, ale upiora, który porywa małe dziatki i wysysa z nich krew. Tylko że ja nie byłam dziewczynką, a wyssanie krwi wydawało się całkiem dobrą śmiercią, w porównaniu do tego, co on mógł mi zgotować.

– Panie, panie, poniechaj! – Żyd jął zawodzić jeszcze głośniejsze, padł na kolana i rwał włosy z głowy. – Toż to niewinna dziewczeczka. Nie czyni jej krzywdy w moim domu, oddam ci wszystko, czego zażadasz, spełnię każde twoje życzenie, jakie by nie było, tylko jej tu nie ubijaj niczym jakiej kózki.

Ból w mojej ręce przeszedł w pulsowanie, upływ krwi powoli się zmniejszał, ale nadal płynęła, coraz bardziej plamiąc obrus. Brat popatrzył

na starozakonnego z namysłem, a potem wyszarpnął widelec z mojej dłoni, ponownie sprawiając mi nieznośny ból. Krzyknęłam po raz drugi i w duchu modliłam się, żeby zemdleć, ale wbrew męskiemu przekonaniu o płci pięknej, nie mdlejemy na życzenie.

– Skoro prosisz, Żydku, będzie ci dane – powiedział zimno Franciszek.  
– Nie potrzebuję twojego geszeftu. Złoto, które mam, mi wystarczy, nie jestem pazerny. Chcę jednak czegoś od waszej zakonnej braci. Włóczyłem się trochę po świecie z bratem, zetknąłem się z wami w Pradze. Wiem, że czynicie różne cuda, o których nam, prawym krześcijanom, się nie śniło. – Skrzywił się ironicznie, jakby sam siebie nie zaliczał do szacownego grona dobrych wyznawców Jezusa. – Słyszałem o waszym rabbim kabaliście, Natanie, który mieszka w bożnicy Na Górcie, dwa kroki stąd. Rzekomo ma niezłe podejście do umarłych, powiedziałbym nawet, że stawia ich na nogi. – Zaśmiał się cicho.

Kupiec skurczył się w sobie i trząśł niby osika. Dał słowo, a teraz ta obietnica obróciła się przeciw niemu. Owszem, wiedział o świętym mężu, który nie opuszczał ponoć swojej izby, studiował księgi i pisał uczone traktaty. Mówił mu o nim teść rabiego, Mojsze Jakubowicz, który był przyjacielem kupca. Natan z dnia na dzień nikł w oczach, jakby to, co robił przez całe noce, wysysało zeń wątłe życie. Mojsze spodziewał się rychłego końca młodzieńca i martwił się losem ukochanej córki; z drugiej strony sam był człowiekiem pobożnym i zakochanym w księgach, ufundował synagogę, na poddaszu której zięć się zaszył, nie mógł więc mieć żalu do Natana o jego gorliwość. Chodziły też plotki o widzeniach świętego męża, osobistej styczności z prorokami i innych cudach, ale kto by tam wierzył w bajania starych kobiet na targu.

– Panie, on nikogo nie widuje od lat, żona mu jedzenie pod drzwiami zostawia, jak ja mam do niego zagadać, o ja biedny, głupi, stary, chciwy Żyd – zawodził kupiec.

– A ja słyszałem co innego od twoich pobratymców w praskim mieście za murem. Ponoć M’galeh Amukot, jak go zwali między sobą, kabałę wyklada i odkrywa insze tajemnice nie z tego świata. Chcesz, bym opuścił twe progi, nie ubijając jej w twym domu? To sprowadź go. Masz na to trzy dni. Ja wyjadę, kwaterę muszę jakąś naszykować dla nas dwojga, gdzieś w miłym ustronnym miejscu, może w lasach Siedmiogrodu na ten przykład. A ty strzeż dziewczki jak żrenicy własnego oka, bo tym właśnie zapłacisz, jeśli jej się co stanie albo gdy zniknie. Dorzucę jeszcze język i parę uszu. No i jak będziesz geszefty bez języka w gębie robił, hę?

Starozakonny pobladł, jakby cała krew z niego odpłynęła. Ja także zamarłam i zapomniałam na chwilę o rwącym bólu w przebitej dłoni, którą owinęłam białym jedwabnym szalem – jedynej pamiątce po czarnowłosym nauczycielu, którą odważyłam się zatrzymać, gdyż była wystarczająco kobieca, by brat się nie zorientował. Nie wiedziałam, co szykował dla mnie Franciszek; może i lepiej, gdyż następne dni stałyby się wtedy jeszcze większym piekłem – choć poznając go od nowa, spodziewałam się rzeczy okropnych.

Miałam trzy dni na ucieczkę. Nadal byłam więźniem, a życie stawiało przede mną kolejny wybór-pułapkę. Uciekając, skażę tego niewinnego, dobrego człowieka na mękę. Owszem zajmował się paserką, ale czy to powód do takich cierpień? Nawet gdyby był mordercą, czy miałam prawo decydować, niby jakiś bóg, o jego losie? Zdając się zaś na łaskę brata, okażę się zwykłą, słabą kobietą, która raz dostawszy baty od ojca czy męża, potulnie znosi najgorsze męskie podłości i godzi się na los ofiary. Nie czułam w sobie bogini, ale nie byłam też cierpiętnicą, w czym dobitnie utwierdził mnie widelec tkwiący w mojej dłoni. Poproszę kupca, by wziął swój majątek i uciekł wraz ze mną; i tak żył samotnie, jego żona umarła, a córki, jak wspomniał przy kolacji, mieszkały gdzie indziej. Może się zgodzi.

– No to jak, Żydzie, robimy ten geszeft, czy mam cię na miejscu ukatrupić i sam załatwiać sprawę z uczonym rabbim? – spytał kpiąco Franciszek.

– Aj waj, aj waj, nie ma wyboru stary Josze – wyszeptał. – Tak, panie, jestem twoim uniżonym sługą – dodał głośniej.

– A jakby ci przyszło do tej pejsatej głowy, że możesz mnie wykiwać i sam z nią ubić interes, to pamiętaj, że żadne jej wdzięki nie osłodzą ci dni powolnych tortur, na które cię potem skazę. Wiedz, że dobry w tym jestem, a na kozackich psach niejedno już wypróbowałem, kiedy ostatnio podnieśli swoje durne łby i wszczęli powstanie. Znajdę was, gdziekolwiek się zaszyjecie, i żadne inne parchy wam nie pomogą.

Kupiec nic już nie mówił, tylko potulnie kiwał głową. We mnie serce stanęło, bo znów musiałam skazać kogoś na śmierć.

\*\*\*

Ranek zastał mnie w ciemnej piwnicy. Dobrze, że choć była sucha. Prowadziły do niej kręte korytarze i nie wiem, czy znalazłabym drogę na górę.

Kupiec zaprowadził mnie tam zaraz po wyjściu Franciszka; wcześniej skrępował mi przemocą ręce na plecach. Szarpałam się z nim chwilę, gryzłam, kopałam, drapałam, ale osłabiona dodatkowo wpływem krwi z przekłutej dłoni nie poradziłam sobie nawet ze starym, zasapanym grubasem. Na dole przypiął mnie za nadgarstki zardzewiałym łańcuchem do kółka umocowanego w ścianie. Zastanawiałam się, na co mu takie ustrojstwo w piwnicy, służącej głównie do przechowywania beczek z winem, ale nie miałam szansy go o to zapytać, bo zakneblował mi usta.

Żyd odszedł, mrużąc coś pod nosem przepaszająco. Niemniej odniosłam wrażenie, że nie pierwszy raz zostawia kogoś w tej ciemnicy. Wykazał dużą wprawę zarówno w krępowaniu moich rąk, jak i w przykuwaniu mnie łańcuchem.

I tak z każdej strony otaczały mnie wilki, nikomu nie mogłam ufać, bo każdy jeno patrzył własnej korzyści. Byłam zgubiona; zateśniłam znowu do balii z gorącą wodą i do ostrego sztyletu. Wmawiałam sobie, że tym razem na pewno wygrałabym ze swoim strachem i pozabawiłabym się życia tak jak kobiety, o których mówił czarnowłósy.

Ręka rwała mnie okrutnie i chyba dostałam gorączki, bo gdy tylko oparłam głowę o ceglany mur, z ciemności wychynęły różne majaki i zwidy.

Moje więzienie zaludniły duchy. Mateczka trzymała mnie w objęciach, dziadek wygrażał swoim kosturem i mówił o gniewie Bożym, a mój piesek, który zdechł, gdy miałam kilka lat, merdał ogonem, a potem szczyrzył kły, które ociekały krwią.

Pojawił się też czarnowłósy; jego twarz na początku tchnęła spokojem, oczy były pogodne, uśmiechał się łagodnie, ale później jakby maska zsunęła mu się z oblicza i ujrzałam groźnego demona. Czarna twarz była wykrzywiona, oczy wytrzeszczone, z rozwartej paszczy wystawały żółte kły ociekające śliną, a język długi i nabrzmiąły zwieszał się aż na brodę. Zrozumiałam, że jego dusza wcale nie zaznała spokoju i już nigdy nie zazna, nadal cierpiał męki, tyle że jako potwór domagający się ofiar od żywych. Nie mogłam mu za wiele dać; odwinęłam dłoń i wyciągnęłam w jego kierunku szal nasiąknięty krwią. Demon, łapą zakończoną długimi szponami, porwał swoją dawną własność, przyłożył materię do ociekającej zieloną flegmą paszczy i z sykiem wciągnął powietrze. Kiedy się tym nasycił, oddał mi szal, który na powrót stał się śnieżnobiały.

Zbudził mnie blask świecy i lekkie poszturchiwanie. Ręce nadal miałam skrępowane i przypięte łańcuchem do ściany, ale szalik otulający ranę był biały tak samo jak w moim śnie, a ręka nie bolała mnie ani trochę.

Kupiec odpalił drugą grubą świecę od tej trzymanej w ręce i umieścił w lichtarzu na jednej z beczek. Przyniósł mi resztki wczorajszego posiłku i wyjąwszy knebel, napychał mnie nimi jak, nie przymierzając,



bożonarodzeniową gęś. Dał mi się napić wody, a potem kazał pociągnąć łyk z manierki. Pierwszy haust rozlał się ogniem w przełyku. To była wyjątkowo mocna wódka, chyba ze śliwek, nie potrafiłam dokładnie określić smaku, tak paliła w gardło. Rozkaszałam się gwałtownie. Grubas poczekał, aż się uspokoję, i wlał we mnie resztę. Poszło dużo lepiej, ale paliło nadal. Już po chwili poczułam ciepło rozlewające się po całym ciele i powodujące lekkie odrętwienie członków i myśli. W sumie byłam nawet wdzięczna za to upojenie, gdyż na trzeźwo ciężko by mi się dalej siedziało w moim więzieniu.

– Nu, panna, zostawiam ci świeca, będzie się palić wiele godzin, a wieczorem tu zajrza do ciebie z kolacja – powiedział starozakonny takim tonem, jakby robił to nie po raz pierwszy. – Dziś środa, wczoraj słońce przeszło przez najwyższy punkt i na dodatek pełnia była. Te kabalistyczne głupoty, co je twój pan planują, to najlepiej uczynić, kiedy księżyc będzie młody – rzekł ze znawstwem, a mnie ciarki przeszły po krzyżu mimo całej manierki wódki, którą wlał mi do gardła.

Kupiec wyszedł. Zostałam sama i pijana. Nawet nie wiem, kiedy świeca zgasła – gdy się ocknęłam, było już ciemno. Nasłuchiwałam kroków, ale długo nikt nie nadchodził. W końcu grubas zjawił się z miską rosółu i kawałkiem pieczonej kaczki; jedzenia mi nie skąpił, śliwownicy zresztą też nie. Nakarmił mnie, upoił i spytał, czy muszę za większą potrzebą; musiałam, ale nie będę wdawać się w szczegóły. Przyniósł mi też nową suknię z moich zapasów i podścielił świeżego siana, które leżało na kupie pod drugą ścianą tuż obok beczek. Przebrał mnie, zerkając przy tym na moje nagie ciało, ale po wódce było mi to obojętne. Mimo gapienia się dotykane ograniczył do niezbędnego przy ubieraniu minimum. Potem życzył mi dobrych snów i zostawiając samą w kompletnej ciemności, poczłapał korytarzami.

W nocy duch czarnowłosego odwiedził mnie ponownie. Tym razem jednak nie miałam dla niego ofiary. Żyd zabrał statki po kolacji; pewnie bał

się, że dokarmiane szczury rozpanoszą się w jego składach. Lękałam się, że demon na mnie skupi swój gniew, ale on tylko błąkał się po moim więzieniu i zawodził przeciągle. Z przykrością patrzyłam na takie cierpienia, nic jednak nie mogłam uczynić, by mu pomóc. Może jutro postaram się ukryć trochę jedzenia, pomyślałam.

Czułam dziwny sentyment do tej nieszczęsnej duszy. Był moim strażnikiem, a jednak zadzierzgnęła się między nami więź. Poznałam koleje jego smutnego życia, widziałam jego oczami obce, cudowne miejsca, których inaczej nigdy bym nie zobaczyła. Jego intencje wynikały z chęci zemsty na bogini i bynajmniej nie były niewinne; chciał mnie wykorzystać, lecz rozumiałam go coraz lepiej. Nie mogąc i tak uratować siebie, chciałam mu pomóc. Tęskniłam też – co zaskakiwało mnie jeszcze bardziej – za jego dotykem, za tymi dwoma dniami, gdy mnie deprawował. Pomijając cały moralny aspekt, było to niezwykle podniecające doświadczenie i gdyby nie pobożne wychowanie, uznałabym chwile spędzone z czarnowłosym za jedne z lepszych w moim życiu. Nie kochałam go oczywiście, ale dał mi wiele przyjemności i byłam mu za to wdzięczna. Miałam nadzieję, że jego duch w końcu u kresu czasu zazna spokoju, a teraz wsłuchiwałam się w potępieńcze jęki mojego jedyne go towarzysza w tej ciemnicy.

Następny dzień przebiegł identycznie jak poprzedni. Nie udało mi się schować jedzenia. Kupiec był bardzo skrupulatny w sprzątaniu. Po kolacji przy przebieraniu umył mnie mokrą szmatą nasączoną pachnącym olejkiem. Byłam mu za to wdzięczna i przerażało mnie to uczucie. Od prawie trzech niedziel nie spotykałam innych ludzi poza moimi strażnikami i oprawcami. Czułam wdzięczność wobec nich za najmniejszy przejaw troski i litości. Jak widać nie trzeba wiele czasu, by upodlony człowiek stał się niczym ślepy żebrak pod kościołem: wdzięczny za każdego miedziaka.

Noc także upłynęła podobnie jak poprzednia. Nie zasnęłam nawet na chwilę, mimo dużej ilości wódki, którą piłam już jak stary wilk morski.

Wszystko mnie bolało, moje ścierpnięte ciało było tkliwe niczym obite kijem. Chciałam wyć razem z odwiedzającym mnie demonem.

Rano kupiec oświadczył, że mam się dobrze najeść, bo dziś jest szabas i on pojawi się dopiero jutro po zmierzchu. Poluzował mi jednak sznury na rękach i przypiął łańcuch tak, że mogłam swobodnie leżeć, a nie tylko siedzieć pod ścianą jak do tej pory. Zostawił mi bukłak z wodą i piersiówkę z wódką. Zastanawiałam się, kiedy wróci mój wszeteczny brat, gdyż powinien pojawić się właśnie jutro. Starozakonny jakby czytał w moich myślach. Wyjaśnił, że jeśli Franciszek nie zjawi się dzisiaj, to zawita u niego dopiero w sobotę po zmierzchu, bo w czas szabasu bramy miasta są zamknięte i nikt, nawet tak możny pan, nie dostanie się za mury do środka. Jednym słowem mogłam tylko trwać, czekając na koniec jednych tortur i początek innych.

\*\*\*

Zjawił się tuż przed zmierzchem. Kupiec przyprowadził go do mnie i oświadczył, że sam nie kiwnie palcem, bo zaczął się jego dzień odpoczynku. Wielmożny pan powinien się cieszyć, iż on, stary Żyd, przemyślnie tak zaplanował i wymierzył sklepy, by móc po nich w szabas chodzić, nie popełniając grzechu. Franciszek oczywiście próbował go zastraszyć, ale tym razem nie odniosło to spodziewanego skutku. Starozakonny był nieugięty i nie uląkł się nawet groźby rychłej śmierci.

Franciszek rozkuł mnie, przerzucił sobie przez plecy niby snopek zboża i zaniósł do domu Żyda. Tam sam naszykował kąpiel w dużej balii, rozwiązał mnie i rozebrał, następnie pomógł mi się umyć. Cały czas milczał, a twarz miał zaciętą i złą. Po kąpeli gestem nakazał mi się odziać i usiąść do szabasowej wieczerzy. Gospodarza niezbyt cieszyło nasze towarzystwo, ale starał się ukryć swoje niezadowolenie pod maską usługowości i pochlebstw. Podawał potrawy, przygotowane jeszcze przed zachodem słońca, dolewał obficie wina, którego sam jednak nie pił. Jadłam tylko ja, Franciszek ograniczył się do picia, zachowując grobowe milczenie.

Stan ciągłego upojenia pozwalał mi to wszystko jakoś przetrzymać i nie rzucić się na brata z widelcem. Wiedziałam, że nie miałyby to sensu i źle by się dla mnie skończyło: przybitą do stołu dłonią albo czymś znacznie gorszym. Ciekawił mnie powód wściekłości Franciszka, ale bałam się spytać.

W końcu nie wytrzymał, rzucił wściekle serwetkę na stół, rozlewając przy tym wino. Popatrzył na mnie przeciągle.

– Jak tam, czy moja mała siostrzyczka skruszała nieco niby kapłon w piwniczce? – zagaił przyjacielsko. Zadrżałam, nie wiedziałam, czy się odzywać, czy lepiej milczeć. – Odpowiadaj, dziewczyno – ponaglił mnie. – Doceniasz już zbliżającą się perspektywę zostania nieśmiertelną istotą?

A więc taki miał plan: chciał przy pomocy kabalisty uczynić mnie nieśmiertelną. Tylko czy było to w ogóle możliwe, i za jaką cenę? – zastanawiałam się, nic nie mówiąc i spuszczać głowę, bo naprawdę nie miałam pojęcia, co mu odpowiedzieć.

– Milczenie przyjmuję za zgodę i nawet podoba mi się twoje nowe pokorne zachowanie. Musimy poczekać na koniec tego utrapionego święta, bo rabbi, choć zgodził się pomóc, zapewne również nie raczy niczego zrobić w szabas. Eh! Parchy. – Westchnął pogardliwie.

Po kolacji kupiec zaprowadził nas do swojej najlepszej sypialni, pokazał, gdzie znajdę czyste piernaty i oddalił się do siebie. Pośpiesznie zajęłam się ścieleniem ogromnego rzeźbionego łoża, które zajmowało większość komnaty. Moja gorliwość przybliżyła wspólną noc, ale nie miałam już siły znosić razów; zresztą opór wydawał się bezcelowy. Dobrze, że kolacja nieco mnie pokrzepiła, bo nie wiem, czy podołałabym nawet tak lekkiemu zajęciu jak szykowanie posłania.

Franciszek rozdział się do bielizny, w czym musiałam mu, z braku innej służby, pomóc, po czym on jął rozbierać mnie. Patrzył przy tym spod zmrużonych powiek i uśmiechał się niczym kot do słońca.

– No, moja mała, nareszcie mam cię dla siebie i będzie tak już do końca świata, a może i wieczności – wymruczał. – Złość mi przeszła i jestem wdzięczny temu żółtkowi za zrobienie z ciebie kobiety. Nigdy mnie nie bawiło rozprawianie się z cnotą, wolałem niewiasty obyte w miłosnej materii, które w lot pojmowały moje zachcianki, a ty zdaje się zdobyłaś niezłą edukację. Tym bardziej cieszy mnie nasza wspólna przyszłość.

Zadrzałam, bynajmniej nie z zimna, bo czerwiec był wręcz upalny. Sobótka na dodatek. Moje rówieśnice plotły i rzucały wianki na wodę, śmiały się i wyobrażały sobie przyszłych narzeczonych. Ja tymczasem po tylu dniach spędzonych w jaskini i piwnicy, otumaniona narkotycznymi substancjami i wódką, w wieku szesnastu lat odarta z czci i pozbawiona nadziei, miałam zaręczyć się z przystojnym huzarem, stałam się nałożnicą najpierw czarnowłosego, potem własnego brata, i nie widać było końca tej udręki.

Brat, zdjęwszy z nas całe odzienie, ujął delikatnie moją dłoń i zaprowadził do łoża. Wziął mnie na ręce i ułożył na adamaszkowej pościeli, a potem spoczął tuż obok. Zamknęłam powieki, a dłonie same zacisnęły się w pięści. Ale on pogładził moją twarz opuszkami palców, jakby chciał zmazać z niej grymas smutku i bólu. Potem wziął moją dłoń i położył sobie na piersi. Czułam jego ciepło i bijące serce. Czułam jego zapach – taki znajomy i do niedawna dodający otuchy.

– Śpij, siostrzyczko, będę strzegł twoich snów – wyszeptał miękko i pocałował wnętrze mojej dłoni. – Nie bój się, wiem, że jesteś piekielnie wyczerpana, nie oczekuję niczego od ciebie tej nocy.

Długo leżałam z zamkniętymi oczami, bojąc się nagłej zmiany jego nastroju, tego, że rzuci się na mnie jak poprzednio, ale nic takiego nie nastąpiło. Tylko na mnie patrzył i czasem gładził to po twarzy, to po dłoni, to po włosach rozrzuconych na poduszce.

W końcu musiałam usnąć; zbudził mnie promyczek słońca wnikający przez szparę pomiędzy grubymi kotarami zasłaniającymi okno sypialni. Ta

smużka światła niby sztylet wbiła się w moje źrenice od tyłu dni nawykłe tylko do ciemności. Zacisnęłam powieki, a potem ponownie otworzyłam oczy – było nieco lepiej. Stopniowo przyzwyczajałam się do blasku słońca.

Przekręciłam głowę w bok. Brat spał obok mnie ze swobodnie rozrzuconymi rękami, jego muskularna pierś unosiła się w regularnym oddechu. Twarz miał taką spokojną i piękną. Prosty nos, gęste ciemne brwi, jak wyrzeźbione z marmuru kości policzkowe i podbródek pokryty świeżym zarostem, ładnie wykrojone usta, zwykle stanowczo ściągnięte, teraz półotwarte i lekko nabrzmiące od snu. Podparłam się na łokciu i gapiłam na niego – cóż miałam lepszego do roboty – wołałam, gdy spał, byłam wtedy bezpieczna. Może dzięki tej chwili spokoju, wymyślę jakiś sposób ucieczki. Nie wierzyłam, że wstrzemięźliwość Franciszka potrwa dłużej niż tę jedną noc. Nie mogłam czekać, mimo że był dopiero wczesny ranek; wieczór i koniec szabasu zbliżały się nieubłaganie.

Franciszek chyba instynktownie wyczuł, że na niego patrzę – przeciągnął się, mruknął coś, śpiąc jeszcze, a potem otworzył oczy i rzucił mi zamglone spojrzenie. Uśmiechnął się w błysku rozpoznania, ale gdy drgnęłam przestraszona, jego oblicze zasnuł cień.

– Wyspałaś się? – spytał, jak byśmy byli zwykłą parą małżeńską budzącą się wspólnie w letni poranek. – No to musimy przygotować ci jakieś śniadanie, gdyż na tego parcha nie możemy liczyć. – Skrzywił się ironicznie, a potem poderwał lekko z łoża i rzucił we mnie odzieniem.

– Rusz się, panna – ponaglił. – Chyba nie muszę ubierać takiej dużej dziewczynki? – spytał łobuzersko.

Kompletnie się pogubiłam; najpierw krzyki, szturchańce, bicie i gwałty, a teraz familiarne zachowanie, jakbyśmy znowu byli dziećmi, jakby te wszystkie okropieństwa nigdy się nie zdarzyły. A może uderzyłam się w głowę, wywieźli mnie na jakąś kurację, a cała reszta mi się przyśniła? Tylko czemu leżałam naga w łóżku razem z bratem? Zmienne nastroje Franciszka były chyba najgorsze; wołałabym, że cały czas pozostawał okrutnikiem i

odmieńcem, który gwałci rodzoną siostrę. Jak miałam go traktować, jak się przy nim zachowywać? I jak miałam mu uciec, nie dając się omamić chwilowej dobroci?

Ubrałam się szybko i zeszliśmy po krętych schodkach na parter kamieniczki. Na dole panowała cisza, tylko z sypialni gospodarza dobiegało pochrapywanie. Brat konspiracyjnie położył palec na ustach i niczym dzieci zakradliśmy się do kuchni w poszukiwaniu czegoś na śniadanie. Sielanka trwała, Franciszek wygrzebał skądś kielbasę, ser, kawałek czerstwego chleba i wino. Podał mi to z taką miną, jakby serwował kapłona na srebrnym półmisku, i uśmiechnął się zachęcająco.

– Jedz, musisz być głodna. Trochę ci zazdroszczę, ja już nie czuję potrzeby jedzenia. Mógłbym wprowadzić jeść dla smaku, tak jak piję wino dla jego aromatu, ale... to już nie to samo. Cóż, nawet nieśmiertelność ma swoje wady.

Patrzył w skupieniu, gdy przeżuwałam każdy kęs. A mi te kęsy stawały w gardle, a do oczu cisnęły się łzy. Jediną bliską osobą, jaka mi pozostała na tym świecie – bo jakoś przestałam wierzyć w powrót do domu – był brat zboczeniec i sadysta, a czasem uroczy łobuziak i troskliwy opiekun.

– Zbieraj się, dziewczyno – ponaglił mnie, gdy przełknęłam resztkę kielbasy. – Nas nie obowiązuje szabas, pokażę ci żydowskie miasto; teraz żywej duszy w nim nie ma.

Zostawiwszy w kuchni bałagan, wymknęliśmy się z kamieniczki na zalaną porannym słońcem ulicę Szeroką.

To miasto, tak odmienne od znanej mi Kalwarii, zachwyciło mnie swoimi wąskimi uliczkami, nierównym brukiem i atmosferą tętniącego życiem bazaru, wyczuwalną mimo szabasu. Liczne sklepy i sklepiki, antykwariaty, warsztaty, jatki, wszystko było dziś zamknięte na głucho. Ulice świeciły pustkami; czasem tylko przemknął *szabes goi* – brat

wytłumaczył mi, że to krześcijanin za pieniądze usługujący starozakonnym w szabas.

Franciszek nawet niespecjalnie mnie nie pilnował; szedł obok rozluźniony i ze swadą opowiadał różne żydowskie anegdoty. Najwyraźniej uznał, że mnie do siebie przekonał, albo wiedział, że w tej dzielnicy mu się nie ukryję ani tym bardziej nie uda mi się stąd uciec. Sama chwilami zapominałam o swojej fatalnej sytuacji i po prostu cieszyłam się słońcem, na które wyszłam pierwszy raz od tyłu dni. Ponieważ zmęczyłam się długim spacerem, usiedliśmy na niskim murku przy Starej Bóżnicy, a brat wskazał ręką na sąsiednią narożną kamienicę.

– Tam, na poddaszu, mieszka rabbi, który przemieni cię w nieśmiertelną istotę. Jedyna przykra strona tego przedsięwzięcia to śmierć, którą muszę ci najpierw zadać. – Schylił się i owiewał moje ucho oraz szyję oddechem, szepcząc: – Nie bój się, zrobię to szybko, a wcześniej podam ci narkotyk, który dostałem od tego żółtka. Nie będziesz niczego świadoma, obudzisz się jako wiecznie żywa.

Skóra ścierpła mi na karku, a całe ciało zeszywniało. O wąski, ostry nożu, czemu cię nie użyłam, kiedy był czas po temu? Czemu się zawahałam? Teraz, nawet gdybym popełniła samobójstwo, zrobiłabym jeno przysługę bratu. Patrząc na budynek, gdzie mieszkał mój przyszły kat, pograżyłam się w zadumie. Czymże jest nasze ludzkie życie, takie kruche, a równocześnie niosące tyle bólu? Czymże jest śmierć, której się lękamy, a która bywa wyzwoleniem od trosk? Ale nie dla wszystkich, nie dla mnie... „Nie wszytek umrę” – pisał poeta z nadzieją na życie wieczne w ludzkich umysłach i sercach, i nie pomylił się. Ja chciałam umrzeć wszytka i już nie musieć niczego przeżywać ani o niczym decydować, nawet życie wieczne przestało być dla mnie atrakcją po tym, czego się dowiedziałam. Któż to wie, gdzie zabłąka się moja dusza? Najlepiej szczeznąć jak zwierzę, raz na zawsze, stając się pokarmem dla robactwa i pożywką dla roślin. Nie było mi to jednak pisane.



\*\*\*

Zmrok, chociaż dzień był długi, zapadł szybciej, niż bym tego chciała. Skończył się mój ostatni dzień w ludzkiej postaci. Brat podał mi eliksir zapomnienia i zapadłam w sen, który mógłby być wieczny, gdyby rabbiemu coś się nie udało. Modliłam się o to gorąco.

Obudziłam się, nie mogąc oddychać, krztusiłam się i wypluwałam ziemię z ust. Aż w końcu zaczerpnęłam tchu. Żyłam. Leżałam w całkowitym mroku. Ktoś jednak był obok i trzymał mnie za rękę.

– Nie bój się – wyszeptał głos z ciemności. – Jestem Natan, to ja cię przywołałem. Zaraz zapalę świecę, ale zanim to zrobię, zdradzę ci najważniejszy sekret, który musisz zachować dla siebie dopóty, dopóki zechcesz żyć w tej postaci. Powiem ci, jak możesz powrócić na tamtą stronę.

Głos z ciemności opisał mi dokładnie warunki mojej ostatecznej śmierci, a ja je zapamiętałam.

Potem rozbłysło światło. Leżałam w jakiejś zimnej piwnicy, pełnej wilgoci i korzeni wystających z obsypujących się ścian. Cała byłam uwalana błotem. Sukienkę dodatkowo znaczyły plamy zaschłej krwi.

– Za chwilę poczujesz przemożny głód, a ja nauczę cię, jak go zaspokajać – mówił rabbi, ściskając moją dłoń. – To druga najważniejsza rzecz w twoim nowym życiu: umiejętność pożywania się bez konieczności zabicia żywiciela.

O czym on, na rany Jezusa, mówił? Nie chciałam pożywiać się jakimiś żywicielami! Czyżbym miała teraz ssać mleko prosto z krowiego cycka?!

– Ja będę twoją pierwszą kolacją. Dam ci swoją rękę, wbijesz w nią zęby i napijesz się mojej krwi.

Odebrało mi zdolność mówienia. Byłam jakimś żydowskim upiorem karmiącym się żywymi ludźmi i musiałam się nauczyć, jak to robić, by ich przy okazji nie zabić. Byłam, o czym mi powiedział rabbi, estrią, demonem, czasem uznawanym za wiedźmę. Potrafiłam ponoć poruszać się bardzo

szybko, a nawet latać tuż nad ziemią. Stałam się bardzo bladą, ponętą kobietą żyjącą w mroku, żywiącą się ludzką krwią i czerpiącą energię ze stosunków seksualnych z mężczyznami. Powstałam, gdyż nie został mi zapewniony porządny pochówek. Zwykle działo się tak przypadkiem, przez niedbalstwo lub pośpiech rodziny, w czasie epidemii i wojen, lecz mnie celowo skazano na wieczną tułaczkę. Nie było też pocieszeniem – wręcz przeciwnie – że mogę ponoć zmienić się w kota lub inne zwierzę.

Natan podstawił mi pod nos swój nadgarstek, na którym zauważyłam małe, dość świeże nacięcie, tak jakby wczoraj otwierał sobie żyły. Ten widok wprowadził mnie w stan najwyższego podniecenia. Nie zastanawiając się dłużej, wbiłam kły w nadgarstek rabbiego i zaczęłam ssać jego krew. Była przepyszna.

On jednak dość szybko wyrwał mi się i zbieleńszymi wargami wyszeptał, że już wystarczy.

Jak to?! – chciałam zawyć. Mogłabym tak ssać i ssać, głód był nie do zniesienia.

– Nie mogę dać ci więcej. Teraz wyjdziemy z tej piwnicy i nauczę cię polowania. A wcześniej pewnie przywitasz się z bratem i zażyjesz kąpieli – powiedział.

Poszłam za nim jak cielątko za matką, bo tym się dla mnie stał: dojną krową, z której płynęło słodkie mleczko. Okazało się, że zimna piwniczka znajduje się koło żydowskiego cmentarza. Musieliśmy więc przemknąć przez Szeroką, uważając, by nikt nas nie zdybał. Wyglądałam jak świeżo pochowany i na nowo wykopany nieboszczyk, a to mogło niezbyt przychylnie nastawić do nas mieszkańców miasta. Na szczęście ulice były opustoszałe; nie to co obecnie, kiedy każdego wieczoru przez dzielnicę przelewają się tłumy.

Dotarliśmy szybko do kamieniczki kupca i zniknęliśmy w bramie, która otworzyła się przed nami. Za nią czekał mój brat i mimo całego brudu, jaki na sobie miałam, wziął mnie w ramiona i okręcił się dookoła.

– Tak się cieszę, moja mała – wyszeptał mi wprost do ucha. A ja, czując w pobliżu jego pulsującą tętnicę, miałam wielką ochotę zatopić w niej kły. Powstrzymałam się z czystego obrzydzenia; przemiana w estrię pozbawiła mnie życia, ale nie zabrała złych wspomnień. Brat postawił mnie na ziemi, wziął za rękę i zaprowadził po schodach do pokoju, gdzie stała balia z wodą. Pozwoliłam się wykapać i szczerze mówiąc, było mi obojętne, że widzi mnie nagą, zwłaszcza że musiałam koncentrować całą siłę woli na tym, by jednak nie wgryźć mu się w szyję. Kiedy się ubrałam, zeszliśmy do rabina czekającego na dole i palącego spokojnie fajeczkę.

Natan nie był jeszcze starym człowiekiem, ale miał w sobie suchość typową dla osób długo obcujących tylko z księgami. Tak jakby wysysały go na wiór, ożywając jego kosztem. Chudy, wysoki, przygarbiony i wiecznie zamyślony rabbi, ubrany w powycierany chałat, zdawał się bardziej duchem niż człowiekiem. Następnego upiór na mojej drodze, pomyślałam.

Na nasz widok Natan otrząsnął się z zadumy i podniósł z fotela. Schował fajkę do kieszeni i kiwnął na mnie ręką.

– Czas na łowy, moja panno – rzekł.

Kolejne godziny spędziliśmy w dużo gorszej części żydowskiego miasta, gdzie sprzedawały swe młode ciała Rachele, Rebeki i Salcie. Muszę przyznać, że smakowały wybornie, a ponieważ same chętnie nadstawiały szyje i nadgarstki, jedzenie nie stanowiło zbyt wielkiego wyzwania. Dość szybko opanowałam sztukę kończenia posiłku w porę, by ofiara nie umarła z wyczerpania. Rabbi był ze mnie bardzo zadowolony.

Potem wyznaczył mi trudniejsze zadanie. Miałam sama znaleźć ofiarę, oczarować ją, najeść się, a potem sprawić, by o wszystkim zapomniała. Okazałam się pojętną uczennicą i udało mi się to już za pierwszym razem.

Po tej uczcie wróciliśmy do domu kupca, który chyba przezornie nas unikał, więc nie widziałam go od czasu powrotu z porannego spaceru. Wolałam myśleć, że żyje, choć zbytnio mnie to nie interesowało. Byłam estrią i ciągły głód, który czułam od przebudzenia, powoli odzierał mnie z

wyższych uczuć. Zaczynałam patrzeć na ludzi jak na zwierzęta rzeźne; nawet mój nieśmiertelny brat kojarzył mi się głównie z posiłkiem. Ten głód był obezwładniający, myśli o jego zaspokojeniu zajmowały w mojej głowie coraz więcej miejsca. Wspomnienia nadal tam tkwiły, ale zbladły i straciły moc ranienia mnie.

Nadszedł ranek. Chwilowo nasycona położyłam się spać; Franciszek legł koło mnie, ale szybko się wycofał. Gdy był blisko, moje kły same się obnażały. Wprawdzie nie mogłam go zabić, ale widać nie czerpał przyjemności z bycia ofiarą upiorzycy.

Przespałam cały następny dzień, a nocą udałam się na polowanie. Szło mi coraz lepiej. A jednak, żeby się w pełni nasycić, zapłaciłam kilku dziewczynom i wysłałam je po kolei aż do granicy omdlenia. Potem postanowiłam odwiedzić mojego stwórcę. Odkryłam, że jestem bardzo silna; bez trudu wspięłam się po murze jego kamienicy wprost do uchylonego okna. Jak zwykle siedział zatopiony w księgach. Podniósł głowę dopiero, gdy położyłam mu rękę na ramieniu.

– Wiedziałem, że do mnie przyjdiesz, moje dziecko – rzekł ciepło. – Moja krew cię wzywa. Proszę, napij się, tylko uważaj, bo jestem słaby na ciele, i już chyba nie za wiele we mnie życia.

Nie mylił się, biedaczek; po tygodniu moich regularnych odwiedzin świeca w jego oknie na poddaszu zgasła na zawsze. Rabbi spoczął na cmentarzu Remuh koło synagogi. Grób Natana, zniszczony podczas okupacji niemieckiej, niedawno odrestaurowano i obecnie jest jednym z najchętniej odwiedzanych. Jego współwyznawcy nie zapomnieli o nim przez tyle wieków. Wtedy, po samotnej śmierci na swoim poddaszu – nikt przecież nie wiedział się, że go odwiedzałam – bracia w wierze uznali go za wielkiego nauczyciela, odkrywcę tajemnic, znawcę ksiąg. Myśleli, że umarł z umysłowego wyczerpania, studiując święte pisma.

Owszem, umarł z wyczerpania, ale głównie spowodowanego moimi regularnymi wizytami, choć po ostatniej zostawiłam go siedzącego nad

Talmudem. Żył, kiedy wymykałam się przez okno. Nie chciałam go zabijać i nie do końca uwierzyłam, gdy ostrzegał mnie, że jego ciało jest słabe; przecież dobrowolnie pozwalał mi pić swoją krew, nie musiałam mamić jego umysłu. Płakałam po nim, był takim światłym człowiekiem, mądrym i wykształconym, znającym liczne języki ówczesnego świata. Żałowałam, że nie spotkałam go w innych okolicznościach; mogłabym zostać jego uczennicą, a właściwie uczniem, gdyż raczej nie przyjąłby na praktykę dziewczyny. Choć ten krótki czas naszej znajomości przesycony był zapachem i smakiem świeżej krwi, potrafiłam dostrzec bijący od niego blask wielkiego człowieka.

Jedno mi tylko nie pasowało w tym obrazie: dlaczego osoba tak światła dała się namówić na stworzenie potwora, z którym w normalnych okolicznościach walczyłaby z całą zaciekłością. Podejrzewałam kolejną machinację braciszka, nie umiałam jednak rozgryźć, w jaki sposób skłonił Natana do współpracy. Może to ja źle oceniłam nauczyciela, może zgłębianie coraz mroczniejszych tajemnic obudziło w nim pragnienie, by stworzyć własne dzieło i na podobieństwo Jahwe tchnąć życie w martwą materię. Motywy rabina pozostaną dla mnie zagadką, gdyż brat odmawiał odpowiedzi za każdym razem, gdy go o to pytałam.

Śmierć i pogrzeb Natana wyrwały Franciszka z odrętwienia, w którym ostatnio się pogrążył. Stwierdził, że czas opuścić to miejsce, bo w końcu sprowadzę na nas kłopoty. On przygotował już ładny dworek w Siedmiogrodzie, gdzie do woli będę mogła polować na okolicznych wieśniaków. Poza tym ma dość czekania i chce, bym zaczęła mu płacić trybut za dar nieśmiertelności. Na koniec kazał mi zabić naszego gospodarza, gdyż stanowił dla nas za duże zagrożenie.

Okazało się, że kupiec ostatnie dni spędził w swojej piwniczce, przykuty łańcuchem do ściany, jak ja wcześniej. Trafił tam za próbę szantażu; groził, że ujawni moje bezceństwa, jeśli Franciszek nie wynagrodzi sownie jego milczenia.

Załatwiłam sprawę szybko, choć nie był zbyt smaczny, miał chyba za dużo tłuszczu we krwi. Nie czułam wiele, pozbawiając kupca oddechu; trochę było mi go żal, a trochę czułam satysfakcję, że z ofiary stałam się prześladowcą. Żal przypominał smutek po zjedzeniu gęsi chowanej całe lato z myślą o Bożym Narodzeniu. Ot, zwykła kolej rzeczy. Szkoda, że nie smakował równie pysznie jak gąska.

Po zagrzebaniu zwłok gospodarza w najdalszej piwniczce, której podłoga nie została wyłożona kamieniem, udaliśmy się w kierunku bramy południowej i traktu lwowskiego. Zachodzące właśnie słońce kładło się krwistą łuną na dachach i kominach.

Ubrałam się w suknię z długim rękawem i owinęłam głowę szalem, by nawet te delikatne promienie nie oszpeciły mojej skóry, która teraz była bardzo podatna na słoneczne oparzenia. Brat, odziany jak możliwy pan, robił stosowne wrażenie i wszyscy schodzili nam z drogi; strażnik bez problemu przyjął mieszek pieniędzy.

Za murami czekał na nas sługa Franciszka z wypoczętymi końmi. Wskoczyłam na siodło z dużą przyjemnością. Szybka jazda w tę ciepłą noc była czystą rozkoszą. Kiedy tylko zaszło słońce, zrzuciłam szal i wiatr rozwiewał moje włosy; ścisnęłam boki konia i bez trudu wyprzedziłam brata. On, nieco zaniepokojony, zaczął mnie gonić, a ja, śmiejąc się, przyspieszyłam z kłusa do galopu, by po chwili przejść w szalony cwał. Będąc martwą, czułam w sobie więcej życia niż kiedykolwiek. Moje ciało rozsadała nieznana moc, byłam bardzo silna i szybka, czułam się niczym bóg. Franciszek próbował mnie dogonić, ale choć miał równie dobrego konia, nie dawał rady.

Trakt przed nami wiódł głównie przez liściaste lasy i gdyby nie ustępująca pełnia księżyca, byłoby za ciemno nawet na spokojną jazdę. Tymczasem moje oczy widziały w ciemności równie dobrze jak za dnia, a koń jakby scalał się ze mną i stworzyliśmy jeden organizm, którego byłam głową. Gdy wierzchowiec zaczął pokrywać się pianą, zwolniłam do stępa,

nie chcąc go zajechać. Po chwili zatrzymałam się tuż obok prześwitującej zza drzew łączki. Zeskoczyłam lekko, podprowadziłam konia do drzewa, przywiązałam do pnia i rozsiodłałam. Brat właśnie wjechał kłusem na polankę; niemal sfrunął z siodła i podbiegł do mnie. Jego twarz wykrzywił gniew, oczy miały błyskawice; zamierzył się na mnie, chcąc uderzyć w twarz, ale uchyliłam się swobodnie i unieruchomiłam jego rękę w stalowym uścisku. Dla mnie jego ruchy były niesamowicie wolne. Zaskoczyło go to. Szarpnął się, ale ja tylko zwiększyłam siłę chwytu. Próbował drugą ręką pociągnąć mnie za włosy, ale złapał jedynie powietrze. Puściwszy dłoń Franciszka, błyskawicznie zmieniłam miejsce, stając za jego plecami.

– Masz coś dla mnie na kolację, braciszku, jestem głodna – wyszeptałam mu prosto do ucha i polizałam po szyi.

Przeszedł go dreszcz strachu, a może pożądania. Obrócił się w moją stronę i objął mnie w tali. Nie opierałam się. Moje obrzydzenie do brata powoli topniało w obojętności nowej egzystencji. On był nieśmiertelnym wojownikiem-cesarzem, a ja jego wspanią cesarzową, jakby rodem z talii starych kart, które znalazłam u kupca, kiedy szperałam w jego bibliotecę, nudząc się po powrocie z nocnych łowów. Karty były kolorowe i przedstawiały różne postacie; służyły do gry w taroka oraz do stawiania wróżb.

A może ja byłam śmiercią, a on głupcem, innymi figurami z talii? To się dopiero miało okazać.

Brat przyciągnął mnie do siebie i lekko ugryzł w wargę, aż poczułam smak własnej krwi. Oblizałam usta i zbliżyłam do jego szyi, on przyzwalająco odchylił głowę. Smakował jak ambrozja, nieśmiertelność uszlachetniła jego krew; szkoda, że nie duszę. Choć właściwie było mi to obojętne. W porównaniu z tym, czego ja pragnęłam, zachcianki Franciszka wydawały się niewinnymi igraszkami chłopca, który męczy żabę nad stawem i wyrywa muchom skrzydełka.

## Rozdział V

Łowca musiał przysnąć, znużony długim monologiem Iny. Gdy otworzył oczy, kobiety nie było koło niego. Dzień Wielkiego Piątku trwał już w najlepsze, zmierzając do południa.

Mężczyzna zwlókł się z wąskiego łóżka, na którym nocą estria, oparta o jego pierś, snuła opowieść niczym pajęczyna sieć, by schwytać Łowcę i uwięzić go w swoim świecie na zawsze. Posłanie pachniało ich wspólnym potem, ale nie mógł sobie pozwolić na takie bzdury jak wążanie pościeli; musiał sprawdzić, gdzie podziała się Ina i co knuje.

Nadal nie wiedział, na ile może wierzyć jej słowom, nie wspominając o zaufaniu. To ostatnie słowo praktycznie nie istniało w ograniczonym słowniku mężczyzny, więc pozostawała kwestia prawdomówności Iny i przewidzenia jej następnych ruchów. Spędzili ze sobą dwie noce, bliżej siebie już być nie mogli, jednak dla Łowcy niewiele to zmieniało. Owszem było to dla niego nowe doświadczenie, bardzo przyjemne nawet, ale nie osłabiło jego czujności. Ludzie – nieludzie pewnie też – zwykle chcieli jednego. Twierdzili, że pragną różnych rzeczy: pieniędzy, pięknych przedmiotów, miłości, seksu, dzieci, wiedzy, przyjaźni, uwielbienia, sławy, długo by można wymieniać. Mężczyzna wiedział jednak, że tak naprawdę chcą tylko władzy – całkowitej kontroli nad innymi istotami i nad światem – która jest najbardziej uzależniającym z narkotyków: kto raz jej spróbuje, tęskni za nią już zawsze. On uwielbiał mieć władzę nad rzeczami i ludźmi; to, nad czym nie dało się zapanować, nie interesowało go. Teraz role się odwróciły. Ina miała nad nim pełną kontrolę. Czego chciała więcej? By zadał jej śmierć? Nadal w to nie wierzył. Otrzymała dar, którego mógł jej tylko zazdrościć. Potrafiła manipulować ludźmi, by spełniali jej zachcianki, była silną, nieśmiertelną istotą – i chciała z tego zrezygnować? Absurd.



Znalazł ją w swojej sterylnej kuchni, śpiącą w czarnym worku sekcyjnym. Nie budził jej. Wziął prysznic, posprzątał mieszkanie, aż osiągnęło stan idealny, tak jak lubił. Nie mógł znieść brudu w swoim otoczeniu. Z lekkim obrzydzeniem zmienił pościel miejscami aż sztywną po ich wczorajszych zmaganiach. Zjadł lekkie śniadanie i też położył się spać. Ina nie wstanie przed zmrokiem, a on był po prostu wykończony.

Obudziło go lekkie muśnięcie jej włosów. Schylała się nad nim całkiem naga. Podniósł się szybko, czując nieuzasadniony lęk. Miał wrażenie, jakby coś się zmieniło w Inie, a poza tym było jeszcze całkiem jasno; słońce wpadało przez zachodnie okno sypialni, kąpiąc skórę kobiety w ciepłym blasku. Nie przeszkadzało jej to, zresztą najpewniej właśnie ona rozsunęła kotary.

– Kim jesteś i dlaczego trzymasz mnie nagą w plastikowym worku na podłodze swojej kuchni? – zapytała kobieta, a w jej oczach widział autentyczną ciekawość, pozbawioną strachu. – W sumie mi to nie przeszkadza, ale to dość dziwne, nie sądzisz? – kontynuowała, podchodząc do okna i otwierając je. Lodowaty wiatr wślizgnął się do środka jak pies, który tylko czeka na uchylenie drzwi do sieni. Kobieta odwróciła się, oparła o parapet i stała, naga i w ogóle niezawstydzona. Jej ciało pokryło się gęsią skórką, ale nie zwracała na to uwagi.

– Masz może jakieś fajki? Strasznie chce mi się palić, zwłaszcza kiedy się budzę u obcego faceta w domu. – Otwarcie się na niego gapiała, jakby szacowała, czy jej seksualny wybór był trafny, a wczorajsze pijaństwo opłacało się. Mężczyzna pokręcił głową i wstał, owijając się prześcieradłem; też był nagi. Roześmiała się i zacmokała z uznaniem.

– No, no, zbyt rozmowny nie jesteś, ale muszę ci oddać, że masz piękne ciało, a ta szmatka ani trochę nie ukrywa twojej erekcji. Poczytuję to za komplement – wymruczała.

Łowca, lekko zawstydzony, popatrzył w dół. Cóż, miała rację... Tylko kim, u diabła, była? Wyglądała jak Ina, ale to z pewnością nie była ona.

Mówiła, poruszała się, a nawet odgarniała włosy w zupełnie inny sposób. Owszem, można udawać kogoś innego, można nauczyć się mówić i poruszać inaczej niż zwykle, ale pewne drobne, nieświadome gesty pozostaną. Poza tym, będąc nago, trudniej odgrywać jakąkolwiek rolę.

– To skoro nie masz fajek, może chociaż zamówmy coś do picia i jedzenia? Umieram z głodu, w lodówce masz tylko surowe mięso, a ja nie gustuję w koninie. Napiłabym się też jakiegoś wina, łeb mnie boli po wczorajszych baletach, myślę, że najlepszy będzie klinik. A potem wskoczmy do tej świeżutkiej pościeli. Co ty na to? – zalała go potokiem słów. – Ej, stary, to właściwie gdzie mnie wczoraj posuwałś? Na kanapie? A może na tym metalowym stole w kuchni? He, he. To mogło być nawet podniecające.

Mężczyzna kompletnie nie mógł zebrać myśli. Jego kontakty z kobietami ograniczały się do zakneblowanych ofiar, Róży oraz Iny. Żadna z nich nie była tak nachalna, wulgarna i bezpośrednia jak ta tutaj istota, która właśnie wychylała się przez okno i podziwiała okolicę, wypinając przy okazji swój goły tyłek. Podeszedł do niej, prześcieradło spadło na podłogę. Odsunął ją od okna i zatrasnął je, aż szyba zadźwięczała w starych ramach. Pchnął ją lekko; brzuch kobiety wbił się w parapet. Stanął za nieznaną i przytrzymując jej dłonie, wszedł w nią dość brutalnie. A ona tylko zamruczała i zaczęła się rytmicznie poruszać, jakby właśnie tego się po nim spodziewała.

Kiedy skończyli się pieprzyć – tylko takie słowo przyszło mu do głowy – kobieta siadła przed jego laptopem i w ciągu pięciu minut zamówiła przez Internet pizzę i wino. Nie wiedział, że to w ogóle możliwe, ale widać niektóre z pobliskich knajp szukały wciąż nowych sposobności zarobku i nawet nie trzeba już było dzwonić, bo przyjmowały zamówienie on-line.

– No to teraz może byś mi przypomniał, jak masz na imię, skoro znamy się już tak dobrze – zagaiła, moszcząc się na jego kanapie. – Nie

żeby mnie to specjalnie interesowało. To, co masz między nogami, jest dla mnie wystarczającą wizytówką. – Zaśmiała się.

– Ergh – Łowca z głębi gardła wydobył nieartykułowany dźwięk.

– Okej, trochę dziwnie, ale nie ma sprawy, Erghu. Ja jestem Renia, gdybyś zapomniał – przedstawiła się. – Jak się pewnie domyślasz, lubię się bzykać. Więc kiedy już zjemy, możemy powtórzyć ten numer, tylko tym razem klęknię o tu, na kanapie, będzie mi wygodniej, nie sądzisz? – Czule poklepała skórzane oparcie. – Zaraz przyniosą pizzę. Ty się ubierasz czy ja? Może ty, wciągniesz tylko jeansy i wystarczy. Ja uwielbiam chodzić nago i robię to, kiedy tylko mogę.

Jej monolog przerwał dzwonek domofonu. Mężczyzna wskoczył w spodnie i poszukał portfela. Sytuacja, w której się znalazł, była tak absurdalna, że na razie postanowił nie myśleć za wiele, tylko na bieżąco mierzyć się z szaleństwem tej kobiety. Może kiedy będzie jadła i piła, przestanie na chwilę gadać, a on wpadnie na jakieś rozwiązanie. Odebrał od kuriera pizzę i czerwone chilijskie wino, zapłacił i wrócił do salonu.

Kobieta nadal siedziała na kanapie, tylko że z albumem zdjęć tatki na kolanach. Pizza omal nie wyleciała mężczyźnie z rąk, opanował się jednak. Postawił wszystko na niskim stole i poszedł po kieliszek; na odchodnym zachęcił ją gestem do jedzenia. Sam nie miał ochoty na smętne ciasto drożdżowe z warzywnymi dodatkami, a wina nie pił. Ona natomiast jadła bez skrępowania i dolewała sobie wina z butelki, która szybko się opróżniała. Album leżał koło jej stóp i Łowca spoglądał na niego z niepokojem; chciał odłożyć go na miejsce, ale bał się, że to sprowokuje kobietę do dalszych pytań, a w najlepszym razie do godzinnego monologu o rodzinie.

W końcu po posiłku pozostały tylko pudełko i pusta butelka. Kobieta otarła dłonią usta i usadowiła się wygodniej na kanapie.

– Nic nie jadłeś – zauważyła bystro. – Żyjesz miłością? Mam nadzieję, miłość to najlepsza rzecz na tym ziemskim padole. Ja jestem czcicielką

miłości w każdej jej formie, uwielbiam, kiedy ktoś się we mnie zakochuje, to takie podniecające, uwielbiam miłość cielesną i kocham się tak często, jak mam okazję, seks to paliwo do życia. Wy, mężczyźni, dajecie mi zawsze trochę siebie w ofierze. – Zachichotała.

Łowca nie mógł dłużej znieść wzbierającego w nim napięcia, wstał z fotela i podszedł do niej. Wyciągnął rękę po album, ale kobieta chwyciła go za nadgarstek.

– Usiądź koło mnie, skarbie – zamruczała. – Razem pooglądamy twoje zdjęcia. – Pociągnęła go na miejsce koło siebie. Opadł na kanapę zaskoczony jej siłą. Więc może to jednak Ina, tylko bawi się z nim w jakąś nową grę, a ta gadka o słońcu była kłamstwem. – Ten starszy pan i ta dziewczyna z twojego albumu kogoś mi przypominają – powiedziała, przewracając kolejne kartki. – No ale ja spotykam tylu ludzi... Czasem ląduję w Huston, wiesz, w psychiatryku, tam to człowiek trafia na różne dziwolągi. No i jak mijam ludzi na ulicy, to ciągle mi się wydaje, że spotykam kogoś znajomego. Nie pamiętam moich rodziców, zginęli, gdy miałam kilka lat, a potem to już tylko włóczyłam się po różnych instytucjach. To nie takie znowu rzadkie, że jak się nie ma rodziców, to człowiekowi szajba odbija – ciągnęła, niezrażona milczeniem mężczyzny. – Ostatnio, kiedy siedziałam prawie rok na zamkniętym, trafiła tam taka miła dziewczynka, ładniutka i niewinna. Bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Jak tak na ciebie patrzę, Ergh, to jesteście nieco podobni, ten sam prosty nos, ciemne gęste brwi, zielone oczy i ładnie wykrojone usta. – Musnęła palcami jego twarz. – A w ogóle skąd, u licha, masz takie imię, jesteś Madziarem?

Łowca nie chciał dalej słuchać, najchętniej wyrzuciłby ją po prostu za drzwi. Nie mógł jednak tego zrobić, nie wiedząc, kim jest. Stanowczo odsunął jej dłoń od swojej twarzy. Ona jednak opacznie to zrozumiała. Przysunęła się bliżej i drugą ręką odpięła mu guzik jeansów. Wsunęła dłoń do środka i delikatnie objęła jego członka. Trudno, pomyślał, czując wzbierającą erekcję, już lepiej się z nią pieprzyć, niż jej słuchać. Wstał,

ściągnął spodnie i wziął ją na skórzanej kanapie, tak jak to przewidziała. Potem brał ją jeszcze w paru miejscach, aż w końcu trafili za szafę na wąskie łóżko. Był wyczerpany. Nadrabiał zaległości w miłości fizycznej z całego życia i miał nadzieję, że podoła.

Kiedy kochali się kolejny raz, powoli zapadał zmierzch; znowu sypał śnieg, ale im było gorąco jak w piekle. Mężczyzna opierał się dłońmi o żelazną ramę łóżka za głową kobiety i patrzył w jej zielone oczy. I wtedy coś przeskoczyło między nimi niczym wyładowanie elektryczne. Łowca wyprężył się w ostatnim pchnięciu i zobaczył w oczach kobiety zdziwienie połączone z lekkim przestraszaniem i zagubieniem.

– To ty, ty jesteś jej bratem, miała wasze zdjęcie z czasów, gdy byliście małymi dziećmi – wyszeptała kobieta. – Szukałam cię tyle czasu, a ta podła żydowska suka znalazła cię przede mną. – Potem zamknęła oczy i jakby zamarła.

Łowca nie miał siły teraz tego analizować, jej słowa ledwo dotarły do jego świadomości. Kompletnie opadł z sił. Stoczył się z niej na podłogę. Leżał i ciężko oddychał. Dość, miał dość seksu, nie będzie się z nią więcej pieprzyć, nawet gdyby miała zagadać go na śmierć.

– Co ja tu robię? – usłyszał głos dobiegając znad jego głowy. – Przecież kładłam się spać w kuchni. Przeniosłeś mnie tu i wykorzystałeś, kiedy spałam?

Tak, to na pewno była Ina. Tamta kobieta gdzieś zniknęła, a wróciła estria.

– No tak, ty mi nie odpowiesz. – Ina usiadła na łóżku i patrzyła na niego z góry. – Nieważne. I tak nie zrobiłeś niczego, czego bym nie pragnęła. Mam nadzieję, że ci się przynajmniej podobało.

Mężczyzna westchnął ciężko i wstał z podłogi. Gestem pokazał, że ma za nim iść, i zaprowadził ją do łazienki. Razem wzięli długi prysznic, który nieco przywrócił mu siły, a potem ubrali się i siedli w kuchni. On jadł surowe końskie mięso, a ona kontynuowała przerwana poprzedniego

wieczoru opowieść. Łowca postanowił zadać jej potem kilka pytań. Napisze je na laptopie. Będzie to kolejne całkiem nowe doświadczenie, którego wcale sobie nie życzył, ale pogubił się już zupełnie i chciał odzyskać choć trochę kontroli nad swoim życiem, a przede wszystkim nie chciał powrotu tej rozgadanej nimfomanki.

## Rozdział VI

Podróżowaliśmy nocami, dnie spędzając w rozmaitych zajazdach i przygodnych chałupach. Złoto i mój urok osobisty pomagały w znajdowaniu kwatery dla nas i stajni dla koni. Bardzo polubiłam mojego myszatego konika i dbałam o niego, osobiście go czyszcząc i karmiąc na postojach. Kierowaliśmy się ciągle na południowy wschód, na Sanok, omijając lasami większe miasta, by przez góry dotrzeć do Siedmiogrodu. Mój brat znał te tereny jak własną kieszeń; włóczył się tutaj, gdy ojciec myślał, że jeździ z bratem po Europie. Historia opowiedziana mi przez czarnowłosego okazała się prawdą. Franciszek upatrzył sobie wtedy miejsce, gdzie mnie przywiezie po porwaniu; dość daleko od sadyb ludzkich, zarazem w niespokojnej okolicy, gdzie nieliczni mieszkańcy wołą nosa nie wychylać poza własny ostrokół.

Zapanował między nami dziwny pokój. Brat dawał mi ambrozię swojej krwi, a ja coraz chętniej oddawałam mu swoje ciało. Właściwie nie myślałam dłużej o nim jak o bracie; oboje zyskaliśmy nieśmiertelność, a takie istoty nie są związane z nikim pokrewieństwem – tak sobie tłumaczyłam swoją rozwiązłość. Brat opowiadał mi różne historie o dawnych władcach i bogach, o wspaniałych faraonach władających ziemiąmi leżącymi nad rozległymi wodami Nilu, którzy brali sobie siostry za żony. Mówił też o ludach zamieszkujących Europę w pradawnych czasach, zanim nastąpiła tu wiara krześcijańska. Miał naprawdę rozległą wiedzę i jego opowieści umilały mi drogę. On jednak nie czynił tego, by mnie zabawić, ale by ukształtować mój umysł podle swojej woli i przekonać, że to, co razem robimy, nie jest żadnym zwyrodnieniem, ale przywilejem panów i bogów, których nie pętają zasady dotyczące zwykłych śmiertelników.

Zdawałam sobie sprawę z jego motywów, ale i tak chłonełam każde słowo Franciszka. Zastanawiałam się tylko, gdzie znalazł te wszystkie mądrości, bo na pewno nie w bibliotece naszego papy, która zawierała głównie dzieła ojców kościoła i paru greckich oraz rzymskich klasyków, choć te ostatnie zepchnięto na tylne półki, a nam, dzieciom, surowo zabroniono po nie sięgać.

Musiał liznąć wiedzy w czasie swoich zagranicznych wojaży, kiedy włóczył się z Michałem. Zazdrościłam mu tego i jeszcze zanim dotarliśmy do naszego leśnego dworu położonego niedaleko warownego Munkacza, ułożyłam w głowie trasę mojej przyszłej eskapady po Europie. Nie zamierzałam pytać brata o zgodę; jeśli będzie chciał, pojedzie ze mną, a jeżeli nie, poradzę sobie sama. On natomiast nie miał pojęcia, że historie, które mi opowiedział, wywarły ten dodatkowy niepożądany skutek, budząc we mnie pasję podróżniczą.

Zatrzymując się na nocleg, Franciszek zawsze przedstawiał nas gospodarzom jako małżeństwo, a ja słysząc to wciąż i wciąż, sama zaczynałam tak o nas myśleć. Małżeństwo pięknych, nieśmiertelnych istot – tym właśnie byliśmy i mieliśmy pozostać na wieki.

\*\*\*

Drewniany dworek okazał się bardziej chłopską chałupą niż szlachecką rezydencją, ale czego innego można się było spodziewać po tym ubogim kraju zastraszonych chłopów, który od wieków przechodził z rąk do rąk. Brak czegokolwiek cennego, w tym porządnych traktów, stanowił jedyną gwarancję spokoju dla mieszkających tu ludzi. Za to budynek otoczony był porządną palisadą, a nawet fosą. Zastanawiałam się, czemu to miało służyć: obronie przez najazdami sąsiedzkimi, dzikimi zwierzętami, których w tutejszych bukowych lasach nie brakowało, czy może utrudnieniu ucieczki osobom trzymanym wewnątrz.

Chata mieściła dwie sypialnie i wspólną izbę z murowanym paleniskiem. Urządzona została skromnie, ale proste drewniane łoża



zaścielały miękkie piernaty, a na podłodze rozrzucono wilcze i niedźwiedzie skóry. Pod jedną z nich znajdowała się kłapa do murowanej piwniczki, która służyła dawnym właścicielom za spiżarnię. Mój brat przerobił ją jednak i teraz bardziej przypominała salę tortur niż schowek na pieczyste. Miałam nadzieję, że nie zamierza wypróbować na mnie zgromadzonych tam narzędzi. Z drugiej strony był za słaby, by mnie obezwładnić, a ostatnio nie dawałam mu powodu do niezadowolenia.

Franciszek pokazał mi drzwi, ukryte za jednym z gobelinów przedstawiających sprośne sceny. Prowadziły do małego skarbczyka, gdzie spoczywała całkiem pokaźna ilość złota i kosztowności. Zarówno zawartość skarbczyka, jak i gobeliny wydały mi się dziwnie znajome. Czy to możliwe, że gdy ja gniłam w piwnicy żydowskiego kupca, brat ograbił skarbiec Inanny, dotarł aż tu i wrócił do Kazimierza? Musiałby jechać dzień i noc bez przerwy, często zmieniając konie ciągnące wóz, ale na upartego, nie klucząc po lasach, tylko jadąc kupieckim traktem z Krakowa na Bochnię, Nowy Sącz i Spisz, mógł zdążyć. Znałam ten trakt, gdyż papa mi o nim opowiadał, kiedy jako dziewczynka w zimowe wieczory nie schodziłam mu z kolan. Snuł wspaniałe historie o tym, jak za młodu nieraz wyprawiał się na Węgry z misją polityczną. Opowiadał mi też, jak stojąc na czele chorągwi zwanej Milicją świętego Michała, ruszył pod Ostrzyhom walczyć z Turkiem, ale gdy przybył na miejsce, bisurmani już odstępowali od miasta. Zasmuciło to nieco papę, który bardzo pragnął zetrzeć się z nimi w bitwie, ale z drugiej strony, jako człowiek nad wyraz rozsądny i dbający o swoich ludzi, kontent był z takiego obrotu sprawy. Ta pęsepną okolica wydawała mi się przez te tatowe opowieści znajoma, choć oczywiście moja wiedza ograniczała się do paru zasłyszanych faktów i pewnie w niczym by mi nie pomogła, gdybym chciała stąd uciec.

Gobeliny przypomniały mi rytuał przejścia i zaczęłam się zastanawiać, co naprawdę się wtedy wydarzyło i gdzie podziła się bogini. Nie wierzyłam, że zniknęła na zawsze; bogowie tak po prostu nie odchodzą, a

jej śmierć według słów mojego nauczyciela mogłaby oznaczać koniec żywych istot na ziemi. Pewnie po prostu straciła ludzkie ciało i teraz szybowiała w swojej boskiej postaci nad światem, szukając nowego. Miałam nadzieję, że o mnie zapomni, uzna za mniej ważną niż pyłek na jej mankiecie. Dreszcz przeszedł mi po krzyżu na samą myśl o jej zemście, więc wolałam o tym nie dumać i cieszyć się nowym życiem. Wszak nic nie mogłam zrobić, by ją ewentualnie powstrzymać. Wybacz mi moją naiwność, nadal miałam umysł szesnastolatki. Choć byłam mocno zdeprawowana, to jednak bardzo dziecinna w swoich sądach o świecie.

\*\*\*

Życie w leśnych ostępach upływało nam spokojnie i przyjemnie. Głównie spędzaliśmy czas w jednej z sypialni. Czasami brat wyprawiał się do którejś z okolicznych wsi i wracał z ładną młodą chłopką. Dziwiło mnie to z początku, ale wyjaśnił mi, że tutejsze rodziny chętnie oddają swoje córki za złoto, a nawet poczytują to sobie za zaszczyt.

On zabawiał się z dziewczyną w piwniczce, a potem ja dobierałam się do jej szyi. Aby nie pozostał ślad po naszej niecnej działalności, dawałam jej parę kropel własnej krwi, leczącej błyskawicznie rany zadanej przez Franciszka, potem patrzyłam głęboko w oczy i odsyłałam do rodziców z przekonaniem, iż spędziła kilka dni, piorąc nasze ubrania w strumieniu i gotując nam strawę, a wszystko to za złote monety. Wkrótce młode chłopki wręcz ustawiały się w kolejce do takiej lekkiej i przyjemnej pracy. Dzięki leczniczemu działaniu mojej krwi dziewczęta wracały do domu w stanie nienaruszonym, co sprawiało, że ich rodzice sami nam je podsyłali. Zwykle okoliczni panowie nie obchodzili się ze służbą tak delikatnie. Pamięć o Krwawej Hrabinie, która torturowała i zabiła wielu wieśniaków, nadal była żywa i obrastała już własną legendą. Wieści o jej procesie i śmierci dotarły aż tutaj, w końcu była siostrzenicą wielkiego pana siedmiogrodzkiego i polskiego króla, Stefana Batorego.

Sielanka trwała, minęło jedno lato, potem następne... Aż pewnego dnia brat wrócił z wieściami o wojnie z Rosją, na którą zanosilo się już od dawna. Mimo moich próśb postanowił wyruszyć na tę wojnę, by wesprzeć Koniecpolskiego, a samemu poddać próbie swoją nieśmiertelność i zaznać chwały niepokonanego w boju wojownika. Ponoć już wiosną na sejmie hetman Sapieha zdemaskował rosyjsko-szwedzkie knowania, mające na celu rozgrabienie naszej ojczyzny, jednak – jak to zwykle w Polsce bywa – nie pociągnęło to za sobą konkretnych działań, mimo że wojska rosyjskie gromadziły się na wschodniej granicy, i kiedy zmarł nasz król w kraju, niegotowym do odparcia ataku, zapanowała trwoga. Potem wszystko przycichło i już się panowie szlachta łudzili, że burza przeszła bokiem – gdy na jesieni wojska rosyjskie wtargnęły w granice Rzeczypospolitej.

Choć brat mój w stosunku do kobiet był okrutnikiem i bezceństw wszelakich chętnie się dopuszczał, ojczyznę darzył sentymentem podobnym do tego, jaki żywił względem zmarłej mateczki, i zawsze gnał Polsce na ratunek, gdy sprawa tego wymagała. Nie do końca to wszystko rozumiałam, ale wychowana w pobożnej, patriotycznej rodzinie w gruncie rzeczy popierałam go całym sercem. Choć ostatnio nieco mniej, gdyż upiory nie mają ojczyzny i dbają głównie o własne zachcianki.

Mówią, że wojny toczą się o kobiety, ale gdy już jakąś zdobędziesz, to ruszasz na kolejną wojnę, by od niej odpocząć. Nie sądziłam jednak, że bratu, który tak zabiegał o moją nieśmiertelność, nasz układ znudzi się ledwie po dwóch zimach. Martwiła mnie także kwestia mojej aprowizacji. Raz, że mocno przywykłam do smaku jego krwi, a dwa, że jakoś nie miałam specjalnej ochoty na chłopki w roli dania głównego każdego dnia.

Nic jednak nie mogłam uczynić; upór mężczyzn czasem przewyższa nawet upór kobiet, nie wspominając o osłach. Brat przed wyjazdem zdradził mi jeszcze jedną tajemnicę naszej chaty. Okazało się, iż więcej niż jeden gobelin skrywa za sobą drzwi; Franciszek przygotował w piwnicy coś na kształt sypialni i tam kazał mi spędzać dni, bym w razie napadu miała

więcej czasu na ucieczkę tunelem znajdującym się za kolejnym gobelinem. Brat dobrze wiedział, że samotna kobieta długo w tych stronach się nie uchowa, a ponieważ miejscowi nawykli do walki również z demonami, bał się o moje życie. Nie wiedział natomiast, że nie wystarczy napchać mnie czosnkiem i przebić kołkiem. Uważał te bzdurne metody za skuteczne. Nie miał pojęcia, że nawet skrócenie mnie o głowę nic nie da, i świącie wierzył, iż dekapitacja może stać się ostateczną przyczyną mojej zguby.

Nie chcąc go martwić, skoro i tak zamierzał mnie opuścić, zgodziłam się na te fanaberie i obiecałam sypiać w piwniczce zaryglowanej od środka. Przynęcałam też cierpliwie na niego czekać i nie opuszczać najbliższej okolicy. Kłamałam, ale on nie musiał o tym wiedzieć. Dodatkowo martwił Franciszka fakt, iż Siedmiogród także wszedł do koalicji turecko-rosyjskiej, która się właśnie zawiązała przeciwko Rzeczypospolitej, więc tym bardziej los polskiej szlachcianki stawał się niepewny w tym pięknym, choć dzikim kraju. Nie powstrzymało go to jednak od wyjazdu. Krew w nim wrzała i rozpierała go chęć walki, zdobycia chwały i łupów. Odjechał wczesnym rankiem po bardzo długiej nocy ze mną.

\*\*\*

Wbrew własnym początkowym planom nie opuściłam przytulnej leśnej chaty za szybko. Kiedy Franciszek odjechał o świcie, poszłam jak zwykle spać do swojej sypialni; nie zamierzałam siedzieć w piwnicy tylko dlatego, że brat despota tak mi nakazał.

Nie mogłam jednak znaleźć sobie miejsca w dużym łóżu, wśród absolutnej ciszy. Brak znajomego bicia serca niepokoił, nie pozwalając zasnąć. Zeszłam więc na dół i szczegółowo przejrzałam skarby zgromadzone przez brata. Brałam do ręki każdy klejnot, każdy piękny drobiazg, by zabić wlokący się czas. Potem obejrzałam starannie kolekcję jego narzędzi tortur, zastanawiając się, do czego mogą służyć poszczególne przyrządy. Nigdy nie miałam ochoty uczestniczyć w zabawach Franciszka w tym ponurym miejscu. Teraz trochę żałowałam, bo może to zatrzymałoby

go w domu. Choć pewnie nie, wojna to wojna, a mężczyźni kochają się bić. Wreszcie zdrzemnąłam się w podziemnej sypialni, a kiedy się ocknąłam, zapadła już noc. Ruszyłam więc na samotne polowanie, które zakończyło się pomyślnie: przydybałam dziewczkę wracającą z potajemnej schadzki ze swoim kawalerem. Nasycona, ja też wróciłam do domu i padłam na łożo. Tęsknota za bratem sprawiła, że spełniłam jego polecenie, zamykając się w piwniczce. O dalszych eskapadach postanowiłam pomyśleć następnej nocy...

I tak minął rok, a ja nadal nigdzie się nie wybierałam, a raczej wybierałam się jak sójka za morze, wciąż odkładając planowanie podróży na kolejną noc. Nabrałam dużej wprawy w zdobywaniu pokarmu. Kto by pomyślał, że okoliczne chłopki tak często będą łązić gdzieś samotnie po zmroku. Nie wzięłam żadnej na służbę, gdyż bez brata czułam się niepewnie i wolałam nie ryzykować. Nikt mnie nie odwiedzał, nikt nie kręcił się w pobliżu chaty, świat jakby o mnie zapomniał – i teraz dopiero poczułam się martwa za życia. Wojna widać trwała w najlepsze, bo Franciszek nie wracał. To wszystko uśpiło moją czujność i przytępiło zmysły. Nadal spałam zaryglowana w piwniczce, ale już nie nasłuchiwałam z niepokojem, czy ktoś szturmuje drzwi.

Któregoś dnia obudził mnie trzask płomieni. Brat miał rację, niestety. Miejscowi przyszli zakończyć moją egzystencję z pochodniami, widłami i zaostrzonymi pikami. Szybko napakowałam złotych talarów do worka i otworzyłam drzwi do tunelu. Pomyślałam o moim myszaty koniku, ale brat zabrał go jako luzaka, uznając, że jemu bardziej się przyda. Właściwie dobrze się stało, bo tunelem bym go nie wyprowadziła; koń spłonąłby w pożarze lub w najlepszym razie trafił w ręce tej watahy barbarzyńców.

Szybko oddaliłam się od niebezpieczeństwa i skryłam w górach. Siedząc przez kilka dni w opuszczonym już na zimę pasterskim szałasie, żywiłam się głównie małymi leśnymi zwierzętami, które łąpałam o zmierzchu. Bałam się zejść w doliny, nie chciałam natknąć się na żadną

mojej głowy bandę wieśniaków; choć nie mogli mnie zabić, to nie paliło mi się do wyjmowania kołków wbijanych w moje serce.

Wcześniej chciałam zobaczyć Europę, teraz najbardziej pragnęłam spotkania z bratem. Nie pozostało mi nic innego, jak spróbować do niego dotrzeć. Nie chciałam w tym wrogim kraju pytać o polskiego szlachcica ani nocować w zajazdach; było to zbyt ryzykowne. Podróżowałam więc nocami, a dnie przesypiałam w wykrotach lub jamach, zagrzebana w liściach. Szybko dotarłam do granic Rzeczypospolitej z Siedmiogrodem; poza tym moje tempo przemieszczania się przewyższało koński cwał. W końcu znalazłam oberżę po naszej stronie. Zawitałam do niej o świtaniu, zastając w środku bandę pijanych wojaków i kilka towarzyszących im kobiet wiadomej profesji, zwanych wówczas małpami albo dorotkami. Szczęście mi sprzyjało.

Żołnierze właśnie wybierali się na kwatery. Dorwałam marudera i przycisnęłam go do ściany, udając dorotkę, a potem popatrzyłam mu głęboko w oczy i wypytałam o brata. Sława Franciszka zatoczyła szerokie kręgi, bo wzięty na spytki żołnierz bez wahania zaczął wychwalać wielkiego wojownika, który w trakcie boju szalał za dziesięciu, a ciosy wroga go omijały. Ponoć wciąż się przemieszczał między różnymi polami bitew, najwyraźniej chcąc być wszędzie naraz i zabić jak najwięcej wrażeń psów, szerząc w ich szeregach strach i pożogę. Wojak kazał mi się kierować tam, gdzie toczy się najbardziej zażarta bitwa, a z pewnością znajdę owego wielmożnego pana. Po tej radzie zapomniał, że ze mną rozmawiał, a ja, przygarnąwszy zabłąkaną na schodach pijaną małpę, udałam się do swojego pokoju.

\*\*\*

Brata znalazłam po około niedzieli snucia się po polach pełnych trupów i najedzonych kruków; spałam w wykrotach lub porzuconych, nadpalonych chałupach.

Zapadał wczesnozimowy zmierzch. Franciszek wracał po bitwie cały zbroczony posoką; wyglądał niczym krwawy demon zniszczenia. Jego zbroja i hełm były pełne wgnieceń. W dłoni dzierżył ciężki, długi katzbalger, do trzymania którego rycerz zwykle musiał używać obu rąk. Nie miał tarczy, bo i po co. Z trudem go poznałam. Przypominał półboga, wspaniałego Achila spod Troi, tylko pozbawionego słabej pięty. Na mój widok wciągnął z sykiem powietrze, a potem rzucił miecz i wziął mnie w ramiona. Myślałam, że będzie zły, ale on bardzo się ucieszył. Po chwili oboje byliśmy umazani krwią jego wrogów.

Franciszek zabrał mnie do swego namiotu i przedstawił ordynansowi jako dawno niewidzianą kuzynkę, która przywiozła mu wieści od rodziny. Byłam nieziemsko umorusana, włosy miałam w nieładzie, posklejane ziemią i krwią, a suknia podarła się u dołu, kiedy brnęłam przez te wszystkie wądoły. Ordynans patrzył na mnie jak na upiora powstałego po miesiącu gnicia w grobie; w sumie wiele się nie mylił. Szybko naszykował prowizoryczną kąpiel, a kiedy już się umyłam i odziałam w czystą suknię – zapewne pożyczoną od którejś z małąp ciągnących za wojskiem – pomógł mi rozczesać splątane włosy i zabrał się za pranie moich ubrań.

Następny dzień spędziłam zagrzebana w futra i pilnowana przez ordynansa, któremu Franciszek surowo zabronił mnie budzić, gdyż srodze utrudzona podróżą mam spać, ile dusza zapragnie, choćby do wieczora. Chłopak, którym zajęłam się potem osobiście, zapomniał o moim istnieniu już następnej nocy. Za to, jak opowiadał mi brat, przetrząsnął za dnia cały namiot w poszukiwaniu ogromnej pluskwy, która musiała go niechybnie użreć w szyję. Brat odwiózł mnie nocą do najbliższego miasteczka, gdzie zainstalowałam się w zamtuzie; to miejsce wydało nam się najbardziej odpowiednie dla niewiasty śpiącej całe dnie, a nocami dającej rozkosz sławnemu wojakowi.

I tak płynęły miesiące, bitwy toczyły się swoim rytmem, brat zdobywał nieśmiertelną sławę i zaszczyty, a ja zwiedzałam kolejne

zamtuzy, gdzie wynajmowałam pokoik jako dama o dziwnym upodobaniu do młodych kobiet i jednego mężczyzny. Płaciłam słono i nikt się niczemu nie dziwił ani o nic nie pytał. Wojna skończyła się na wiosnę, a Franciszek otrzymał kasztelanię lubelską, gdzie osiedliśmy razem; on jako kasztelan, a ja jako jego daleka, uboga krewna, cierpiąca na egzotyczną chorobę, która wymagała dużo odpoczynku i snu za dnia.

Franciszek, by utrzymać nasz związek w tajemnicy i nie wzbudzać zbyt wielu podejrzeń, wziął sobie nawet żonę, Annę Zofię Zienowicz, i spłodził z nią córkę. Zastanawiasz się pewnie, dlaczego ta porządna kobieta i dobra krześcijanka tolerowała moją obecność w swoim szlacheckim domu. Początkowo nie miała wyjścia, musiała zaakceptować mnie i moje dziwactwa, biorąc mego brata za męża zgodnie z wolą rodziny. Stopniowo przywykła do mojej cichej obecności. Dniami nie widywała mnie przecież, a nocami nie zakłócałam jej spokoju. Postanowiliśmy z Franciszkiem nie kłaść jego domu naszymi grzeszkami. Ja wymykałam się nocą na łowy, by zaspokoić głód. On chadzał do zamtuzów, tak samo jak reszta panków; nic w tym dziwnego nie było. Czasem spotykaliśmy się w którymś z tych przybytków.

Życie pod jednym dachem z żoną Franciszka i ich córeczką Krysią płynęło nam więc zgodnie i spokojnie. Anna była kobietą cichą i delikatną, o pięknej, czystej duszy. Zazdrościłam jej życia, jakie wiodła. Mój brat traktował żonę bardzo dobrze, dbał o nią, w niczym jej nie uchybiał i spełniał wszelkie zachcianki bez szemrania, jakby chciał tym odkupić swoje bezecne postęпки. Córkę też wielce miłował, zwłaszcza gdy była małą dziewczynką, i starannie zadbał o jej przyszłość.

A jednak diabeł w nim siedział i ta rodzinna sielanka w gruncie rzeczy doprowadzała go do szału. Nikt oprócz mnie tego nie dostrzegał, a ja bałam się dnia, w którym Franciszek przestanie udawać przykładowego męża oraz ojca i pokaże swoje prawdziwe oblicze. To mogłoby zniszczyć jego bliskich i nas oboje.



Kiedy Krysia wyszła za mąż, poprosiłam Franciszka o poważną rozmowę. Przekonałam go, że udawanie kogoś, kim nigdy nie był, może skończyć się tragedią. Na dodatek lata płynęły, a on się nie starzał. Zapuścił gęstą brodę i wąsy dla niepoznaki; potem nawet zaczął malować sobie zmarszczki niby jakiś kuglarz. Jednak ludzie są bystrymi obserwatorami i musieli się czegoś domyślać; na pewno Anna zaczęła podejrzewać, że jej mąż nie jest zwykłym śmiertelnikiem. Co gorsza natknęła się kiedyś na Franciszka wychodzącego rankiem z mojej sypialni, bowiem odkąd Krysi nie było w domu, pozwalaliśmy sobie na więcej. Oczywiście zajęłam się tym i następnego dnia biedaczka Anna nie pamiętała już o nocnym incydencie, ale stawało się to wszystko coraz bardziej niebezpieczne.

Postanowiliśmy zatem upozorować śmierć Franciszka i po odbyciu fikcyjnego pogrzebu pod zmienionym nazwiskiem wyjechać z tego nieszczęsnego kraju, nękanego kolejnymi wojnami i politycznymi waśniami, by ukryć się przed rodziną naszą i żony Franciszka. Brat żałował trochę politycznej kariery, ale po namyśle zgodził się ze mną. Nawet tak wielkiemu wojownikowi obrzydła krwawa robota, a tym bardziej burdy mospanków.

Po bardzo okazałym pogrzebie wyciągnęłam go nocą z grobu. Pomogłam mu się oporządzić; koło cmentarza czekał na niego koń objuczony sakwą z ubraniami i pieniędzmi. Brat odjechał w kierunku południowej granicy, a ja wróciłam do domu i zostałam w nim jeszcze tydzień dla zachowania pozorów, pocieszając pogrążoną w żałobie wdowę. W międzyczasie spakowałam wszystko i przekonawszy Annę, że udaję się do mojego drugiego brata, Michała, który nie mógł przybyć na pogrzeb, ruszyłam w pogoń za Franciszkiem. Dognałam go dopiero pod Wiedniem, gdzie czekał na mnie w umówionym wcześniej miejscu: w zajęzdzie na rogatkach miasta. Tu zaczęła się nasza długa włóczęga po świecie.

## Rozdział VII

Ocknęła się z twarzą umazaną krwią. Leżała w wąskim łóżku razem z zimnym ciałem, która jeszcze wieczorem była jej współtowarzyszką szpitalnej niedoli, a teraz spoczywała blada i chłodna tuż obok. Dotknęła jej szyi i wyczuła bardzo słabe, nieregularne tętno. Odetchnęła z ulgą, ale zaraz potem ogarnął ją strach: kobieta nie dożyje rana. W łóżku pod drugą ścianą spokojnie spała jej sierotka, jak ją Renia w myślach nazywała. Pozostało tylko jedno wyjście.

Wyciągnęła drut spod poduszki – w takim miejscu czasem trzeba się bronić. Sanitariusze to tylko mężczyźni, a ona musiała jeszcze strzec sierotki przed ich zakusami. Przeniosła głęboko śpiącą dziewczynę do łóżka umierającej; nie ma to jak nowoczesna farmakoterapia, która pozwala przespać nawet morderstwo, które się właśnie popełnia. Renia rozebrała się do naga, by nie zachlapać piżamy. Kilka razy wbiła drut w szyję słabnącej koleżanki, maskując wcześniejsze rany i pozbawiając ją ostatecznie życia. Krew słabym strumyczkiem, ale jednak ochlapała sierotkę.

Renia umyła się starannie nad umywalką, ubrała, położyła we własnym łóżku. Dobrze, że wcześniej krew nie zbryzgała jej ubrań, tylko twarz. Plan, w jaki sposób zatrzymać dziewczynę w szpitalu na bardzo długo, ułożył się sam; chociaż raz ta druga na coś się przydała. Teraz tylko musi odnaleźć brata sierotki; potem będzie się martwić, jak wyciągnąć ją z oddziału więziennego, na który pewnie już wkrótce trafi.

\*\*\*

– Noc się kończy. Jeśli nie chcesz poznać reszty mojej opowieści, nie musisz. To, co wiesz, wystarczy, byś podjął decyzję, a moje dalsze losy to ciąg coraz większych podłości. – Estria popatrzyła Łowcy w oczy, ale on nawet nie mrugnął; czekał. – Aby odesłać mnie z tego świata, trzeba

przebić mi serce i wsypać do gardła ziemię z grobu mojego stwórcy, który jak wiesz, znajduje się na cmentarzu przy Szerokiej.

Opuściła głowę i zamilkła. Mężczyzna nadal się nie poruszał, tylko patrzył na nią, prawie nie mrugając. Próbował to wszystko zrozumieć i nie umiał. Pragnął jej coraz bardziej, nie tylko fizycznie; chciał z nią polować, dzielić fascynację śmiercią ofiar, a ona oczekiwała, że ją tego pozbawi i wykorzysta swoje umiejętności do zakończenia jej wspianiałej egzystencji. Nie mógł tego uczynić. Pierwszy raz nie był w stanie kogoś zabić.

Ina podniosła głowę i ponownie popatrzyła mu w oczy.

– Mogłabym cię skłonić do odesłania mnie i nawet byś o tym nie wiedział. Nie chcę jednak odchodzić w ten sposób. Szukałam cię bardzo długo; niejeden morderca stanął już na mojej drodze. Ale tylko ty niemal mi dorównujesz. Jesteś szybki i nadzwyczaj silny, znasz się na polowaniu, umiesz czekać i to bardzo długo. Oczywiście nie możesz ze mną wygrać, ale jesteś wystarczająco dobry. Zrobisz to? Proszę... – Nadal nie ruszał się ani też nie odwracał wzroku. – Dobrze więc, masz jeszcze dzień do namysłu. I tak musisz zdobyć ziemię z grobu Natana. Nie będzie to łatwe, bo dziś szabas i cmentarz jest zamknięty dla turystów, ale chyba sobie poradzisz. Powiem ci teraz, jak odnaleźć jego mogiłę, potem pójdę spać.

Dokładny opis miejsca i wyglądu grobu rabiego zajął Inie dłuższą chwilę; Łowca słuchał w skupieniu i rysował w głowie plan cmentarza. Potem kobieta, nie patrząc już na niego, wślizgnęła się do worka, nadal leżącego koło stołu w kuchni, i mężczyzna został sam ze swoim dylematem.

\*\*\*

Prószył lekki śnieżek, ludzie przemykali ulicami, niosąc koszycki ze święconką. Łowca włóczył się po Kazimierzu od dwóch godzin, ciągle nie mogąc się zdecydować na włamanie na teren cmentarza. Wziął ze sobą potrzebne rzeczy, ale nadal się wahał.

Poszedł nawet do swojego ulubionego kościoła, przemianowanego niedawno na bazylikę, ale w środku i na dziedzińcu było mnóstwo ludzi. Małe dziewczynki biegały z wyłożonymi białymi serwetkami koszyczkami, mali chłopcy biegali z samochodzikami w ręce, mamusie, poubierane w najlepsze futra i kozuchy, poowijane w szale, chusty i kominy, biegały za krzyczącymi dziećmi, a czerwoni na gębach tatusiowie gromadzili się w małe grupki na dziedzińcu i przytupując dla rozgrzewki, zaśmiewali się tubalnie, gdyż święta zaczęły się dla nich już wczoraj przy wieczornym piwku lub wódeczce. Jednym słowem rodzinna sielanka trwała w najlepsze i nikt nie przejmował się wiszącą obok bramy tablicą, że kiedyś był tu cmentarz i należałoby zachować nieco powagi z szacunku dla spoczywających pod nogami umarłaków.

Łowca także nie przejmował się dawno nieżyjącymi ludźmi, których tu pochowano. Za to ci żywi przyprawiali go o mdłości, wycofał się więc jak najszybciej spod bramy, nawet nie schodząc oblodzonymi schodami na dziedziniec. Skręcił tuż za rogiem kościelnego muru z Bożego Ciała w Wawrzyńca i pomaszerował różnym krokiem w kierunku miejsca, gdzie pierwszy raz usłyszał głos rzeki.

Ulica Wawrzyńca pozbawiona była zwykłych kamienic; najpierw długi kościelny mur, potem jakiś hotel, zajezdnia, szkoła, pusta parcela, elektrownia, punkt weterynaryjny, jakiś zakład produkcyjny. Jedyna dziś, w sobotnie świąteczne przedpołudnie, całkiem pusta ulica na Kazimierzu. Łowca minął starą zajezdnię tramwajową przerobioną na muzeum po prawej i ponure gmaszysko szkoły po lewej; dobrze, że on chodził do podstawówki na Miodowej, bo ta tutaj, położona przy Wąskiej, ulicy wyglądającej jakby druga wojna światowa nadał trwała, zawsze napawała go lękiem.

Czasem jego koledzy bili się z chłopakami z tej ponurej budy, ponoć dawnej szkoły żydowskiej. On zawsze unikał wszelkich bijatyk. Nie tyle się bał, co wydawało mu się to całkowicie pozbawione sensu. Wiedział, że jest

dużo brutalniejszy od każdego z tych zadziornych chłopaków, wiedział, że w decydującym momencie, gdyby przyszło im walczyć na śmierć i życie, wycofali się i uciekli w popłochu; nie to co on. Rozumiał tylko taką walkę: o życie swoje lub cudze; wszystko inne, całe to stroszenie piórek, było stratą czasu. Poza tym dziewczyny go nie obchodziły, koledzy jeszcze mniej, nie czuł potrzeby udowadniania przed nimi swojej sprawności i bezwzględności.

Przeszedł Starowiślną i znalazł się na nadrzecznych bulwarach, na wprost dawnych zakładów mięsnych, gdzie obecnie straszyla galeria handlowa – właśnie tu znajdowało się miejsce jego pierwszych spotkań z rzeką. Lodowaty wiatr wciskał się mężczyźnie za kołnierz, a płatki śniegu oprószyły mu włosy. Nie obchodziło go to; usiadł na nadrzecznym murku i wsłuchał się w rzekę. Nic. Cisza była doskonała – cisza w jego głowie. Poniżej szeleściły stare szuwary, a głodne kaczki, mewy i rybitwy wrzeszczały, bijąc się o jakieś resztki.

Mężczyzna zamarł i czekał; był przecież zawsze bardzo cierpliwy. Może rzeka przemówi, tak jak wtedy, za pierwszym razem, może powie mu, co dla niego przygotowała, czego pragnie...

Rzeka milczała, a czas uciekał. Kaczki odpłynęły, mewy darły się gdzieś dalej. Nad wodą nie było żywego ducha oprócz samotnego Łowcy, który w końcu zrozumiał, że ta decyzja i tak nie należy do niego, że on jest tylko aktorem odgrywającym dawno napisaną rolę, tak jak wszyscy inni w tej opowieści. Pogoda zupełnie jak na Boże Narodzenie. Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem, wstał z kamiennego murku i skierował się z powrotem w stronę Kazimierza i ulicy Jakuba.

Miał zamiar sforsować mur cmentarza żydowskiego, wspinając się za pomocą małego okienka, które pozwalało zajrzeć ciekawskim turystom na teren nekropolii. Aura sprzyjała jego planom, łażący z koszyczkami ludzie – nie bardzo. Poczekał, aż miną go zmarznięci przechodnie; nie było ich zbyt wielu. Zarzucił linkę z kotwiczka tuż koło okienka, nad którym

umieszczono spadzisty daszek, wyższy nieco od reszty muru. Kotwiczka zakołysała się za kratą okienka, zahaczając o jeden z prętów. Mężczyzna chwycił mocniej linę i spróbował wspiąć się na mur. Udało mu się dopiero za trzecim razem; ręce obtarł do krwi o kamienie. Nie spodziewał się, że nadal jest taki osłabiony. To go drażniło bardziej niż przerwy, które musiał robić między kolejnymi próbami, by nie zwracać na siebie uwagi.

Nadal nie podjął decyzji, czy pomoże Inie odejść. Mieli przed sobą jeszcze jedną noc. Chciał dalej słuchać jej opowieści, a potem zatrzymać kobietę na zawsze w swoim świecie. Wiedział, że to nierealne, skoro nie zatrzymał jej przy sobie nieśmiertelny brat, jakże jemu, zwykłemu śmiertelnikowi, mogło się udać? A może to ona znudziła się bratu i nie chciała żyć dalej bez niego? Tak czy siak, Łowca nie miał nad nią władzy; wiedział, że jeśli nie spełni jej prośby, ona prawdopodobnie bez większego żalu zabije go, a potem odejdzie, by poszukać lepszego kandydata. Czy w tej historii nie ma innych wyborów, tylko śmierć albo śmierć?

Groby rozsypane niby dziecięce klocki po dość dużym terenie przykrywała pierzyna śniegu. Na środku cmentarza rosło czarne, bezlistne drzewo, goszcząc w swej koronie kilka kraczących wron i jedną srokę. Łowca skierował się w jego stronę; wiedział, że grób Natana znajduje się na linii pomiędzy drzewem a przeciwległym murem. Była to jedna z odrestaurowanych mogił – wyższa środkowa macewa lśniła nowością, po bokach stały dwie starsze, na których częściowo zatarły się napisy. Z przodu mieściła się metalowa skrzynka, a wokół walały karteczki, z niezrozumiałym dla niego hebrajskim pismem, wypalone świece do podgrzewaczy i kamyki. Gdyby nie wskazówki estrii, sam nie odnalazłby tego grobu; wyróżniał się spośród reszty starych i opuszczonych nagrobków, ale podobnych było kilka i pewnie też kryły szczątki zasłużonych rabinów.

Zanim wyruszył na swoją eskapadę, próbował potwierdzić opowieść Iny i dość długo szukał w sieci informacji o grobie rabiego. Znalazł kilka

zdjęć pojedynczych nagrobków, ale bez podpisów, oraz kompletnie bezużyteczne szerokie panoramy całego cmentarza.

Schylił się koło grobu i małą saperką odgarnął śnieg, a potem zaczął kopać, aby dostać się do ziemi pod macewą. Grunt nadal był lekko zmarznięty, chociaż w kalendarzu wiosna gościła już od miesiąca. W końcu udało mu się nabrać trochę ziemi spod nagrobka i wrzucił ją do woreczka, który wsunął do kieszeni kurtki.

Wrócił tą samą drogą. Wspięcie się na mur tym razem nie sprawiło mu kłopotu, gdyż okazał się niższy od strony ulicy. Nikt nie niepokoił Łowcy, nikt go nie zatrzymał, by spytać, czemu zeskakuje z cmentarnego muru.

\*\*\*

Wszedł do cichego mieszkania, położył woreczek na kuchennym stole tuż obok długiego i bardzo ostrego noża, jednego z wielu w jego kolekcji. Ten był repliką japońskiego sztyletu *kansashi*, tajnej broni w postaci długiej szpili do włosów.

Zjadł porcję surowizny i czekał na zmierzch, siedząc w swoim starym fotelu. Godziny sączyły się wolno. Oczodół znowu rwał tępym bólem, a rzeka uparcie milczała. Właściwie ostatnio całkiem o niej zapomniał, tak był pochłonięty estrią i jej historią, dopiero dziś rano szukał u niej zrozumienia, ale ona kolejny raz go zignorowała, obojętna i zimna, jak zła matka.

\*\*\*

**R**enia znowu obudziła się w plastikowym worku. Uch, co za ohydne uczucie, pomyślała. Jak ona może w tym codziennie spać?

Mężczyzny nie było w mieszkaniu. Ciekawe, gdzie polazł? Tak czy siak, ona musiała działać. Teraz, kiedy go wreszcie znalazła, wystarczyło sprowadzić tu sierotkę, resztę załatwi męska chuć. Nie wątpiła w to, że Ergh, czy jak tam siebie nazywał, zgodzi się na dokonanie przemiany. Był tylko słabym śmiertelnikiem, i mężczyzną, a oni zawsze pragną kasy,

chwały i kobiet, to się nigdy nie zmieniało. Dzięki niemu i jego małej siostrzyczce w końcu będzie wolna – po tylu wiekach tkwienia w tej martwej suce! Musi tylko przywlec tu sierotkę. Dobrze, że udało się wydostać dziewczynę ze szpitala. Gdyby nie ten miły i nieco głupi osiłek z detencji, nie poradziłyby sobie, ale jak widać pomocnych mężczyzn nie brakuje, no bo kto by odmówił takiej bogini jak ona. Musiała go co prawda omamić wieloma obietnicami, by przysiągł pilnować sierotki i nie zgwałcić jej przy nadarzającej się okazji. Miała nadzieję, że dobrze go oceniła i faktycznie się powstrzyma, licząc na sutą nagrodę.

Czas naglił, zebrała swoje rzeczy, a worek wypchała kocem. Nie chciała, by jej gospodarz zorientował się za wcześnie i pokrzyżował jej plany. Wyszła z mieszkania, zamykając drzwi zapasowymi kluczami, które wisiały w przedpokoju.

\*\*\*

Chrobot zamka w drzwiach poderwał Łowcę z fotela niczym wystrzał armatni. Natychmiast znalazł się w przedpokoju. Zamarł w ciemności. Drzwi uchyliły się i kiedy mężczyzna właśnie miał ogłuszyć ewentualnego włamywacza, poczuł znajomy zapach słodkiego papierosa. To zatrzymało go w pół ruchu.

– Nie bój się, to tylko ja – usłyszał znajomy głos. – Mogę wejść? Nie wiem, co się stało. Ocknęłam się sama w obcym mieszkaniu na peryferiach Krakowa. W kieszeni miałam klucze, zgadłam, że to od twojego mieszkania, wyglądały tak... zabytkowo.

Mężczyzna odsunął się i przepuścił Inę. Gestem ponownie zaprosił ją do środka. Znowu jej nie wierzył i znowu nie mógł nic zrobić, tylko poddać się jej woli. Przynajmniej tak widział swoją sytuację.

– Jak się domyślasz, nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego – wyznała przeprasząco. Owszem, domyślał się, nie był idiotą do tego stopnia. Pozwolił jej jednak mówić. – Rozumiem, że chcesz poznać resztę



moich losów. Musimy się jednak spieszyć. Powinnam odejść jak najszybciej.

    Nie zaprzeczył. Pomógł jej zdjąć wierzchnie okrycie i zaprowadził na kanapę. Sam usiadł w fotelu. Nie zapalał światła. Oboje przecież dobrze widzieli w ciemności.

## Rozdział VIII

Uwielbiałam dziewiętnasty wiek, pełen podskórnego napięcia, rodziła się wtedy nowoczesność, a zarazem ludzie byli jak nigdy dotąd skłonni uwierzyć w magię. Ówczesna nauka dawała nam tak cudowne wynalazki, że wiele osób, nawet wykształconych, nie ogarniało ich rozumem. Nie ma się co dziwić motłochowi, że wierzył w wilkołaki, upiory i inne dziwy, skoro salony opanowały okultyzm i mesmeryzm. Wirujące stoliki, rozmowy ze zmarłymi i hipnotyczne transy stawały się popularniejsze niż msze święte. Były nową religią dla znudzonych damulek, chorych na najdziwniejsze bóle i paraliże. Korzystali z tego liczni szarlatani, sprytnie powołujący się na rzekomo naukowe odkrycia.

Dla naszej dwójki były to wymarzone czasy. Mogliśmy omalże wychynąć z cienia, nie obawiając się linczu. Wielbiono nas na salonach za naszą tajemniczość i odmienność. Moja prawie biała cera stała się symbolem wyrafinowanej dziwności i niektóre ówczesne damy zaczęły nawet bielić twarze i malować oczy grubą czarną kreską, by tym bardziej podkreślić chorobliwą bladość, wbrew modzie na świeżość i młodość panującej wtedy w Europie.

Zwłaszcza Londyn miał wówczas wiele uroku. Dlatego postanowiliśmy zatrzymać się w nim na dłużej. Biedota gnieździła się po kanałach, prostytutki wystawały gromadnie na rogach ulic w dzielnicy nędzy. Oboje nie mieliśmy więc żadnych kłopotów z zaspokajaniem najbardziej chorych żądź i nie musieliśmy więcej liczyć na pomoc kapryśnych arystokratów, których łaskawość nie tylko na pstrym, ale na całkiem dzikim koniu jeździła. Wcześniej dużo nas kosztowało lawirowanie wśród układów możliwych tego świata, opartych na rywalizacji i wzajemnej niechęci. Byliśmy tym nieco zmęczeni, zwłaszcza że czasem naprawdę

niewiele brakowało, abyśmy wylądowali w więzieniu razem z gospodarzem orgii lub zostali ścięci przez lud nienawidzący swoich panów. Teraz staliśmy się wreszcie wolni i mogliśmy bezkarnie polować wśród nędzarzy, o których los nikt się nie upominał; może poza londyńską policją, która jednak, jeśli nie znalazła ciała z karteczką podpisaną przez mordercę, miała duży kłopot z wyśledzeniem sprawcy. Tamiza była bardzo pomocna w ukrywaniu zwłok na zawsze. Czuliśmy się jak ryby w wodzie, a raczej jak dwa krwiożercze rekiny wśród ławicy bezbronnych rybek. A jednak to właśnie Londyn stał się dla mnie przeklętym miejscem.

Wcześniej, tak jak pragnęłam, zwiedziliśmy całą Europę i trochę świata, byliśmy nawet w Indiach oraz Tybecie, no i w Egipcie. Dużo czasu spędzaliśmy we Francji, gdyż ten kraj zawsze był tolerancyjny wobec różnych dewiacji i przychylny dla swobodnego stylu życia. Czas upływał nam na kolejnych orgietkach organizowanych przez markizów i hrabiów, którzy chętnie nas gościli, ulegając urokowi mojego pięknego brata i czarowi moich oczu, lecz – jak już wspomniałam – było to w gruncie rzeczy nużące towarzystwo, złaźnione wciąż nowych pochlebców składających hołdy ich próżności.

W czasie licznych wojaży poznaliśmy polskiego szlachcica i podróżnika Aleksandra Branickiego. Był zakochany w Egipcie, gdzie szukał starożytnej magii i jej artefaktów, i skąd przywoził do swojej posiadłości w Suchej kolejne zdobycze. Organizował też spirytystyczne seanse, by osobiście porozmawiać z faraonami i ich magami, których mądrość cenił ponad wszystko. Ten człowiek o szerokich horyzontach i ogromnej wiedzy odznaczał się jednocześnie dziecięcą naiwnością i zaufał nam bezgranicznie, nie widząc w naszym życiu niczego podejrzanego ani zgubnego. Przedstawiliśmy się mu wyjątkowo jako rodzeństwo Antonine i François d'Estrées, rezygnując z bajeczki o małżeńskich więzach. Była to wina mojego brata, który upiwszy się winem i upaliwszy opium razem z Aleksandrem, już pierwszego wieczoru za bardzo rozpuścił język. To

nieopatrzne gadulstwo stało się pierwszym krokiem w stronę przepaści, bowiem Branicki wziął za dobrą monetę przychylność Franciszka i miał czelność nie tylko zadurzyć się we mnie, ale jeszcze wyznać to mojemu bratu w trakcie jednej z licznych londyńskich popijaw. Nie był już wtedy młodzieniaszkiem, miał pięćdziesiąt lat, żonę, dwudziestokilkuletniego syna oraz łysinę ponad wyniosłym czołem i prostym pięknym nosem. Jednak nadal był przystojnym, postawnym mężczyzną, w którym niejedna trzpiotka mogłaby się zadurzyć, ulegając mu, pomimo braku szans na małżeństwo.

Franciszek zachowywał się, jakby oszalał, choć doskonale wiedział, że nie jestem zdolna do miłości; poza tym preferuję kobiety. Nigdy dotąd – nie licząc wściekłości, jaką zareagował na moje utracone w objęciach wschodniego mistrza dziewictwo – nie był o mnie tak zazdrosny. Zdawał sobie sprawę, że żaden śmiertelny mężczyzna nie może z nim konkurować, zaś moje przelotne związki z kobietami mu nie przeszkadzały. Chyba ubzdurał sobie, że Aleksander podczas swoich licznych podróży odkrył tajemnicę długowieczności i może realnie zagrozić jego władzy nade mną. Oczywiście byłam kompletnie nieświadoma całego zamieszania i nadal kokietowałam miłego towarzysza podróży, co robiłam zawsze w obecności mężczyzn; nie po to, by ich uwieść, ale skłonić do uległości wobec naszej dwójki.

Któregoś wieczoru brat pod wpływem alkoholu i narastającej w nim wściekłości wyzwiał Branickiego na pojedynek. Tenże, niemożebnie zaskoczony, całkiem trzeźwo odmówił i przeproszał gorąco za swoje *faux pas*, a następnie zniknął, zanim nastał świt wyznaczony na porę pojedynku. Ponoć wrócił do Polski, by szykować kolejną wyprawę do Egiptu i tak zaleczyć rany po podwójnym afroncie, który go spotkał z naszej strony.

To jednak był początek końca naszej harmonijnej egzystencji. Niby nic się nie stało, ale mój brat odsunął się ode mnie. Zaczął szukać głównie męskiego towarzystwa. Upodobał sobie klub preraphaelitów, ale generalnie

nie stronił od świątka pijanych poetów i malarzy, bez względu na ich poglądy artystyczne, z którymi odwiedzał kluby tylko dla gentlemanów, gdzie wstęp słono kosztował i wiązał się z noszeniem maski oraz częstym używaniem pejcza. Zachowywał się, jakbym zupełnie przestała go interesować. I choć nie mogłam się w nikim zakochać, gdyż moje serce było martwe i nic nie wskazywało na zmianę tego stanu rzeczy, to odrzucenie przez brata przepełniało mnie dziwnym bólem. Czyż nie jest ironią losu, że ja, która kiedyś marzyłam, by się od niego uwolnić, a nawet zabić go, teraz tęskniłam za nim? Brakowało mi nie tylko słodkiej krwi przesyconej nieśmiertelnością, ale także jego towarzystwa, wspólnych rozmów, kpin i żarcików, jakie wymyślaliśmy na temat innych ludzi, a przede wszystkim swobody, którą dawało dzielenie wspólnej tajemnicy.

Prawie przestałam widywać Franciszka; dobiegały mnie tylko salonowe plotki o jego kolejnych pijackich wyczynach, strzelaninach, zakładach bukmacherskich i burdach, aż w końcu nastąpiło najgorsze. Jedna z dam, której tętnicę planowałam tej nocy nieco uszkodzić, wyszeptała mi na ucho, że mój brat – po aferze z Branickim wersja o byciu rodzeństwem stała się oficjalna – związał się z jakimś gładkolicym młodzieńcem. Zachichotała przy tym znacząco i dodała, że muszą bardzo uważać, bo za to można w Anglii trafić do więzienia, że to nie Francja, skąd ona sama pochodzi. A potem ugryzła mnie lekko w ucho i zamruczała, że mogę liczyć na jej całkowitą dyskrecję, gdyż ona też woli własną płęć i świetnie rozumie mojego brata. Początkowo przyjąłam rewelację tej małej kokoty z zimną krwią, zresztą zimna krew to u mnie codzienność. Jednak wieści o nowym związku Franciszka docierały do mnie coraz liczniej.

Lata mijały i chociaż ukochany mojego brata nie był zbyt wierny i miał wielu innych, ten wybaczał mu wszystko, trwając przy nim niczym pies u nóg swego pana. Na dodatek kochanek Franciszka był pisarzem i postanowił uwiecznić ich relację, pisząc powieść o młodzieńcu, który dzięki cudownemu obrazowi nigdy się nie starzał i wiecznie młody

korzystał do woli z życia, między innymi ze swoim mentorem. Młody literat nie od razu stał się docenianym i poczytnym autorem; początkowo niezbyt mile widziany na angielskich salonach, stopniowo zyskiwał jednak sławę i uznanie elit. Nie wiem, czy brat mu w tym pomagał, czy krytycy poznali się w końcu na jego wielkim talencie, w każdym razie było o nim coraz głośniejsze, a ja cierpiałam coraz bardziej.

By zagłuszyć swój ból, zaczęłam popełniać ohydne czyny. Zapuszczałam się w śmierdzące zaułki Whitechapel, gdzie upatrując sobie ofiarę, wysysałam ją do cna, a ciało oddawałam Tamizie. To jednak nie było w stanie ukoić mojego cierpienia. Stawałam się coraz brutalniejsza w swoich poczynaniach, już nie wystarczyło mi wypijanie krwi dziewczek, chciałam je rozszarpać, brałam więc ze sobą nóż, podrynałam im gardła i chciwie łykałam krew buchającą prosto z tętnic. Przestałam zważać, czy ktoś mnie przyłapie na gorącym uczynku. Jednak los tych biedaków był obojętny reszcie społeczeństwa. Bogacze pragnęli zapewne, by cała dzielnica ludzkiego robactwa zapadła się do kanałów, znikając z mapy miasta raz na zawsze. Policja parę razy omal mnie nie zdybała, ale byłam dla nich za szybka. Na dodatek miałam szczęście, gdyż w tamtym czasie grasował po Londynie morderca, szlachtujący kobiety tak jak ja. To na jego konto poszły moje wyczyny; choć jego też nigdy nie złapała ta głupia sfora z Yardu.

W końcu wpadłam na inny pomysł, by przykuć uwagę brata. Pewien mocno już podstarzały pisarz i bliski przyjaciel Dickensa – który niestety zmarł tuż przed naszym przybyciem do Londynu – nieustannie poszukiwał młodych kochanek, by nurzać się z nimi w oparach opium, a także, podejrzewam, by miał go kto niańczyć, gdyż cierpiał na otyłość i podagrę. Postanowiłam zostać jego najnowsza zdobyczą. Nie było to specjalnie trudne. Wystarczyło przyjąć zaproszenie na jego przyjęcie, o co zabiegał od dłuższego czasu. Szybko zamieszkałam w jego londyńskim domu i zaczęłam mu towarzyszyć w trakcie nocnych szaleństw. Jeszcze szybciej

wybiłam mu z siwego łba pomysł, że będę spełniać jego starcze zachcianki i pielęgnować w chorobie. Głównie paliłam z nim opium, które dostarczał mu jakiś Azjata, i wysłuchiwałam niekończących się wspomnień o Dickensie, którego raz przedstawiał jako najwspanialszego człowieka na świecie, cudownego bazarza, szczodrego przyjaciela i niezrównanego kompana, a raz jako istnego potwora, zawistnego, żądnego sławy nawet po trupach, skupionego tylko na sobie i swoich potrzebach. Szybko zrozumiałam, że Charles był jedyną prawdziwą miłością mojego gospodarza i to niestety miłością niespełnioną, trudną i żalną. Wilkie bardzo chciał dorównać przyjacielowi; jednak nigdy mu się to nie udało, choć właściwie nie rozumiem czemu. Mnie powieści Dickensa zawsze trochę nudziły; wydawały się pretensjonalne, jakby pisała je pensjonarka, a nie londyński gentleman. Brakowało w nich pazura, i choć bywały miejscami zabawne lub wzruszające, wolałam książki autorstwa Collinsa, który jako pierwszy napisał całkiem przyzwoity kryminał. Oczywiście nie wierzył moim zapewnieniom, a za chwilę prosił, bym je powtarzała, zachwalając cechy jego twórczości.

Były to najnudniejsze dwa lata w moim życiu i na dodatek nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, choć postarałam się, by Franciszek został ze szczegółami poinformowany o moim związku ze znanym pisarzem. Może zrobiłam błąd i powinnam raczej uwieść księcia Alberta, który poza rybimi oczyma wydawał się całkiem do rzeczy; także nie stronił od morfiny, na dodatek krążyły o nim dziwne historie, łączono go nawet z Jackiem the Ripper, tym mordercą grasującym w Whitechapel. Przez chwilę rozważałam związek z Albertem, o którym na pewno byłoby bardzo głośno. Bałam się jednak, że książę okazałby się zbyt podobny do Franciszka, wikłając mnie w swoje perwersyjne zachcianki, i ze strachu wybrałam starego zrzęde Wilkiego. Tak czy siak, poniosłam klęskę.

Nie wiedziałam, czy mój brat miał o mnie jakieś wieści, a jeżeli tak, czy robiły na nim choć minimalne wrażenie. Ja, gdybym mogła, umarłabym

z żalu lub zabiła się z wściekłości, byle tylko zwrócić na siebie jego uwagę – ale nie mogłam. Powzięłam więc zamiar wyjazdu, by nie słuchać dłużej o tym, jak bardzo Franciszek jest zakochany w owym wspaniałym pisarzu. Nadeszła późna jesień, Londyn z jego wiecznym deszczem obrzydł mi do reszty. Postanowiłam wrócić do kraju i wykorzystać zadurzenie Aleksandra do własnych celów. Mogłam wprawdzie udać się do jednego z naszych domów rozsianych po całej Europie, ale nie pragnęłam samotności, tylko zemsty.

\*\*\*

Do położonego w pięknym parku zamku Branickich dotarłam ze zrozumiałych względów późnym zimowym wieczorem, mimo to zostałam dopuszczona przed oblicze państwa.

Przyjęto mnie w prywatnej części zamkowych komnat, dostępnych tylko dla rodziny. Salon, rzęsiście oświetlony płonącymi w kandelabrach świecami, wypełniały liczne obrazy, antyczne posąжки, zabytkowe meble, tureckie dywany i egzotyczne kwiaty w glinianych donicach. W ogromnym kominku wesoło płonął ogień, ogrzewając przestronne pomieszczenie. Żona Branickiego, Anna Nina, odziana w żałobną czerń, tak modną wtedy wśród Polek, kobieta, której młodość już dawno przebrzmiała, spoczywała w fotelu i nie podniosła się, by mnie powitać.

Mężczyzna siedzący przy pianinie i brzdąkający jakąś rzewną melodię odwrócił się, gdy weszłam, i wstał niespiesznie. W pierwszej chwili wzięłam go za Aleksandra, szybko jednak zreflektowałam się, że to niemożliwe: był za młody. Dla mnie czas stał w miejscu i niekiedy zapominałam, jak bezlitośnie traktuje innych. To musiał być Władysław, syn Aleksandra, teraz już dojrzały mężczyzna.

– Witamy łaskawą panią w naszych skromnych progach – zahuczał jowialnie spod wąsa, jakby chciał zatrzeć złe wrażenie wywołane obojętnością Anny Niny, która nadal wpatrywała się w wiszący na ścianie portret męża, nie racząc zaszczyścić mnie bodaj jednym spojrzeniem. – Co



do nas sprowadza tak światową osobę? – spytał już ciszej, a jego głos nabrał lekko ironicznego brzmienia.

– Witam panią, hrabino Branicka, i pana, panie hrabio – odparłam. – Bardzo bym była rada, mogąc spotkać się z hrabią Aleksandrem.

Twarz starej kobiety drgnęła. Wciąż nie patrząc na mnie, wstała powoli z fotela, tak wolno jakby ciężar żalu spoczywający na jej ramionach ciągnął ją cały czas w dół, po czym zgięta wpół, podpierając się laską, opuściła salon bez jednego słowa lub choćby mruknięcia.

– Cóż, droga pani, nie będzie nam już nigdy dane spełnić tej prośby – powiedział bardzo cicho młodszy Branicki, patrząc za odchodzącą, skuloną i zgarbioną postacią matki. – Papa nie żyje od kilkunastu lat. Zmarł w Nicei. Miała pani ogromne szczęście, zastając nas tutaj. Zwykle matka wraz z rodziną przebywają w majątku w Stawiszczach. Mama nie znosi odwiedzać tutejszych dóbr, wszystko kojarzy jej się z papą, a ona szczerze go znienawidziła, odkąd się w pani zakochał. Niemniej podtrzymuje dzielnie jego legendę i pomaga mi w dalszym gromadzeniu cennych przedmiotów i zabytkowych ksiąg. Kolekcja się rozrasta, a po przebudowie zamku, której dokonałem kilka lat temu, każdy nabytek znalazł swoje miejsce.

Faktycznie, miałam szczęście, Aleksander spoczywał w grobie, a jego żona nie dość, że świetnie poinformowana o miłostkach męża, to jeszcze łaskawie raczyła mnie przyjąć w ich wspólnym niegdyś salonie przed portretem zmarłego małżonka. Wolałabym nikogo nie zastać, ale tego powiedzieć nie wypadało.

– Przykro mi – rzekłam, wybierając wygodną półprawdę. – Zatem opuszczę państwa progi, by swoją niemiłą obecnością nie zakłócać dłużej spokoju pana rodziny, panie hrabio.

– To nie będzie konieczne. – Branicki uśmiechnął się krzywo pod wąsem. – Matka wyjeżdża z samego rana wraz ze służbą. Ja muszę jeszcze załatwić parę spraw w okolicy, a przy okazji chętnie zamienię z panią kilka

słów o ojcu. A teraz wskażę sypialnię, gdzie będziesz mogła, pani, odpocząć po podróży. Służba już wszystko przygotowuje. Jutro, kiedy matka wyjedzie, porozmawiamy w spokoju. Nie chcę, by wiedziała, że pytam o papę, słaba jest i chora, boję się o jej serce. Nie odmówi jednak gościny strudzonemu wędrowcowi, nawet takiemu jak pani.

Hrabia ujął mnie z galanterią pod rękę i poprowadził korytarzami aż do sypialni pięknie urządzonej w stylu kolonialnym, w której ku swemu zdumieniu ujrzałam własny portret naszkicowany ręką Aleksandra, oprawiony w gustowną i zapewne niezwykle kosztowną ramę z różanego drewna. Branicki, skłoniwszy się lekko, życzył mi dobrej nocy i zniknął w mrokach korytarza. Ja rozejrzałam się po pomieszczeniu, będącym najwyraźniej prywatną sypialnią Aleksandra, w której dumał o swojej nieszczęśliwej miłości do mnie. Mnóstwo przedmiotów tutaj przypominało do złudzenia moje osobiste drobiazgi, których zwykłam używać w tamtym czasie; zaczęłam podejrzewać, że niektóre z nich zakochany hrabia zwyczajnie mi ukradł. Znalazłam też książki, o których mu mówiłam, i kopie obrazów, których oryginały podziwiałam w najlepszych salonach Europy. Najbardziej zadziwił mnie unoszący się w pomieszczeniu delikatny zapach perfum, jakich zwykłam używać. Odnosiłam wrażenie, jakbym nic o tym nie wiedząc, mieszkała tu niedawno i po prostu wyszła gdzieś na chwilę, a teraz wróciłam i szykowałam się na wieczorny spoczynek, a raczej na nocną wizytę kochanka. Wrażenie było tak silne, że co chwilę spoglądałam na drzwi, jakby Aleksander lada chwila miał się w nich pojawić.

Rozebrałam się i umyłam w uszykowanej dla mnie przez służbę balii z gorącą wodą; sypialnia posiadała bowiem małą gotowalnię, także pełną „moich” rzeczy. Położyłam się w wygodnym podwójnym łóżu. W pokoju, ogrzewanym kaflowym piecem stojącym w rogu, było bardzo ciepło i szybko zapadłam w drzemkę. Choć nie nawykłam do spania w nocy, zmęczenie ostatnich miesięcy dało o sobie znać. Teraz napięcie opadło.

Londyn, wykrwawiające się na moich rękach prostytutki, stary Collins i mój podły brat zabawiający się z panem Wildem – wszystko to oddaliło się ode mnie. Ponieważ pożywiałam się zeszłej nocy, nie byłam jeszcze głodna i nie musiałam polować. Czułam się tu dziwnie bezpieczna, jakby Aleksander otaczał mnie opieką zza grobu.

Noc przebiegła spokojnie, o świcie zasnęłam na dobre, licząc na wyrozumiałość służby i gospodarza. Nie miałam przecież zamiaru wstawać przed zmrokiem, który na szczęście zimową porą zapadał bardzo wcześnie.

\*\*\*

Czyjaś ciepła dłoń dotykała mojego policzka. Wciągnęłam powietrze przez nos i wyczułam hrabiego Branickiego, syna. Otworzyłam oczy i zobaczyłam go stojącego obok mojego posłania w sypialni będącej muzeum stworzonym na moją cześć.

– Martwiłbym się o ciebie, Antonino, ale papa wszystko mi opowiedział. – Spokój na twarzy hrabiego zmroził mnie bardziej niż grudniowe chłody, które towarzyszyły mojej samotnej podróży z Anglii. Co mu powiedział, myślałam intensywnie, czyżby ten zakochany głupiec wcale nie był takim ślepcem, za jakiego go uważałam? – Rozumiem, że twoja choroba, której nabawiłaś się w trakcie podróży na wschód, wymaga specjalnego trybu życia.

Odetchnęłam z ulgą i uniosłam się na poduszkach, bo o ile mróz nie robił na mnie wrażenia, o tyle zbytnia gadatliwość innych owszem. Hrabia tymczasem odsunął się i oparł o sekretarzyk; zachowywał się tak, jakbyśmy byli starym dobrym małżeństwem albo jakbym była pacjentką, a on medykiem. Czekałam, aż wyjdzie, i milczałam znacząco. On również trwał w milczeniu, patrząc na mnie ni to z troską, ni z ciekawością. W końcu poddałam się. Wstałam z łoża, a że sypiam nago, hrabiemu na moment tchu zabrakło i spiekł raka, choć miał koło czterdziestki, żonę i dziatki. Ja tymczasem przeciągnęłam się ostentacyjnie i odwróciwszy do niego plecami, schyliłam po jedwabny peniuar leżący na podłodze. Za sobą

usłyszałam przeciągły jęk, potem gulgotanie nijak nieprzypominające ludzkiej mowy, wreszcie trzask zamykanych drzwi.

Zeszłam do salonu, który tym razem pogrążony był w półmroku, bo oprócz ognia na kominku paliła się tylko jedna lampa naftowa, nakryta mlecznym kloszem. Hrabia stał w oknie i wpatrywał się w ciemność, a może w odbicie światła w szybie. Wokół jego głowy unosił się dym z cygara, tworząc intrygującą mgiełkę tajemnicy czy raczej zakłopotania.

– Cóż, Władysławie – zwróciłam się do niego po imieniu, choć nigdy nie został mi oficjalnie przedstawiony – skoro poznałeś mnie już tak dokładnie, pozwolę sobie zwracać się do ciebie mniej oficjalnie.

Hrabia drgnął, jakby zaskoczony moją obecnością, i odwrócił się. Nie patrząc mi w oczy, zgasił cygaro w kryształowej popielnicy stojącej na brzegu kominka i gestem zaprosił mnie do stolika. Z wykwintnego dzbanka z miśnieńskiej porcelany unosił się aromat świeżo zaparzonej kawy, a na srebrnej paterze piętrzyły się migdałowe babeczki. Karafka ciemnego wina, zapewne madery lub porto, i dwa kryształowe kieliszki dopełniały obrazu poczęstunku.

– Przepraszam za moją śmiałość, pani, nie chciałem cię zawstydzić – mruczał pod nosem hrabia, nalewając kawy do delikatnych filiżanek, zdobionych wzorem w kwiaty magnolii i drobne różyczki oraz bogato złożonych na brzegach. – Tylem się o tobie nasłuchiwał od papy, że traktowałem cię niemalże jak bliską krewną. A twoja choroba, która bardzo papę martwiła, przyprawiła mnie dziś o przestach, mimo to nadal wyglądasz, pani, nader kwitnąco, jakby czas dla ciebie stanął w miejscu.

Usiadłam w wygodnym fotelu i napawałam się jego konfuzją niczym dobrym winem. Ten mężczyzna wciąż mnie zaskakiwał; to wydawał się ironicznym prześmiewcą, to zawstydzonym chłopcem, to znowu cynicznym podglądaczem. Grał przede mną czy też był aż tak skomplikowanym człowiekiem? W końcu, nalawszy kawy do filiżanek i wina do kieliszków,

usiadł w drugim fotelu, splótł ręce na brzuchu i pogrążył się w pełnym skruchy milczeniu.

– To ja nie chciałam cię zawstydzić, mój drogi – przerwałam nabrzmiewającą między nami ciszę. – A może chciałam. Nieważne. Zamierzałeś porozmawiać ze mną o Aleksandrze. Mów więc śmiało.

Hrabia ożywił się, popatrzył na mnie, nadal lekko speszony, i poskrobał się po swojej wypielegnowanej bródce.

– Papa, jak zapewne ci, pani, wiadomo, zafascynowany był mesmeryzmem i spirytyzmem – rozpoczął swoją opowieść Władysław. – Przyjaźnił się z hrabią Zygmuntem Krasińskim, razem też zgłębiali tajemne księgi i próbowali rozmawiać z duchami. To dzięki ojcu Krasiński poznał Daniela Home'a, którego papa był protektorem i mecenasem. Jednak po skandalu w domu Krasińskiego, kiedy medium w trakcie seansu uległo poważnemu atakowi katalepsji, Home zaczął unikać hrabiego jak ognia. Mój ojciec natomiast nadal wspierał okultystę i zorganizował mu tu w podziemiach specjalny gabinet do przywoływania gości z tamtej strony. Od papy wiem, że obdarzona jesteś, pani, nadnaturalnymi zdolnościami. Kiedy cię wczoraj ujrzałem, od razu przyszło mi do głowy, że może przywołałibyśmy ducha mego ojca. Na twoje wezwanie przybędzie, a ja mam z nim do pomówienia o tym, gdzie ukrył pewną bardzo ważną i cenną księgę przywiezioną z Egiptu. Szukam jej, od kiedy umarł.

Hrabia skończył i skierował na mnie spojrzenie, które wcześniej błędziło po ścianach i wiszących na nich portretach przodków. Drgnąłam niespokojnie. Propozycja wydała mi się absurdalna. Nigdy nie przywoływałam duchów. Czasem umarli sami do mnie przychodzili, choć wcale sobie tego nie życzyłam, ale Aleksander nie należał do odwiedzających mnie zjaw.

Widząc moją konsternację, hrabia zaczął szukać czegoś po kieszeniach surduta, w końcu wstał i podszedł do kominka, wziął przedmiot leżący na gzymsie i skierował się do mnie. Na jego otwartej dłoni spoczywał nóż

mojego wschodniego nauczyciela. Jakim sposobem znalazł się w posiadaniu Władysława, nie miałam pojęcia. Obsydianowy nóż zaginął kilkanaście lat temu i nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś go ujrzę.

– To twoja własność, pani, prawda? – spytał hrabia. Kiwnęłam lekko głową i wyciągnęłam rękę po nóż. – O nie, moja droga, teraz należy do mnie, znalezienie go zajęło mi mnóstwo czasu. Wiem, że jest magiczny, może chęć odzyskania go skłoni cię do współpracy.

Nie skłoni, pomyślałam, ale gabinecik mogę sobie obejrzeć. Ciekawe, jakież niezwykle przedmioty magiczne tam zgromadzono.

– Chodźmy więc do tego sekretnego miejsca, mój hrabio – rzekłam, podnosząc się z fotela i wyciągając ku niemu rękę. On podał mi ramię i jak wczorajszego wieczoru poprowadził mnie labiryntem korytarzy, tym razem jednak skierował się schodami w dół, wprost do piwnic.

\*\*\*

Pomieszczenie było okrągłe i pozbawione okien. Ściany do połowy pokrywały aksamitne tapety w kolorach burgunda i czerni, a dół wyłożono hebanową boazerią. Okrągły, bogato intarsjowany w okultystyczne symbole stół zrobiono prawdopodobnie na specjalne zamówienie. Otaczało go pięć wyściełanych miętko krzesel z rzeźbionymi we wschodnie smoki i biblijne demony podłokietnikami. To mroczne miejsce rozświetlało pięć sześcioramiennych kandelabrow umieszczonych na symetrycznie rozmieszczonych sekretarzykach; świece wypaliły się już do połowy, czyli najwidoczniej hrabia przygotował wszystko, zanim mnie obudził.

– Jak widzisz, pani, nie ma tu szaf, okien, drzwi, poza wejściowymi, nawet ukrytych, tak żeby obecność zjawy nie budziła wątpliwości i podejrzeń o oszustwo – wyjaśnił Władysław.

– No cóż... – Podeszłam do stolika i pogładziłam blat dłonią. Drewniane wstawki były świetnie dopasowane, nie wyczułam najmniejszej szczeliny; znakomita robota stolarska. – Aleksander nie zalicza się do grona moich upiorów, nie sądzę, bym zdołała go przywołać, zresztą jeszcze

wczoraj nawet nie wiedziałam, że nie żyje. Dziwne, że wieść o jego śmierci nie dotarła do mnie do Londynu...

– Postarałem się o to – wyszeptał hrabia, stając tuż za moimi plecami.  
– Chciałem cię tu ściągnąć, najdroższa. Wiedziałem, że w końcu do mnie przyjdiesz.

Rozpoznałam głos Aleksandra, ale kiedy się odwróciłam, nikogo za mną nie było. Władysław nadal stał w otwartych drzwiach. Najwyraźniej duch postanowił ujawnić się bez tych okultystycznych ceregieli i wirujących stolików.

– Dobrze więc – powiedziałam do Władysława, który popatrzył na mnie nieco błędnym wzrokiem, jakby właśnie się obudził. – Co mam robić?

Hrabia podszedł do stolika i usiadł na jednym z krzeseł, mnie wskazując inne, stojące naprzeciwko. Kiedy nasze palce splotły się ponad blatem, wyszeptał słowa przywołania, po łacinie zapewne, ale tak cicho, że nie zrozumiałam dokładnie, a potem zapadła ciemność i znalazłam się w łóżu w ramionach Aleksandra, przynajmniej tak mi się zdawało...

Kiedy się ocknęłam, nadal siedziałam w okrągłym pokoju na krześle przy ozdobnym stoliku. Władysław patrzył na mnie poszerzonymi ze zdumienia oczami. Paliła się już tylko jedna świeca.

– Pani – wyszeptał hrabia zbielełymi ustami – to było najgorsze doświadczenie w moim życiu, nie wiem, czy jakakolwiek księga jest tego warta. Na dodatek on chyba chce mnie opętać i żyć dalej w moim ciele.

Ach, ci śmiertelnicy, wszyscy tacy sami, pomyślałam, chcą żyć za wszelką cenę, nie wiedząc, w jaką kabałę się pakują. Wstałam, odsuwając hałaśliwie krzesło.

– Chodźmy stąd, to jest złe miejsce – powiedziałam zdecydowanie, mimo lekkiego drżenia w głosie. Władysław zareagował jak posłuszny pies: zerwał się szybko i podążył za mną bez pytania.

W salonie zapalił wszystkie świece i lampy, tak że zrobiło się jasno jak w dzień, a potem opadł na otomanę, nadal trupio blady. Ja krążyłam

niespokojnie po pomieszczeniu; musiałam wydobyć z hrabiego, co zobaczył i usłyszał, kiedy byłam w transie. Nie chciałam się jednak zdradzić, że niczego nie pamiętam, bo kiedy syn debatował z papą, ja w tym czasie się z nim pieprzyłam. Jak to w ogóle było możliwe?

– Pańskie życzenie się spełniło, hrabio? – zagaiłam przyjaźnie. – Wie już pan, gdzie szukać tej wspaniałej księgi? Jest pan kontent?

Rzucił mi dzikie spojrzenie i milczał uparcie. Pomyślałam, że może alkohol przywróci mu odwagę i nalałam do kieliszków gęstego ciemnego porto.

– Proszę, Władysławie, to cię wzmocni. – Podałam mu naczynie. – Pij.

Hrabia, niczym zagubione dziecko ufne w stosunku do każdego miłego dorosłego, wypił duszkiem; dolałam mu, a potem znowu, i jeszcze raz. Po opróżnieniu karafki wreszcie odzyskał kolory na twarzy.

– Ojciec oszukiwał mnie całe życie. Nabił mi głowę legendami i mitycznymi stworami. A teraz sam okazał się potworem, który chce mnie pozbawić duszy. – Głos hrabiego, początkowo cichy, nabierał mocy, by wkrótce kipieć od złości. – Kim jesteś, pani, że nawet po śmierci nie dajesz ludziom spokoju?! – Prawie już na mnie krzyczał. – Co jest takiego w tobie, przekłeta kobieto? Czemu mój ojciec chce zabić własnego syna i zamieszkać w jego ciele, byle tylko cię osiąść!?

Milczałam. Przecież nie mogłam powiedzieć mu prawdy. A właściwie, czemu nie? Zawsze mogę go potem zabić. Tak bardzo brakowało mi kogoś, z kim mogłabym swobodnie mówić o swoich sekretach. Brakowało mi oczywiście brata, ale z nim pożegnałam się na dobre i nie chciałam go więcej widzieć, przynajmniej przez najbliższych sto lat. Bycie nieśmiertelną potężną istotą nie odarło mnie całkowicie z potrzeby dzielenia się z kimś rozterkami i tęsknotami. Jak widać ostała się we mnie mała część człowieczeństwa. Już chciałam mu wszystko wyznać, gdy nagle przysła mi do głowy bardzo nieprzyjemna myśl.



– Masz może jakąś siostrę, hrabio? – zapytałam. – Jakąkolwiek, nawet z nieprawego łoża?

Popatrzył na mnie nic nierozumiejącym wzrokiem. Zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, czy w ogóle zaszczyć mnie odpowiedzią.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł sucho. – Choć... nie mam pewności. Ojciec dużo podróżował po świecie i choć cieszył się nienaganną opinią, różnie być mogło. Zresztą w pani też się zakochał i chciał uczynić swoją flamą, jeśli nie żoną. Matka aż do jego śmierci obawiała się, że znajdzie sposób, by się jej pozbyć i zdobyć pani serce. Bała się nawet, że ją otruje. Na szczęście on był nieco inaczej szalony i wymyślił plan skomplikowany, romantyczny i magiczny zrazem. Czemu to panią interesuje, jeśli wolno spytać?

– Na odpowiedź nie starczyłoby tej nocy, hrabio. Moje życie jest niezwykle zagmatwane – odrzekłam ze smutkiem. – Jednak pytanie płynęło z troski o pana i o mnie, a nie z chęci ubliżenia komukolwiek. Czy zjawa Aleksandra wyłuszczyła może, w jaki sposób chce osiągnąć rzeczoną nieśmiertelność?

– No cóż, owszem. Zaplanował dla nas starożytny rytuał. Potrzebujemy księgi, której tak usilnie szukałem, że pod pretekstem remontu zryłem cały zamek, magicznego noża, wreszcie mojej i pani zgody. Mam się poświęcić, niby ofiarny baranek, i głośno becząc z radości, pozwolić ci się zabić, pani. A wszystko po to, by chuć mego ojca znalazła ujście w twych objęciach.

Hrabia westchnął tak ciężko, jakby całe życie nagle mu się rozpadło, jakby wszystko, co robił – a robił bardzo wiele ciekawych rzeczy, był bowiem nadzwyczaj aktywnym człowiekiem na wielu polach, w tym nauki i sztuki – naraz straciło sens. Poczul się najwyraźniej bardzo oszukany przez rodzica, który pod pozorem wpajania synowi wiedzy i pasji naukowych realizował własne chore plany. Rozumiałam go aż za dobrze i wcale nie miałam ochoty na zaspokajanie zachcianek martwego

Aleksandra. Wiedziałam też, że duch mówił kompletne niedorzeczności i nic by nie dało pozbawienie Władysława życia. Bałam się jednak czegoś innego. Domyśliłam się, że mam lokatorkę; bogini nie odeszła całkowicie, nadal mogła częściowo kierować moim ciałem, widać potrzebne były tylko sprzyjające okoliczności. Podejrzewałam podstęp. Chciała się uwolnić ode mnie i zasiedlić kolejną niewinną istotę. Jeśli Aleksander spłodził córkę niedługo przed swoją śmiercią, miała teraz kilkanaście lat, czyli była w idealnym wieku.

– Nóż nie jest magiczny. A przynajmniej nie w taki sposób, jak myślisz, hrabio – rzekłam, chcąc go jakoś uspokoić. – Nie jest narzędziem prowadzącym do nieśmiertelności, ale śmierć tak, jak każdy nóż oczywiście. Chętnie bym go jednak odzyskała, jeśli wolno prosić, posiada bowiem dla mnie wartość sentymentalną. Należał do bliskiej mi osoby i długo nie mogłam odżałować jego straty. Byłam przekonana, że ukradł mi go jakiś złodziejasek. To cud, że go pan odnalazł.

– Przepraszam – hrabia w końcu popatrzył mi w oczy z odrobiną sympatii – okłamałam panią. To ojciec go pani ukradł, nie żaden złodziejasek. Proszę, zwracam go pani.

Wzięłam nóż ukryty w ozdobnej pochwie. Wyciągnęłam go delikatnie, światło świec zalśniło na czarnej klindze, sprawdziłam palcem, była lekko ciepła, jak zwykle zresztą. Wspomnienia napłynęły szeroką falą i pochłonęły mnie na chwilę. Tamta noc, mój podły brat i ona, taka doskonała, a potem śmierć wschodniego przyjaciela, taka nadaremna, choć przez niego upragniona. Ból przeszył moje serce i poczułam, jakby czyjeś palce je ścisnęły, wbijając w nie pazury. Schowałam ostrze do pochwy i włożyłam sztylet do ukrytej w sukni kieszeni, gdzie zwykle go nosiłam, zanim został skradziony. Uderzyło mnie przy okazji, że nawet suknie wybrałam na tę podróż takie, by obudziły w Aleksandrze wspomnienia i urobiły go niczym wosk. Nie nosiłam ich bowiem od lat, zalegały gdzieś na dnie kufra, czekając nie wiadomo na co.

– Jednym słowem, pani, nie zamierzasz mnie uśmiercić przy najbliższej okazji? – spytał nieco filuternie Władysław, wyrrywając mnie z zadumy.

– Nie zamierzam. Darzę cię, hrabio, sympatią i uważam, że dobry z ciebie człowiek. Każdy z nas daje się zwodzić rodzicom, wierząc, że chcą dla nas jak najlepiej. Dorosłość bywa gorzka, zaczynamy widzieć, że dbanie o innych niewiele ma wspólnego z prawdziwą troską, dużo więcej zaś z prywatą i dbałością o własne szczęście. Mnie zawiodła właściwie cała rodzina. Nie mam już nikogo. Ty masz żonę i dzieci, szanuj je i kochaj, póki chodzą po tym świecie.

Hrabia patrzył na mnie i uśmiechał się ironicznie, jakby moja moralizatorska przemowa setnie go ubawiła. Gdy skończyłam mówić, podniósł się z fotela i lekko chwiejnym krokiem udał się po kolejną butelkę porto, potem rozlał wino do kieliszków i wręczył mi jeden.

– Za przyjaźń i wiarę w ludzi. – Stuknął kryształem o kryształ. – Nie jestem dobrym człowiekiem, pani, ale bardzo uważam, by nikt się nie zorientował. To wymaga wysiłku; filantropia, bywanie wśród plebsu, te wszystkie datki na kościół i ubogich, miłość do ojczyzny wreszcie. Pomagają też moje pasje sportowe i naukowe. Ludzie widzą to, co chcę, żeby zobaczyli, i na tym się skupiają, tworząc mój obraz. Chciałbym ci, pani, uchylić rąbka pewnej tajemnicy. Tak jak mój ojciec interesuję się fotografią i kolekcjonuję różne zdjęcia, nie tylko te zrobione przeze mnie. Jeśli pozwolisz, odwiedzimy jeszcze jedno sekretne pomieszczenie w piwnicach tego zamku.

Skinęłam głową, a on podał mi ramię i kolejny raz poprowadził amfiladą pokoi i labiryntem korytarzy. Po krótkim spacerze znaleźliśmy się w pomieszczeniu, które hrabia nazwał ciemnią. Było to małe laboratorium fotograficzne, którego ściany pokrywały dziesiątki fotografii oprawionych w cienkie ramki. Nie dopatrzyłam się jednak na nich niczego szczególnego; widoki z podróży, egzotyczne zwierzęta, dzikie plemiona, zabytki,

wytwornie odziani ludzie, ot, typowe obiekty zwykle uwieczniane na zdjęciach.

Hrabia kręcił się po pracowni pełnej szafek z szufladami, w których mieściły się drewniane pudełka zamykane na kluczyk, i czegoś gorączkowo szukał. Wreszcie wyjął drewnianą, rzeźbioną skrzyneczkę, a z niej plik zdjęć. Podał mi je z dumą. Zaczęłam oglądać i mimowolny uśmiezek wypełził na moje wargi; mężczyźni nigdy mnie nie zawodzili w tej kwestii. Białe pulchne uda, duże piersi, dziwne pozy, trochę piór i koronek. Hrabia, widząc moją reakcję, stropił się, a potem wyrwał mi dość gwałtownie fotografie z rąk.

– Przepraszam. Ogromnie przepraszam. To nie to pudełko – mamrotał pod nosem.

Miotanie się w poszukiwaniu właściwej skrzyneczki rozpoczęło się od nowa. Ja tymczasem bliżej przyjrzałam się wiszącym na ścianach zdjęciom i doszłam do wniosku, że hrabia ma talent; ujęcia były niesztampowe, uwiecznione osoby zwykle nieupozowane, jakby fotografował je z ukrycia, co pozwalało na zachowanie naturalności. Podobały mi się jego prace.

– Proszę, tym razem bez świństw. – Wręczył mi stosik fotografii.

Wszystkie przedstawiały ludzi, którzy dopiero co umarli. Nad każdym z ciał, które leżały w najróżniejszych pozach, unosił się biały obłoczek ni to mgły, ni pary. Zdjęcia przedstawiały zwłoki żołnierzy na polu bitwy, trupy żebraków zamarzniętych pod kościelnym murem, nieżywych dzikusów, których zmogła egzotyczna choroba. Na ostatniej fotografii zobaczyłam Aleksandra i ona, co zrozumiałe, wywarła na mnie największe wrażenie. Stary mężczyzna leżał na ogromnym łożu w skotłowanej pościeli, a jego twarz wykrzywiał okropny grymas; wyglądał, jakby bronił się przed ostatecznym, jakby nie zgadzał się na takie zakończenie.

– Zmarł w Nicei, byłem przy nim, jak się zapewne domyślasz – wyszeptał hrabia. – Odszedł, krzycząc twoje imię, pani.

Cóż za niestosowny romantyzm, pomyślałam z przekąsem. Nie mógł krzyczeć czegoś mniej krępującego? Popatrzyłam na Władysława, znowu był blady i lekko spocony.

– Dość duchów na dziś, mości hrabio. – Uśmiechnęłam się promiennie. – Masz jeszcze trochę tego wspaniałego wina, a może dolejemy do niego kropelkę laudanum? – Z innej ukrytej kieszeni wyjęłam małą butelkę i pomachałam mu nią przed nosem. Hrabia ożywił się wyraźnie.

– Mam coś znacznie lepszego, moja droga, chodźmy. Obiecuję, że tym razem będzie to miła niespodzianka.

\*\*\*

Prywatne pokoje hrabiego okazały się przyjemnym, gustownie urządzonym miejscem; miały też niekwestionowaną przewagę nad moimi pokojami: nie było tam ołtarzyka stworzonego na moją cześć przez wypaczony umysł Aleksandra.

Leżałam na miękkiej otomance w stylu orientalnym, a hrabia spoczywał tuż obok na skórze leoparda rozścielonej na pięknym mozaikowym parkiecie. Podawaliśmy sobie fajkę z opium i snuliśmy opowieści o dalekich krainach, które było nam dane zobaczyć. Hrabia odzyskał spokój ducha i dobry humor. Głaskał mnie delikatnie po gołej stopie i uśmiechał się leniwie, kiedy roztaczałam przed nim wizję indyjskich przybytków rozkoszy, gdzie zabawiliśmy z bratem kilka miesięcy, choć właściwie wcale nie planowaliśmy ich odwiedzać.

Zasadniczo opium na mnie nie działało, podobnie jak alkohol; używałam ich zwykle, by odprężyć moje ofiary – nie chciałam przecież tym młodym kobietom sprawiać nadmiernej przykrości, nie byłam sadystką jak mój brat. Teraz udzielił mi się nastrój hrabiego, który z każdą chwilą stawał się bardziej rozochocony, zamiast otumaniony. Była to dość dziwna reakcja na opium. Może w składzie palonej przez nas mieszanki znajdowało się niespotkane dotąd przeze mnie ziele, a może hrabia robił to na tyle często,

że był bardziej odporny na działanie substancji niż początkujący palacz. Tak czy siak, sytuacja stawała się nieco kłopotliwa, nie umiałam zdecydować, jak dalej postąpić z Władysławem, na co mu pozwolić i dokąd ewentualnie miałyby to nas zaprowadzić.

Myśl, żeby mu wszystko wyznać, opuściła mnie już dawno; myśl, żeby zostać jego kochanką, dobijała się coraz głośniejsze do mojej świadomości. Tylko że to drugie było nierealne bez pierwszego. Nie chciałam otumaniać go każdego dnia, niczym sobie na to nie zasłużyłam.

Dłoń hrabiego powędrowała wyżej i masowała teraz moją łydkę, a mętlik w mojej głowie narastał. Miałam wrażenie, że tracę kontrolę nad sytuacją, że jakaś część mnie odbiera mi zwykłe zimne wyrachowanie. W końcu uległam.

– Hrabio – przerwałam mu w połowie opowieści o polowaniu na leoparda, na skórze którego właśnie leżał – muszę ci coś wyznać, zanim mnie posiądziesz, górnolotnie mówiąc.

Roześmiał się gromko.

– Jesteś, pani, dziewicą? – spytał, a w oczach zalśniły mu łzy uciechy. – Nie, nie odpowiadaj. Wiem o tobie wszystko. Tak – kontynuował, widząc moją skonsternowaną minę – znowu cię okłamałem. Śledzę cię od dawna. Rozmawiałem o tobie z twoim bratem rok temu w Londynie. Prosił, bym cię sprowadził jakimś fortelem do Polski. Martwił się tym, co robisz. Zanim jednak udało mi się przygotować wabik w postaci odnalezienia nieistniejącego testamentu papy, sama do mnie przybyłaś. Aha, służę także szlachetnej pani swoją szyją, oczywiście jeśli masz na mnie chęć.

Los zakpił ze mnie kolejny raz. W pierwszej chwili miałam ochotę zerwać się i boso wybiec z tego przeklętego domu. Nic w moim życiu nie mogło być szczere, nic nie zależało ode mnie, ciągle byłam czyjąś marionetką. Nie dałam się jednak ponieść złości. Tym razem postanowiłam skorzystać z oferty losu, skoro i tak nie miałam niczego lepszego na widoku.

– Wiesz, panie, że ryzykujesz swoim życiem, a nawet nieśmiertelną duszą, zabawiając się ze mną? – spytałam zimno.

– Tak, wiem to doskonale, ale widać choroba mego ojca jest dziedziczna. Pożądam cię od chwili, gdy tylko o tobie usłyszałem. – Westchnął ciężko. – Plan ojca był mi bardzo na rękę, dopóki od jego ducha nie dowiedziałem się, że mamy się zamienić: on będzie cię dupczył, a ja będę marzył w zaświatach. Ani mi się śni. Chodź tu wreszcie, duszko, dłużej już nie mogę się hamować.

Ściągnął mnie z otomany na siebie, a potem sprawy potoczyły się utartą przez wieki ścieżką.

\*\*\*

Otworzyłam oczy, ledwie poczułam intensywny różany zapach. Otulał mnie mrok, ale niecałkowity. Przez otwarte okno wpadał do ogromnej, królewskiej sypialni promień księżyca i oświetlał złoczone kolumnienki łoża z baldachimem. Razem z lunarnym blaskiem wdzierało się ciepłe, wilgotne powietrze, muślinowa firanka powiewała leciutko.

Poderwałam się gwałtownie. Ostatnie, co pamiętałam, to upojna grudniowa noc w ramionach hrabiego na lamparcej skórze. Gdzie, u licha, podziało się ostatnie pół roku? Co to za miejsce? Wychyliłam się przez okno i z trudem rozpoznałam zamkowy park. Ostatnio widziałam go przykryty śniegiem i skuty mrozem. Teraz rozbrzmiewał odgłosami nocnych zwierząt: żaby kumkały nad strumyczkiem, coś chrobotło w zaroślach, krzaki róż gościły słowika. Sielanka po prostu. I ja w tej sielance – w jedwabnym desu wychylająca się z otwartego okna niczym wypatrująca gacha kokota.

Ta sypialnia również posiadała gotowalnię, w której znalazłam swoje stare suknie i wiele całkiem nowych. Ubrałam się pośpiesznie i uchyliłam drzwi na korytarz. Skądś dobiegały głosy, kobiecy i męski, prowadzące ożywioną dyskusję, nie mogłam jednak zrozumieć, o czym mówią. Postanowiłam iść w kierunku ich źródła. Okazało się to trudniejsze, niż

zakładałam. Kiedy zdawało mi się, że słyszę rozmowę wyraźniej i robiłam kilka następnych kroków, głosy nagle milkły; wracałam więc i nasłuchiwałam dalej. W końcu udało mi się trafić na właściwy korytarz; zaczęłam rozróżniać poszczególne słowa, zwłaszcza te wypowiedane przez kobietę. Była czymś wzburzona i nie kryła tego. Mężczyzna próbował chyba łagodzić sytuację. Podkrađłam się cicho. Teraz już byłam pewna, że to Władysław rozmawiał ze swoją matką. Zatrzymałam się przed uchylonymi drzwiami, prowadzącymi zapewne do prywatnych pokoi starszej pani, i zaczęłam podsłuchiwać.

– Jak śmiesz! – krzyczała na syna hrabina. – Jak możesz oskarżać ojca o własne występki! Ta kobieta to wcielony diabeł, opętała jego, a teraz ciebie!

– Ależ *maman*... – mitygował Władysław – nie denerwuj się tak, przecież robię to samo co inni, ci wszyscy Potoccy i Stadniccy.

– Tak, ale oni się z tym kryją! Są dyskretni. Nie trzymają kochanki w domu! – Anna Nina aż się zasapała i ciężko nabierała powietrza. – Na dodatek ta... ta rozpustnica wozi się twoją najlepszą karetą po okolicy, składa sąsiedzkie wizyty. Może obsługuje też innych gentlemanów? Jeśli nie, wkrótce zaczniesz to robić! Wspomnisz moje słowa.

– Mamusiu... – zajęczał słabo hrabia.

– Dam ci mamusię, hultaju! – krzyczała. – Za niespełna dwie niedziele zjeżdża tu twoja żona na letnią kanikułę. Jak zamierzasz rozwiązać ten piekielny problem? Ona musi zniknąć, natychmiast! – wysyczała.

– Coś wymyślę, mamó. Coś wymyślę. Nie jestem głupcem, ale spróbuj mnie zrozumieć, kocham ją. Ty ojca poślubiłaś z miłości, rodzina miała dużo zastrzeżeń, a jednak nie ulegliście presji. Ja poślubiłem pannę Potocką tylko po to, by cię uszczęśliwić, nie znoszę jej rodziny, oni też mnie nie kochają. Ina to jedyna miłość w moim życiu. Poza tym kocham tylko ciebie i moje konie.



– Tak, synku, wiem... – Głos starej złagodniał. – Tyle że ona nie jest z naszego świata, to jakiś demon. Nie starzeje się, nie zmienia, zgubi ciebie i nas wszystkich. Rozbiła już moje małżeństwo, bo choć ojciec nigdy jej nie zdobył, przestał być moim mężem, odkąd się w niej zakochał.

– Przepraszam, mammo...

Postanowiłam odejść, zanim skończą rozmowę. Nie chciałam, by mnie odkryli podsłuchującą pod drzwiami. Szybko wróciłam do swojej sypialni w stylu empire i zaczęłam się pakować do sakwojażu, który na szczęście był w gotowalni. Wzięłam tylko trochę bielizny i drugą suknię, jakieś osobiste drobiazgi i mój nóż, który znalazłam w kieszeni sukni, którą miałam na sobie przed utratą pamięci. Nie wiedziałam, skąd wezmę konia, ale noc była młoda, a ja nawet pieszo potrafiłam się szybko przemieszczać. Musiałam wrócić do brata, czy tego chciałam, czy nie, tylko we dwójkę mieliśmy jakąś szansę przeciwko Inannie.

Znowu zabłądziłam, ale dzięki mojej zdolności szybkiego i bezszelestnego poruszania się w końcu odnalazłam drogę do wyjścia przez kuchnię. Musiałam też sforsować mur otaczający park, ale nie stanowiło to dla mnie problemu.

Po kilku godzinach szybkiego biegu byłam już po drugiej stronie gór; postanowiłam po drodze do Francji zahaczyć o Wiedeń, gdzie mój brat nabył kiedyś uroczy dworek na przedmieściach. Oboje uwielbialiśmy tę stolicę muzyki i dworskiego życia. Miałam nadzieję, że Franciszek nie sprzedał posiadłości. Cóż, musiałam zaryzykować, obawiałam się bowiem, że hrabia ruszy moim tropem, a ten kierunek na pewno nie przyjdzie mu do głowy.

Dotarłam do Wiednia tuż przed świtem. Słońce muskało moją twarz, kiedy minąwszy rogatki miasta, szybko mknęłam brukowanymi ulicami. Wiedeń w tamtych czasach przechodził gruntowną przebudowę, zburzono średniowieczne mury i utworzono szeroką aleję, przy której powstawały kolejne wspaniałe, choć nieco pompatyczne budowle stylizowane na różne

epoki. Kiedy byłam tu ostatnio, prace dopiero trwały, teraz większość z budynków została już ukończona. Moje ukochane miasto zmieniło się nie do poznania. Na szczęście o tej porze ulice były kompletnie wyludnione i nikt nie zwracał na mnie uwagi. Musiałam dziwnie wyglądać z głową okutaną grubym szalem, ale oparzenia słoneczne to ostatnie, czego potrzebowałam.

Kierowałam się w stronę Penzingu. W gruncie rzeczy mogłam się tam dostać, omijając miasto, ale zatęskniłam za jego widokiem i chciałam nim nacieszyć oczy, zanim utknę w willi na dobre, czekając na brata. Franciszek wybrał tę położoną na uboczu podmiejską okolicę, niezbyt popularną wśród tutejszej arystokracji, byśmy czuli się swobodnie we własnym domu, nie trapiąc się wścibstwem sąsiadów oraz ich służby. Teraz błogosławiłam go za to.

Willa w stylu Art Nouveau była białym, dość okazałym budynkiem zdobnym w roślinne, koronkowe balustrady, smukłe kolumny, stylizowane na antyczne rzeźby pokryte złoceniami. Przepiękne witrażowe okna chroniły przed słońcem, nawet w dzień umożliwiając mi poruszanie się po domu. Oczywiście okna w mojej sypialni posiadały szczelne okiennice, co pozwalało mi wysypiać się bez przeszkód.

W domku dla służby zastałam, na co liczyłam w skrytości ducha, zaufanego kamerdynera Lupulę, którego Franciszek sprowadził z Rumunii, młodego królestwa wydzielonego kilkanaście lat temu z części Siedmiogrodu. Tamtejsi wieśniacy jakoś niczemu się nie dziwili, picie krwi wydawało im się tak samo naturalne, jak wrażanie kołków w serce, a za odpowiednią opłatą gotowi byli wiernie służyć każdemu.

Lupul wpuścił mnie do willi, a potem zaczął się pośpiesznie krzątać, przygotowując sypialnię; ja w tym czasie napisałam krótką wiadomość wzywającą brata: „Przybywaj niezwłocznie do Wiednia. Ona wróciła”. Miałam nadzieję, że to wystarczy; nie chciałam powierzać zbyt wielu informacji umyślnemu. Poleciałam kamerdynerowi wysłać list jak

najszybciej, a sama udałam się na spoczynek, choć spać nie zamierzałam – bałam się powrotu Inanny.

Miałam niewątpliwie wiele do przemyślenia. Utraciłam pamięć na pół roku, egzystowałam tak, jakbym nie istniała; ona władała moim ciałem, nie musiała pić krwi, aby przetrwać, nie obawiała się poparzeń od słońca, żyła niemal jak zwykły śmiertelnik. Najgorsze, że nie miałam pewności, co pozwoliło jej na odzyskanie kontroli nade mną. Czy był to ten dziwny seans spirytystyczny, czy też miłosna noc z hrabią? Miewałam liczne kochanki, kochanków rzadziej, ale też się trafiali, i nigdy wcześniej nawet na chwilę nie udało jej się pojąć mojego umysłu, nie mówiąc o ciele. Bałam się, że bez snu i pożywienia długo nie wytrzymam, a wolałam nie ryzykować polowań do powrotu brata, nie mówiąc o zasypianiu. Liczyłam, że Lupul jakoś to załatwi. Mieliśmy umowę, wedle której był nietykalny; musiałam ją honorować, tak jak on tolerował moje dziwactwa i nie wbijał we mnie kołków, choć mógł. Wprawdzie nie unicestwiłby mnie w ten sposób, jak wiesz, ale to dość krępujące co wieczór wyciągać ze swojego ciała kołki. Liczyłam jednak, że przyprowadzi mi jakąś służącą z okolicy. Tak też się stało. Padło na pomywaczkę z willi obok, oddalonej o paręset metrów. Nie wybrzydzałam, najadłam się, zatarłam jej wspomnienia i lekko osłabioną, ale całkiem zadowoloną ze srebrnej monety, odesłałam do domu z przekonaniem, że nigdzie nie wychodziła, tylko jak zwykle zaspokoila nieco wyuzdane potrzeby swojego pana.

Gorzej było z niespaniem; kazałam wprawdzie Lupulowi zaglądać do mnie co godzinę, ale już drugiej nocy mało się nie poddałam. Musiałam znaleźć coś, co pomoże mi przetrwać do powrotu Franciszka. Nakłoniłam sługę, by opowiedział mi historię swego życia oraz losy swoich bliskich, a potem wszystkie legendy z jego kraju, w końcu jednak tematy się wyczerpały i noce trwały w nieskończoność. Zmuszałam się do pozostawania w ruchu, przemierzając pokoje naszej pięknej siedziby;

mijała czwarta doba bez snu, a na brata musiałam czekać jeszcze przynajmniej trzy dni.

W końcu, nie wiem kiedy i jak, zasnęłam na stojąco; osunęłam się po prostu na dywan w salonie i tam znalazł mnie wierny sługa, pogrążoną w kamiennym śnie. Zaniósł mnie do sypialni i ułożył na pościeli. Przywołałam go, kiedy tylko otworzyłam oczy: wyjaśnił mi, że przespałam dwa dni, a pana Franciszka nadal nie ma. Mimo to odczułam niesłychaną ulgę – mogłam spać. Inanna nie przejęła nade mną kontroli. Z radości uściskałam sługę i kazałam sprowadzić sobie kolejną dziewczkę, co Lupul przyjął z właściwym sobie spokojem i wyrozumiałością – uściski oraz moje życzenie – i już po godzinie wgrzyzałam się w szyję pulchnej praczki o długich jasnych warkoczach.

Franciszek zjawiał się kilka dni później. Był wzburzony do granic możliwości, jednak nie ja – a raczej nie tylko ja – byłam powodem jego wściekłości. Kochanek mojego brata trafił do więzienia za sodomie i choć Franciszek wybaczał mu dotąd liczne zdrady oraz ukrywanie ich związku przed londyńskim towarzystwem, podczas gdy Oskar publicznie pokazywał się z innymi mężczyznami, nie mógł mu wybaczyć odrzucenia pomocy. Pan Wilde kategorycznie nie życzył sobie, by mój brat wyciągnął go z więzienia. Może chciał uchodzić za męczennika, cierpiącego w imię prawa do wolnej miłości, a może miał dosyć związku z osobą tak niezwykłą, że ciągle czuł się przy niej kimś gorszym.

Franciszek szalał właśnie z rozpacz i wściekłości, kiedy dostał moją wiadomość, a to pogrążyło go jeszcze bardziej. Uściskał mnie jednak gorąco na powitanie i odniosłam wrażenie, że lód w jego sercu nieco stopniał. Kiedy umył się i przebrał po podróży, usiedliśmy w salonie, a ja zaczęłam mu opowiadać, co wydarzyło się w zamku Branickich. Słyszając, że hrabia rzekomo dostał polecenie od niego, by mnie ściągnąć do Polski, zawył z wściekłości i zerwał się z fotela.

– To łgarstwo! – krzyknął. – Obedrę go ze skóry! Będzie jęczał w tej swojej piwniczce przez wiele godzin, wreszcie dowie się, jak smakują tortury, które jego familia tak chętnie ordynowała poddanym! – wrzeszczał na całe gardło.

– Hrabia to tylko śmiertelnik – odparłam cicho. – To ja okazałam się głupia, choć nie wiem, co by to zmieniło, gdyby mnie nie okłamał... Pewnie i tak skończyłabym w jego łożu.

Krzyk zamarł na ustach mojego brata. Nagle znowu był opanowany i chłodny. Patrzył na mnie uważnie.

– Kochasz mnie – stwierdził beznamiętnie. – Chciałaś się zemścić za Oskara. Rozumiem. Choć to dziwne, skoro twoje serce jest martwe i jak sama twierdziłaś, nie możesz się zakochać.

– Może to uczucie starsze, niż myślisz... – wyszeptałam. – A poza tym tylko ty mi pozostałeś i dobrze o tym wiesz.

Mówiąc to, odwróciłam się do niego plecami. Choć nie umiałam płakać, a przynajmniej tak myślałam, czułam się rozżalona, smutna i zła. Ściągnęłam go tu pod pretekstem problemów z Inanną – i był to ważny powód – ale nie tylko dlatego cieszyłam się, że przybył. Był jedyną bliską mi osobą i miało tak już pozostać na wieki. Poczułam jego rękę obejmującą mnie w pasie i jego usta za uchem.

– Przepraszam za Londyn. – Jego oddech połaskotał mnie w policzek. – Wynagrodzę ci to. Ja także okazałem się idiotą. Dobrze, że cię nie złapali, kiedy szalałaś niczym mały demon po brudnych ulicach Witchechapel. Byłem ślepy, myślałem, że uwolniłaś się ode mnie i wreszcie jesteś zadowolona, mogąc mordować tamte kobiety do woli, a potem ten zgrzybiały pierdziel... Nie sądzisz chyba, że zrobiło to na mnie jakieś wrażenie? Było mi cię żal, ale nie chciałem się wtrącać. Teraz znowu jesteś tylko moja i niech tak pozostanie.

\*\*\*

Kiedy się obudziłam, brata nie było koło mnie, choć zasnęliśmy razem. Lupul oświadczył, że pan odjechał kilka godzin temu i ponoć udał się do Suchej. A niech to, Franciszek nie rzucał słów na wiatr, Branickich czekała bardzo nieprzyjemna wizyta. Ciekawe, czy starszą panią też zamierza torturować, na krześle czarownicy, dajmy na to? – zastanawiałam się. Nie radował mnie zbytnio taki obrót spraw. Uważałam, że to kompletnie niepotrzebne, na dodatek zwróci uwagę wielu osób. Mieliśmy wystarczająco dużo kłopotów z boginią, by jeszcze użerać się z ludźmi. Wiedziałam jednak, że nie zatrzymałabym Franciszka, więc może lepiej, że oszczędził mi przykrej rozmowy.

Kolejne dni upływały mi w oczekiwaniu na jego powrót. Snułam się po willi, usiłując odgadnąć, co sprowadziło tę sukę, ale jedyna sensowna odpowiedź była ze wszech miar głupia. Ten oksymoron wcale nie wydał mi się zabawny. Myślałam dalej; seans na pewno okazał się czynnikiem spustowym, ale to za mało. Dawniej także brałam udział w takich śmiesznych pokazach – lubiłam bawić się naiwnością ludzką – jednak na żadnym nie udało się przywołać ducha. Tym razem miałam pewność co do kontaktu z duszą Aleksandra. Czy syn go widział, nie wiedziałam, może znowu skłamał. Najwyraźniej był świetnym aktorem, od lat przygotowującym się do odegrania przede mną przedstawienia. Aktor, manipulator, a równocześnie zakochany we mnie sztubak. Miłość ma wielką siłę, jak widać. Miłość... Oto odpowiedź. To miłość obu hrabiów musiała przywołać boginię. Co prawda uczucie mojego brata nie uwolniło Inanny, no ale może dlatego, że niechcący przyczynił się do jej klęski. Jednym słowem, nie mogę pozwolić, by ktoś się we mnie zakochał, i jakoś to będzie, miejmy nadzieję, pomyślałam.

Franciszek wrócił po niespełna tygodniu. Gniew wyparował, ale nadal był zacięty i milczący. Nie poddał Branickich torturom, bo nie zastał hrabiostwa w domu. Ponoć wyjechali naprzeciw żonie Władysława, zmierzającej na letni wypoczynek do zamku. Mój brat czekał na nich kilka

dni, ale w końcu odpuścił. Przemyślał widać sensowność swoich zamiarów. Pochwalałam tę roztropność, ale nic nie rzekłam, by go nie drażnić. Pomyślałam, że czas sam wszystko wygładzi, jak zwykle zresztą, a czasu mieliśmy pod dostatkiem.

Pozostawało rozwiązać niedającą nam spokoju sprawę Inanny. Brat uznał, iż na razie nie powinnam opuszczać domu, on będzie mnie obserwował i strzegł razem z Lupulem. Zakazał mi nawet sprowadzać okoliczne kucharki, praczki i pomywaczki; obiecał sam zaspokajać mój głód. Niezbyt mi się podobało takie rozwiązanie, ale rada z jego obecności, odłożyłam ewentualną sprzeczkę na później.

Dni upływały mi na spaniu, a bratu na odświeżaniu kontaktów towarzyskich z wiedeńską elitą, czy raczej na budowaniu ich od nowa, ponieważ znowu zmienił tożsamość, by nie budzić podejrzeń. Przez wieki opanowaliśmy biegle sztukę charakteryzacji; peruka, wąsik, bródka, binokle i nieco pudru uczyniły z niego mężczyznę nierozpoznawalnego dla starych znajomych. Zresztą minęło sporo czasu od naszego ostatniego pobytu tutaj i wielu z nich już nie żyło albo cierpiało na zaawansowaną sklerozę.

Dom, który nam obecnie służył, Franciszek kupił i urządził podczas naszego pobytu w Londynie. Lubił mieć miejsce, w którym mogliśmy się schronić w razie potrzeby. Wcześniejszy zajmowany przez nas pałacyk, położony bliżej serca Wiednia, od dawna należał już do nowych właścicieli.

Nocami spacerowałam po pięknie utrzymanym ogrodzie, o który dbał niezastąpiony Lupul. Letnie upały były dla mnie bardzo przyjemne; lubiłam ciepło, a za dnia nie mogłam się nim cieszyć. Powietrze przesycone kwiatowymi zapachami otulało mnie niby jedwabny wschodni szal. Często siedzieliśmy z bratem aż do wczesnego świtu w ogrodowej altance, która nieco przypominała buduar – ze swoją palisandrową podłogą wyściełaną perskim dywanem, otomankami pełnymi miękkich poduch, latarenkami rozświetlającymi mrok nocy i muślinowymi zasłonami zwieszającymi się

dookoła. Zwykle opierałam głowę na piersi Franciszka, a on bawił się moimi włosami. Rozmawialiśmy o podróżach, o muzyce, malarstwie, o wszystkim, co nas przez te wieki łączyło i dzieliło. Moje serce nabrzmiewało nieznanym mi dotąd uczuciem błogości. Mieliśmy tyle wspólnych wspomnień, i kilka oddzielnych do opowiedzenia. Brat z bólem mówił o swojej utraconej miłości, a ja ze wstydem spowiadałam się ze swych londyńskich wyczynów, które ta miłość sprowokowała. Brat głaskał mnie uspokajająco i szeptał, że to jego wina, że opuścił mnie dla kaprysu, a przecież tak naprawdę mamy tylko siebie.

Sielanka trwała całe lato i piękną ciepłą jesień. Potem spadł pierwszy śnieg, a ja coraz bardziej czułam się tu zamknięta, jak w eleganckim więzieniu. Wytrzymałam do Bożego Narodzenia, lecz kilka dni przed Nowym Rokiem oświadczyłam bratu kategorycznie, że ma mnie wprowadzić jako swoją młodszą siostrę w wiedeńskie towarzystwo. Oczywiście Franciszek równie kategorycznie się sprzeciwił. Przypomniałam mu, że nie posiada nade mną władzy i mogę robić, co chcę, a to, że siedziałam w domu tak długo, wynikało wyłącznie z mojej dobrej woli. Nudziłam się już setnie, Inanna nie pojawiła się więcej ani razu i nie zamierzałam spędzić kolejnych miesięcy w samotności, zwłaszcza w czasie karnawału, który uwielbiałam. Brat po karczemnej awanturze, okraszonej tłuczeniem porcelanowych figurek pastereczek i baletnic, uległ mi w końcu. Obiecał zabierać mnie na bale i koncerty, nawet przyrzekł wyprawę do Wenecji; skoro tak pragnę karnawału, to dostanę najlepszy.

Tej nocy nie mógł narzekać na mój brak zaangażowania.

\*\*\*

**W**szystko należało stosownie zaaranżować. Nocą przekradliśmy się na rogatki Wiednia i spędziliśmy dzień w zajeździe. Wczesnym zimowym wieczorem przejechaliśmy powozem ulicami miasta, ubrani w stroje podróżne. Zakładaliśmy, że nasza maskarada zostanie dostrzeżona, jeśli nie



przez wielmożnych państwo, to przynajmniej przez służbę, która rozniesienie plotkę o moim rzekomym przybyciu z Budapesztu.

Nazajutrz późnym popołudniem w naszym domu zaroilo się od krawców, szewców, kaletników i kapeluszników. Sezon zaczynał się już za parę dni – musiałam mieć suknię i buty przynajmniej na koncert w filharmonii, od którego zamierzaliśmy rozpocząć bywanie w eleganckim towarzystwie. Obstałowałam kilka kolejnych kreacji na czekające mnie bale i wyjazd do Wenecji. Potrzebowałam też wierzchnich okryć, peleryn, krynolin, futer, mufek, kapturów obszywanych futerkiem, bucików na bale i botków na zimowe spacer. Zamówiłam kilka wymyślnych masek, pięknych wachlarzy oraz różnokolorowych peruk. Choć zwykle nie przywiązywałam specjalnej wagi do strojów i nie lubiłam ceregieli towarzyszących ich szyciu, siedzenie w domu przez pół roku dało mi się tak we znaki, że nawet te przygotowania stanowiły dla mnie przyjemną odmianę. Franciszek także zamówił dla siebie eleganckie fraki i surduty, tużurki, koszule, algierki, jedną delię, kapelusze, kilka par rękawiczek z delikatnej skórki, fulary, halsztuki, buty do tańca i do konnej jazdy oraz maski i peruki na karnawałowe bale.

Sezon rozpoczęty wspaniałym koncertem Wiener Philharmoniker pod batutą Hansa Richtera spełnił wszelkie moje oczekiwania. Modne towarzystwo przyjęło mnie przyjaźnie, by nie rzec: entuzjastycznie; szybko staliśmy się atrakcją każdego przyjęcia, balu i wieczorku, na którym raczyliśmy się zjawić, wybierając zaproszenie spośród dziesiątek innych. Kawalerowie ustawiali się w kolejce i zebrali o choć jeden taniec ze mną, szacowne matrony traktowały mnie jak właśnie odnalezioną córkę, a mężowie wzdychali za plecami swoich żon, z utęsknieniem wodząc za mną wzrokiem. Wszyscy byli niepokieszeni, słysząc o naszym planowanym wyjeździe do Wenecji; kilku śmiałków nawet chciało nam towarzyszyć, ale chmurne spojrzenie mojego brata szybko ostudziło ich zapędy.

Franciszek pilnował mnie nadal; wprawdzie mogłam tańczyć i rozmawiać, z kim chciałam, ale nie za dużo i nie za długo z jednym kawalerem. Moja koncepcja, że boginię przywołuje wielka miłość, choć właściwie niepotwierdzona, utkwiała mu w głowie. Nie zamierzał ryzykować sytuacji, że jakiś chłystek się we mnie zakocha. Jeśli któryś z adoratorów za bardzo się zbliżał i za często przebywał w moim towarzystwie, brat pod byle pozorem wyzywał go na pojedynek. Wielu tchórzyło i pokornie błagało o wybaczenie, ale i tak w krótkim czasie powiększyłam cmentarz o kilka grobów.

W końcu wyruszyliśmy do Wenecji. Podróż była trudna, zima skuła lodem szlaki, a my poruszaliśmy się tylko nocą, niemniej dotarliśmy na miejsce bez poważniejszych perypetii. Miasto oczarowało mnie już pierwszego wieczoru. Barwny korowód tancerzy z maskami na twarzach, setki pochodni, śpiewy i śmiechy, nieustająca orgia zmysłów. To był mój świat, pragnęłam, by karnawał nigdy się nie skończył. Co noc włóczyliśmy się z bratem wąskimi uliczkami aż do świtu, a potem wracaliśmy do wynajętego pałacyku i przesypialiśmy cały dzień. On też był zachwycony rozwiątlą atmosferą Wenecji i niekiedy sprowadzał do naszych pokoi kurtyzany, ku wspólnej uciechy.

Szczyście nie mogło jednak trwać zbyt długo; to, co ukradziono losowi, zawsze w końcu upomni się o zapłatę. Karnawał się skończył, a my wróciliśmy do Wiednia i na wiedeńskie salony, które w czas Wielkiego Postu stawały się potwornie nudnym miejscem. Brat znowu znalazł klub dla gentlemanów i zaczął w nim bywać coraz częściej, czasami spędzając tam całe noce, a ja ponownie popadłam w osamotnienie i marazm. Snułam się po domu niczym upiór, którym w istocie byłam. Próbowalam nawet nakłonić Lupula do gry w szachy, warcaby lub choćby w mariasza, ale on burkliwie odmawiał, tłumacząc, że przecież musi kiedyś spać. Zasoby biblioteki też nie starczyły mi na długo i choć Franciszek posyłał po nowe książki, czytając jedną pozycję w ciągu nocy, szybko uporałam się zarówno

z klasyką, jak i z nowościami. Czasem pół nocy brzdękałam na pianinie, co pewnie przyprawiało Lupula o ból głowy; nigdy jednak nie poskarżył się ani jednym słowem na moje dziwactwa, uznając widać, że mam do nich prawo, byleby mu nie kazała w nich uczestniczyć.

Byłam już śmiertelnie znudzona i gotowa rzucić się z najwyższego okna, byle coś poczuć, gdy Lupul przyniósł mi kremową kopertę zaadresowaną na moje ówczesne imię i nazwisko. Pięknym kształtnym pismem wykaligrafowano: *hrabina Anastasia von Gaschin*; brakowało adresu, widać list przyniósł osobisty posłaniec. Pogładziłam palcem swoje imię, które znaczyło „wskrzeszona”, i choćby dlatego świetnie do mnie pasowało. Przeszedł mnie dreszcz ekscytacji na myśl o tym, co może się kryć w tej pachnącej fiołkami kopercie.

Kilkustronicowy list podpisano: *Ton esclave Atilla von Brukenenthal*, co kompletnie nic mi nie mówiło, prócz tego, że ów mężczyzna oddawał się w moje ręce jako niewolnik. Szybko zaczęłam czytać i w miarę lektury zdań pisanych piękną francuszczyzną czułam się coraz bardziej niespokojna i podniecona. Kiedy skończyłam, musiałam chyba bardzo głośno oddychać, bo podniósłszy wzrok, ujrzałam Lupula, który stał w progu salonu i przyglądał mi się badawczo. Odesłałam go gestem ręki i zaczęłam czytać od nowa, a potem jeszcze raz. Lęk mieszał się z ciekawością i żądzą. Odżyły wspomnienia z podróży do Wenecji, a właściwie dopiero teraz dotarło do mojej świadomości, co naprawdę zdarzyło się pewnej nocy w wąskim zaułku.

Straciwszy Franciszka z oczu, biegłam, by go dogonić, potknęłam się i... wpadłam w objęcia nieznanego w białej masce zakończonej długim dziobem. Olbrzymi mężczyzna odziany w czarną pelerynę z kapturem uratował mnie przed niechybnym wpadnięciem do kanału i równocześnie śmiertelnie wystraszył. Jego strój nie przypominał kolorowych okryć zdobionych złotą nicią i klejnotami, które przeważały wśród roztańczonego tłumu. Biała maska pozbawiona jakichkolwiek ozdób zasłaniała mu całą

twarz, szpiczasty kaptur potęgował wrażenie, że jest medykiem z czasów zarazy, a nie rozbawionym hulaką. Przeraziłam krzyknęłam, kiedy mnie podniósł niby piórko i przeskoczył przez wąski kanał. Nie przypuszczałam, że to w ogóle możliwe. Postawił mnie delikatnie na drugim brzegu i widząc mój strach, zdjął kaptur i maskę, czego nie praktykowano podczas karnawału, bo anonimowość gwarantowała dobrą zabawę bez konsekwencji. Twarz miał jak wyrzeźbioną z marmuru; mocny zarys szczęki, wysokie, wschodnie kości policzkowe, prosty nos z leciutkim garbem, pięknie wykrojone usta o pełniejszej dolnej wardze, śniada cera i przenikliwe ciemne oczy pod kruczymi brwiami. Podgolone ciemne włosy, dłuższe na czubku głowy i związane w kucyk, uwydatniały kształt czaszki i jeszcze dodawały mu wzrostu. Parę niesfornych pasm wymknęło się spod rzemienia i zawadiacko opadały na oko. Uśmiechnął się i nagle w jego tęczówkach pojawiło się mnóstwo złotych i zielonych płomyków, jakby mężczyznę rozświetlił wewnętrzny ogień. Bez słowa skłonił się dwornie i nakładając swoją przerażającą maskę, oddalił się ciemną uliczką. Nie obejrzał się ani razu. Ja natomiast długo stałam i patrzyłam w ślad za nim, choć już dawno zniknął mi z oczu.

Nazajutrz pod wpływem dalszych karnawałowych uciech zapomniałam o całej sytuacji i nawet nic nie powiedziałam bratu o tajemniczym wybawicielu, który ocalił mnie przed kąpielą w weneckich nieczystościach. Okazało się jednak, że on nie zapomniał o mnie. Mało tego, odnalazł mnie, dowiedział się, kim jestem i gdzie mieszkam – wprawdzie nie było to tajemnicą, ale i tak zakrawało na cud, że mu się udało. Widać nie tylko z imienia był wytrwałym zdobywcą, przed którym nic się nie ukryje i któremu nikt się nie oprze. Ja w każdym razie poczułam się jak kandydatka na jedną z setek żon groźnego Huna, który podbił pół Europy, a potem zburzył Metz i Akwileję, kiedy odmówiono mu ręki siostry cesarza. Jednym słowem – musiałam mu ulec.

Natomiast sam list pełen był miłosnych zaklęć i obietnic całkowitego poddaństwa; to ja trzymałam ponoć jego serce w garści i mogłam zażądać wszystkiego za jedną minutę sam na sam. Nie dowierzałam temu zbyt i traktowałam raczej jak figurę stylistyczną niż przejaw prawdziwego uczucia, ale i tak był to księżycowy – bo przecież nie słoneczny – promyk nadziei w mojej ponurej egzystencji.

Atilla był pułkownikiem w cesarskiej armii. Nie mogłam się z nim spotkać, nie wzbudzając gniewu brata i nie wystawiając pięknego adoratora na pewną śmierć z ręki Franciszka. Mogłam jednak z nim korespondować i tak postanowiłam uczynić. Atilla obiecał, że umyślny od niego będzie czekał co rano, aż – jak zaznaczył – łaskawie mu odpowiem. Nie wystawiałam jego cierpliwości na próbę i natychmiast siadłam do pisania listu, którego ton nie był chłodny, ale też nie kipiał od namiętności. W końcu nie wypada od razu odsłonić całej duszy nawet przed tak przystojnym i intrygującym kawalerem.

\*\*\*

Nasza znajomość kwitła. Lupul co dzień przynosił mi nowy list i oddawał posłańcowi pismo ode mnie. Staliśmy się niczym Abelard i Heloiza, tak bliscy, choć dla siebie niedostępni.

Szybko poczułam z moim Hunem pokrewieństwo umysłów, bowiem kiedy przestał wypisywać lukrowane farmazony, okazał się inteligentnym i ciekawym rozmówcą. Zbliżyła nas nie tylko pasja poznawania świata, zamiłowanie do literatury, filozofii, malarstwa i muzyki, lecz przede wszystkim niechęć do wąskich horyzontów i obskurantyzmu. Oboje byliśmy zagorzałymi libertynami. Nie wiem, w jaki sposób pułkownik godził swoje przekonania ze służbą wojskową, ale widać mu się to udawało lub też odpowiednie nazwisko i pokrewieństwo z wiedeńską elitą dawały mu pewne przywileje. Tak naprawdę jednak łączyła nas podskórna namiętność i narastająca wzajemna żądza, a cała reszta była tylko tańcem godowym. Nie oszukiwałam się, że jest inaczej; owszem, lubiłam dysputy i

chętnie dyskutowałam, zwłaszcza z wykształconymi ludźmi o nietuzinkowych poglądach, ale ileż razy i z iloma osobami można mówić o tym samym. Ponieważ jednak nie mogłam być z nim inaczej, oddawałam się mu intelektualnie, czerpiąc z tego przyjemność.

Mijały miesiące naszego listownego romansu. Brat niczego nie podejrzewał, choć powinien wykazać się większą ostrożnością. Dalej bywał w swoim klubie, chłuszcząc tam zapewne kolejne damskie, a może też męskie tyłki, nie wnikałam w to, nie czyniłam mu uwag, byłam szczęśliwa, że dał mi święty spokój. Karcił mnie regularnie swoją krwią, ale bardziej był to zwykły domowy obiad niż wykwinna kolacja ze świecami. Ja też zaczęłam to tak traktować. Załatwialiśmy sprawę w kilka uderzeń serca i resztę nocy każde z nas spędzało po swojemu: ja – skrobiąc kolejny długi list, on – dręcząc nową uległą ofiarę.

Lato miało się już ku schyłkowi, gdy zorientowałam się, że moje zaangażowanie przybrało bardzo niebezpieczną postać. Poczęłam rozważać, czy nie ulec namowom korespondencyjnego kochanka i nie spotkać się z nim gdzieś w podwiedeńskim lesie. Co gorsza zaczęłam mieć objawy dziwnej choroby. Nie mogłam spać w dzień, snułam się więc po domu w kapeluszu i lekkim szalu na twarzy. Miotana gorączką, nie potrafiłam się na niczym skupić, nie czytałam książek jak dawniej, ciągle zerkałam w okno, wypatrując posłańca z kolejnym listem. A kiedy któregoś dnia w ogóle nie przyszedł, mało nie oszalałam; darłam się godzinę na Lupula, że na pewno przegapił dzwonek u furty, choć sama też go nie słyszałam. Franciszka akurat nie było w domu, wyjechał gdzieś na kilka dni, nie tłumacząc mi, dokąd i po co się udaje. Myślałam już, żeby pchnąć Lupula z wiadomością do Attili, ale... przecież nie znałam jego adresu. Celowo nie pytałam, gdzie mieszka, bojąc się, że w którymś momencie nie pohamuję swoich pragnień i go odnajdę.

Kiedy nazajutrz nadeszła wiadomość, mało się nie rozpłakałam, choć przecież nigdy nie płakałam. Mój pułkownik dostał gorączki spowodowanej

przez starą ranę w udzie i leżał złożony niemocą tak silną, że nie dałby rady do mnie pisać; podyktował tylko parę słów słudze, prosząc o cierpliwość. Początkowa ulga natychmiast przerodziła się w niepokój. Kolejne dni były dla mnie trudną próbą. Czekałam każdego ranka na gońca, a on nie przybywał. Kazałam Lupulowi zapytać posłańca, gdy tylko się pojawi, o adres jego pana; nie mogłam być taka bezradna, to mnie zabijało. Umyślny jednak nie pojawił się przez cały tydzień. Wrócił za to mój brat i zauważył, że coś się ze mną dzieje. Natychmiast przepytął Lupula i wydobył z niego aż nadto, by wyciągnąć stosowne wnioski.

Dzika awantura, którą mi urządził, nie skończyła się na tłuczeniu saskiej porcelany, ale na cięciu pałaszem obrazów, których cała kolekcja zdobiła ściany naszej willi, oraz na chłostaniu mnie pejczem po twarzy, który mój brat nosił zawsze przy sobie, do ujarzmania koni i kobiet, jak mniemam. Jego brutalność początkowo wywołała we mnie furję, potem strach, a w końcu zimną wściekłość, która pozwoliła mi go pokonać. Byłam od niego dużo szybsza i niewiele słabsza. Związany niczym baleron sznurem od kotar, w które go zawiętałam, i postraszony kneblem – Franciszek w końcu się uspokoił i pozwolił mi mówić.

Nie miałam mu za wiele od powiedzenia. Oznajmiłam, że odchodzę na zawsze, a Lupul odwiąże go dopiero dwa dni po przekazaniu mojego listu posłańcowi lub po tygodniu, jeśli ów umyślny w ogóle się nie zjawi. Chciałam zyskać przewagę czasową. Byłam pewna, że sługa wykona moje polecenia co do joty. W przeciwnym razie wysłałabym całą jego wołoską rodzinę do cna, a ponieważ lęk przed takimi jak ja towarzyszył mu od dziecka, nie wątpił, że spełnię swoją groźbę. Spakowałam się pośpiesznie, a potem napisałam i zalakowałam list do Attili, podając mu miejsce schadzki. Lupul, gdyby posłaniec nie przybył, miał list spalić, a popiół rozsypać, by Franciszek na pewno go nie przeczytał. Sługa zaprzęgnął konia do małego hansom caba, zdatnego do szybkiej jazdy, którym mój brat osobiście powoził, kiedy wyprawiał się do swojego klubu. Poprzednie ucieczki

nauczyły mnie minimalizmu, spakowałam więc tylko kilka naprawdę niezbędnych drobiazgów do małego sakwojażu i stos listów do drugiego kuferka; zresztą w powozie nie było miejsca na duże walizy.

Odjeżdżałam z tego pięknego miejsca z bólem serca, brat jednak smagając mnie po twarzy pejczem, nie zostawił mi wyboru. Zniosłabym razy – po których rany już się zagoiły, bo mój dar-przekleństwo sprawiał, że szybko się regenerowałam – ale czyż on sam nie był winien temu, co się stało? Czyż nie zostawił mnie w pustym domu z mrukliwym sługą, a sam zaspokajał w tym czasie swoje zachcianki? Trudno, musiałam zdać się na potężnego śmiertelnika Attilę. I na samą siebie, jak zwykle. Popędzając niemiłosiernie konia, gnałam w kierunku ojczyzny mojego pułkownika.

\*\*\*

Nie wiedziałam, gdzie znajdują się jego podwiedeńska willa i wiedeńskie mieszkanie, ale za to świetnie znałam z opisu miejsce, gdzie przyszedł na świat. Często zmieniając wierzchowca w przydrożnych zajazdach, jadąc dniem i nocą, kryjąc się przed słońcem pod chustami i kapeluszem z woalką, dotarłam na Węgry po paru zaledwie dniach.

Zainstalowałam się w pensjonacie, u starszego zażywnego jegomościa, w miasteczku Sifok leżącym nad Balatonem i już wtedy nazywanym letnią stolicą Węgier; kurort oddalony był ledwie kilkanaście mil od majątku Brukenthal. Sezon dobiegał końca i bez trudu nakłoniłam właściciela maleńkiego i uroczego pensjonatu, by zostawił go do wyłącznej mojej dyspozycji. Pozostawało mi czekać i mieć nadzieję.

Okazało się to dla mnie wyzwaniem trudniejszym niż kiedykolwiek, choć powinnam się już nauczyć cierpliwości. Nieraz bywałam w takiej sytuacji, choćby w leśnym dworze, gdzie czekałam na brata cały rok. Teraz jednak zjadał mnie niepokój, choroba mego umysłu nasilała się, a ja nadal bałam się ją nazwać po imieniu.

Po pięciu dniach męczarni Attila wreszcie się zjawił. Pewnego wieczoru stanął po prostu w drzwiach mojej sypialni, zakurzony i zdrożony,



z ogniem płonącym w migdałowych oczach. Przekraczając próg, musiał schylić głowę, a mnie zaparło dech na jego widok i z wrażenia znieruchomiałam na krześle. Podniósł mnie i położył delikatnie na pościeli, z którego nie tak dawno wstałam. Przez cienki materiał jedwabnego peniuaru czułam ciepło jego dłoni, a zapach potu zmieszany z kurzem i wonią konia wydał mi się aromatem wschodnich pachnideł. Attila odsunął się od łóżka i zaczął metodycznie rozbierać, patrząc mi cały czas w oczy. Urzeczona tym widokiem, tylko głośno przełykałam ślinę, nadal nie będąc w stanie wykrztusić słowa. Kiedy pozbył się odzienia i stanął przede mną całkiem nagi, przyszło mi do głowy, że to nie śmiertelnik, ale bóg wojny – a któż oparłby się bogu, nawet śmierzdzącemu potem i koniem? Ja się nie oparłam.

\*\*\*

Ranek nadal spał przy mnie, a ja patrzyłam rozanielonym wzrokiem zakochanej gęsi na jego unoszącą się w oddechu potężną pierś i miałam ochotę szlochać z rozczulenia.

Tak naprawdę czułam jednak lęk. Miłość dopadła mnie jak franca, podstępnie i cicho; spełnienie było cudowne, ale jakaż czekała nas przyszłość. Czy miałam uczynić z mojego miłego przy pomocy żydowskich magików istotę podobną do mnie? Rozważałam taki scenariusz, jednak nie mogłam skazać osoby, którą kochałam, na to ni życie, ni śmierć. Wprawdzie moja egzystencja miała swoje dobre strony, jednak stopniowo zaczynałam dostrzegać, że więcej w niej bólu, znużenia i troski niż przyjemności. Poza tym czy istnieli jeszcze dość potężni kabaliści, by tego dokonać? A on, tak pełen życia, czy zgodziłby się zostać dla mnie upiorem? Odłożyłam te pytania na później, chcąc przez jakiś czas po prostu się nim cieszyć.

Attila otworzył oczy, przeciągnął się i wyskoczył prężnie z pościeli.

– Czas na kąpiel, ukochana – zaordynował wesoło. – Kąpiel i śniadanko, a potem możemy wrócić do poprzednich aktywności.

No i nadszedł ten krępujący moment, kiedy musiałam mu wyznać, kim naprawdę jestem. Wierzyłam jednak, poznawszy go już dość dobrze, że nie wywrze to na nim specjalnego wrażenia. Podróżując po świecie, różne cuda oglądał, i jedna martwa kobieta nie powinna go specjalnie zaszokować.

Nie myślałam się. Już po chwili ustaliliśmy, że on zje śniadanko, a potem ja wypiję na kolację nieco jego krwi, i wrócimy do robienia tego, cośmy przerwali.

Dni upływały nam na spaniu, a noce na miłości. Pierwszy raz od kilkuset lat czułam się bezgranicznie szczęśliwa, a właściwie pierwszy raz w życiu czułam się w taki sposób szczęśliwa. Bałam się, że to nie potrwa długo, ale wolałam nie myśleć o przyszłości. Po kilku dniach mój pułkownik bardzo roztropnie zaproponował, byśmy przenieśli się do dworku myśliwskiego, który jego rodzina miała w posiadaniu od dawna. Zgodziłam się i znowu znalazłam się w leśnych ostępach, lecz tym razem zupełnie z własnej woli.

\*\*\*

Nie wiem, czy to mój brat odnalazł mnie, czy to Inanna odnalazła jego. W każdym razie, kiedy się ocknęłam, znajdowałam się na powrót w wiedeńskim domu, tyle że w piwnicy. Na przeciwko mnie rozkrzyżowany na ścianie wisiał na łańcuchach Atila i konał. Brat stał obok i przyglądał się temu z wrednym uśmieszkiem.

Nagie ciało pułkownika spływało świeżą krwią, której strużki ściekały po starych strupach. Głowa opadła mu na pierś. Oddech stawał się rżący i nierówny. Przypadłam do niego i łkając, delikatnie dotknęłam jego kruczych włosów, teraz zlepionych posoką. Uniósł głowę z największym trudem i popatrzył mi w oczy; błysk rozpoznania rozświetlił na moment jego zamglony wzrok.

– Ukochana – wyszeptał i wydał ostatnie tchnienie.

Franciszek, który zrozumiał, że bogini właśnie straciła nade mną kontrolę, próbował oderwać mnie od zwłok kochanka. Było to trudne, gdyż

wczepiłam się w ten krwawy strzęp człowieka z całych sił. W końcu jednak osłabłam i pozwoliłam wywlec się z piwnicy. Brat zaprowadził mnie do sypialni, gdzie łkającą posadził w fotelu, a sam bez słowa zajął się szykowaniem kąpieli.

Rozebrał mnie z okrwawionych ubrań i delikatnie włożył do wody. Szeptał przy tym uspokajająco, zaklinał, że kocha mnie jak nikogo innego na świecie, że to nie jego wina, on był tylko narzędziem w rękach tej suki Inanny. Nie wierzyłam mu. Byłam prawie pewna, że nie musiała używać siły ani gróźb – wystarczyły słodkie obietnice, by skłonić Franciszka do tego ohydztwa; zresztą znając jego upodobania, nie musiała go długo namawiać.

Byłam otępiała z bólu, moje serce rozerwane na kawałki miało już nigdy się nie zrosnąć. Pozwalałam bratu, by się mną opiekował i udawałam, że mu wierzę i że go nie nienawidzę. Teraz nie byłabym w stanie z nim walczyć. Rozpacz odebrała mi siły.

Franciszek zaproponował budowę krypty dla Atilli. Oczywiście musieliśmy ukryć jego śmierć przed światem, dlatego grobowiec powstałby w jednej z naszych piwnic na wino. Zgodziłam się, nie mogłam zrobić dla pułkownika nic więcej. Przez chwilę przemknęła mi myśl, by go ożywić, ale patrząc na mojego brata i siebie, naprawdę nie życzyłam mu podobnego losu.

Lupul i Franciszek zbudowali kryptę w ciągu trzech dni. Złożyliśmy do niej ciało obmyte przeze mnie starannie z krwi i owinięte w białe płótno. Obok spoczęła paradna szabla mojego brata, bowiem prawdziwy wojownik nie mógł wkroczyć w zaświaty bez broni. Na płycie nagrobnej wyryłam napis:

Atilla von Brukenthal

1859 – 1898

Jeździec ze wschodu

Popatrzyl na mnie

Okiem łaskawym  
I pomknął dalej  
Niepomny siły swojego spojrzenia.  
Nagle świat stanął w płomieniach,  
Spopielilo się moje serce.

Żegnając się na zawsze z Atillą, postanowiłam, że gdy tylko uśpię czujność brata, ucieknę i tym razem mnie już nie odnajdzie. Taką przynajmniej miałam nadzieję.

\*\*\*

Wędrując po świecie, udawało mi się go unikać przez ponad wiek. Ostatnie kilkadziesiąt lat spędziłam w swojej ojczyźnie, zakładając, że to miejsce wykluczy jako zbyt oczywiste. Pomyliłam się.

Zaszyłam się w jednej z kamienic, a gdy wybuchła wojna, przeniosłam się na strych. Bywało ciężko, ale przetrwałam tam okupację, likwidację getta, wyzwolenie, a potem komunizm. Nie chcę cię tym zanudzać. Wycofałam się z wielkiego świata i skupiłam na podstawowych potrzebach. Każdy kolejny rok stawał się większym utrapieniem, zaczęłam więc szukać kogoś, kto mnie wreszcie uwolni. Z czasem moje siły vitalne osłabły; nie jestem już taka szybka i silna jak zaraz po przemianie, być może krew mojego brata dodawała mi mocy. Coraz trudniej mi polować, nie dając się przyłapać, ale obawiam się, że w końcu ktoś mnie nakryje i trafię do szpitala albo więzienia. Poza tym boję się, że Inanna w końcu całkowicie mnie zdominuje.

Nie wiem, czy Franciszek prowadził poszukiwania przez cały ten czas i kiedy dokładnie rozpoczął pogoń, w każdym razie znalazł mnie zeszłego lata. Musiałam wtedy porzucić mój śmierdzący stryszek, ale ta suka, czując chyba jego bliskość, znów przejęła nade mną kontrolę i to na rok bez mała. Wcześniej też się pojawiała, ale na moje szczęście Franciszka nie było w pobliżu i nie miała sprzymierzeńca gotowego służyć jej jak pies. Trafiła

nawet raz do psychiatryka, co musiało być dla niej dość szokującym przeżyciem. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat prowadziłyśmy jakiś rodzaj koegzystencji; Inanna zdawała sobie sprawę, że dopóki nie przeprowadzi kolejnego rytuału, jestem jedynym ciałem, jakie ma do dyspozycji, dbała więc o mnie. Dziwi jednak, czemu mimo wszystko nie udało jej się ode mnie uwolnić aż do tej pory – przecież jest boginią, posiada władzę nad śmiertelnikami, zwłaszcza nad mężczyznami gotowymi zrobić dla niej wszystko. Może obecne bezbożne czasy nawet jej odbierają moc.

Choć przeżyłam kilka wieków, nigdy nie spotkałam drugiej istoty podobnej do mnie ani żadnych innych nieśmiertelnych istot poza bratem, nie spotkałam też innych bogów. Owszem, widywałam duchy; mój wschodni mistrz nadal nawiedza moje sny i jęczy potępieńczo, żebrząc o miskę ryżu – on, który tysiąclecie przeżył bez strawy. Niemniej ani w Europie, ani w odległych krainach nie natknęłam się nigdy na żyjące po śmierci kreatury żywiące się ludzką krwią tak jak ja. Nieraz się nad tym zastanawiałam i o ile mogę sobie wytłumaczyć niechęć boskich istot do kontaktu ze mną, o tyle trudno mi uwierzyć, że jestem jedynym upiorem na świecie. W gruncie rzeczy jest mi to jednak obojętne; wcale nie tęsknię za poznaniem kogoś podobnego do mnie.

Nie chcę dłużej czekać, martwiąc się, że bogini połączy siły z moim bratem. Postanowiłam, że to ja uwolnię się od niej na dobre. Od dawna mam dość życia w takiej formie, chcę odejść. Może trafię nawet do tych samych zaświatów, co mój pułkownik, a może będzie jeszcze gorzej niż teraz, nieważne, pobyt na tym świecie obrzydł mi ostatecznie. Tak więc wypełnisz moje usta ziemią i zaznam wreszcie spokoju. To wszystko, co miałam ci do opowiedzenia, reszta należy do ciebie, Łowco.

## Rozdział IX

Usłyszawszy swoje sekretne imię, padające z ust estrii, zamarł. Za to przez jego umysł przetoczyło się kilka myśli naraz. Kim ona tak naprawdę jest i co miała wspólnego z rzeką? Może rzeka to siostra Inanny, bogini śmierci, pani podziemnego świata Kur? Nie, nie może dać się ponieść fantazji, uwieść tej historii, tracąc resztki zdrowego rozsądku.

Owszem, lubił słuchać opowieści kobiety i nie chciał jej stracić, czując z nią dziwną więź; prawdopodobnie rozumiał Inę lepiej niż ktokolwiek inny, a na pewno lepiej niż pozostali śmiertelnicy. Zastanawiał się, czego był świadkiem w ciągu tego roku. Perfekcyjnego aktorstwa i manipulacji, oszustwa czy też faktycznie poznał je obie: Inę i Inannę? A może nie była żadną z nich? Chciała, by ją zabił, zanim pojawi się jej brat, który prawdopodobnie już od dawna wiedział, gdzie mieszka Łowca. Może nawet czaił się za drzwiami, czekając na sposobność, by dostać się do mieszkania i ponownie zniewolić kobietę, a jego zabić.

Siedzieli naprzeciwko siebie niczym posągi lub dzieci bawiące się w „kto pierwszy odwróci spojrzenie, przegra”. Łowca próbował przetrwać słowa kobiety, znaleźć trzecie wyjście, bo nie umiał ani jej zabić, ani pozwolić jej odejść. Był zresztą przekonany, że jeśli nie zabije Iny, ona – zanim odejdzie – zabije jego. Dostawał ostrzeżenia wcześniej, nie posłuchał ich i podązał za nią niczym wilk, który węsząc świeżą krew, biegnie za ranną łanią. Ale ona nie była łanią, tylko śmiertelnie niebezpiecznym drapieżnikiem, który zabije bez wahania.

– Źle wybrałam, nie umiesz tego zrobić, choć zabiłeś dziesiątki kobiet – odezwała się znienacka, przerywając kamienną ciszę. – Nie mam czasu na szukanie następnego śmiertelnika. Nie mogę też odejść sama. Widziałam, że przyniosłeś ziemię z grobu Natana. Mogę ci to ułatwić, ja wbiję sobie

nóż w serce, a ty dokonasz reszty. Jeśli się nie zgodzisz, zabiję cię tu i teraz. On jest blisko i ma twoją siostrę.

Łowca szarpnął się odruchowo do tyłu. Wizja małej dziewczynki czepiającej się jego chłopięcych, chudych kolan nabrała teraz szczególnego znaczenia.

– Możesz wybierać. Zginę ja albo ty. Nie pozwolę na kolejną przemianę, nie ofiaruję bratu błogiego życia u boku Inanny, która się wcieliła w tę małą wariatkę, twoją siostrę, mającą wizje i bredzącą po psychiatrykach.

Spokojna i zimna dotąd kobieta wyraźnie traciła opanowanie. W jej ręku błysnął nóż o czarnym ostrzu. Nagle już nie siedziała na wprost mężczyzny, ale stała za nim, przykładając ostrze do jego szyi, a drugą ręką odciągając mu do tyłu głowę. Znieruchomiał.

– Nie musisz się rozgadywać – wysyczała – charknij potakująco.

Czuł klingę tuż przy pulsującej gwałtownie tętnicy. Nie bał się. Podniecało go to. Charknął, jak kazała, choć wcale nie miał zamiaru spełnić jej prośby, a przynajmniej nie od razu. Odsunęła się powoli, a potem wyciągnęła nóż trzonkiem w kierunku mężczyzny. Łowca wziął go i pozorując pchnięcie, zrobił wypad w stronę estrii, nie ugodził jej jednak, tylko chlasnął powietrze obok i runął na nią całym ciężarem ciała. Nóż upadł na podłogę. Kobieta zaczęła się szarpać; wyswobodziła jedną rękę i odnalazła sztylet. Łowca to jednak zauważył; próbując pochwycić jej dłoń i przycisnąć do podłogi, złapał za ostrze.

Szarpanina przeciągała się, przetaczali się bezładnie po podłodze; mężczyzna blokował ciosy, jego przedramiona i dłonie spływały krwią. W końcu wyszarpnął nóż. Wściekłość zalewała mu oko czerwoną mgłą, drugi oczodół piekł niemiłosiernie, jakby domagał się pomsty, rzeka wyła w nim przeciągle, śpiewając pieśń oczekiwania. Wziął niezbyt duży zamach i pchnął, trafiając bezbłędnie w serce; lata wprawy w zabijaniu i anatomiczna

wiedza zdobyta w kostnicy niewątpliwie mu w tym pomogły. Kobieta osunęła się z cichym jękiem na podłogę.

– Ziemia – wyszeptała, a potem zgasła niczym spadająca gwiazda.

Łowca podniósł się z klęczek. Popatrzył na swoje krwawiące ręce; rany były powierzchowne, zajmie się nimi później. Postanowił spełnić prośbę umierającej estrii, czuł wzbierający żal i wściekłość na rzekę. Wziął woreczek z ziemią, nabrał jej małą garść, delikatnie rozchylił wargi Iny i wsypał ziemię do jej ust. Usłyszał bardzo ciche westchnienie, jakby wyleciał motyl i delikatnie otarł się o jego policzek. Nic więcej się nie stało. Kobieta nie rozsypała się w proch, nie zniknęła, nie pojawiła się też bogini. Cisza. Rzeka uspokoiła się w jego głowie, widać sam fakt dokonania morderstwa nasycił jej głód.

Mężczyzna uniósł zimne ciało, tym razem martwe na zawsze i zaniósł do kuchni. Umieścił je pieczołowicie w foliowym worku. Zasunął zamek do połowy. Klęcząc obok, gładził delikatnie jej włosy. Nie potrafił oddać ciała rzece, nie wiedział, co z nim uczynić, ale nie umiał się rozstać z Iną nawet po jej odejściu.

Klęczał tak już bardzo długo, gdy ponure rozmyślania przerwało mu lekkie stukanie do drzwi. Podszedł do nich cicho i spojrzał przez judasza. Na klatce, oświetlony szarym świtem, stał wysoki postawny blondyn, który kogoś mu przypominał, ale choć szukał w pamięci, nie wiedział kogo. Oczywiście od razu pomyślał, że to brat Iny, bo czuł, że po drugiej stronie czai się drapieźnik. Łowca uchylił drzwi, nie zwalniając łańcucha. Mężczyźni popatrzyli sobie w oczy.

– Wiem, że ona tu jest. Wpuść mnie. – To była prośba, w której Łowca nie usłyszał ukrytej groźby. – Mówiła, że jesteś mało komunikatywny, ale spróbuję ci coś wyjaśnić, zanim ona się zbudzi – kontynuował melodyjnym głosem, uwodzającym przyjemnym tembrem. – Skoro jest już dzień, na pewno śpi sowim zwyczajem i obudzi się dopiero po zmroku, cierpi na tę dziwną chorobę od dziecka. Opiekuję się Iną od dawna, ale nadal potrafi



mnie wykiwać i zniknąć. Długo nie mogłem jej odnaleźć i bardzo się o nią bałem.

Łowca zdjął łańcuch i otworzył drzwi, gestem zapraszając przybysza do środka. Nie był pewien, dlaczego go wpuszcza, może to ten hipnotyczny głos; zresztą jeśli kobieta nie wszystko zmyśliła, tamten dopadłby go prędzej czy później. A skoro nie mógł temu zapobiec, Łowca chciał się z nim zmierzyć od razu; nie lubił być zwierzyną łowną. Tu i teraz przynajmniej spodziewał się ataku i był na niego przygotowany, choć przekonany o swojej nieuchronnej klęsce. Jeżeli natomiast tamten mówił prawdę, nic Łowcy nie groziło, bo nawet z silnym facetem umiałby sobie poradzić dzięki metodom wypracowanym przez lata. Obaj byli podobnego wzrostu, różniła ich masa mięśniowa. Obecna słabość Łowcy działała na jego niekorzyść, zaryzykował jednak.

Usiedli w salonie; drzwi do kuchni były uchylone, ale worek pozostawał niewidoczny. Obcy mężczyzna wyciągnął długie nogi i westchnął z ulgą, jakby chodził przez całą noc i wreszcie mógł odpocząć.

– Nie wiem, co ci o mnie naopowiadała – zaczął cichym głosem. – Mam na imię Franek i jestem mężem Reginy od blisko dziesięciu lat. Poznaliśmy się w szpitalu, gdzie byłem sanitariuszem. Ina od szesnastego roku życia choruje na porfirię. Nie wiem, czy coś słyszałeś o tej chorobie, ponieważ występuje niezwykle rzadko. Objawy natomiast są dziwaczne i niepokojące dla zwykłych ludzi. Ina skarżyła się, że promienie słoneczne paliły jej skórę, zaczęła więc sypiać w dzień i wychodzić tylko w nocy. Czasem zapadała w śpiączkę trwającą nawet tydzień. Anemia, jeden z objawów choroby, i kompletny brak opalenizny sprawiają, że jej skóra jest upiornie blada. Gdy czuje się naprawdę źle, trafia do szpitala, gdzie przetaczają jej krew. Po paru latach chorowania gdzieś wyczytała, że picie ludzkiej krwi może uśmierzyć nękający ją potworny ból i próbowała to robić. Na dodatek jej siekacze zaczęły rosnać, co się czasami zdarza chorym na porfirię. Ta choroba wyłączyła ją ze świata żywych, w końcu

widowała już tylko mnie; pojawiły się silne stany depresyjne, a nawet halucynacje. Jej psychika tworzyła dziwaczne obrazy, osobowość powoli się rozpadała. Ina zaczęła wymyślać niesamowite historie na swój temat, inspirację czerpała głównie z Internetu. Uważa, że urodziła się w 1617 roku i jest polską szlachcianką, a ja jej starszym o dwa lata bratem. Z każdym rokiem jest gorzej. Żona ucieka przede mną, chowa się na strychach i w pijackich melinach. Uroiła sobie, że chcę ją zabić i przeprowadzić jakiś starożytny rytuał przywołania bogini Inanny. Z drugiej strony Ina ma silne tendencje samobójcze i już nieraz próbowała odebrać sobie życie. Muszę jej pilnować, co staje się coraz trudniejsze, bo jest bardzo sprytna; nabiera wprawy i posunie się do wszystkiego, by uciec spod mojej opieki. W lepszych okresach może funkcjonować także w dzień, co wcale nie ułatwia mi poszukiwań. Co gorsza nigdy nie wiem, która z jej licznych osobowości ma w danym momencie nad nią kontrolę. Niektóre z nich nawet we mnie budzą lęk. Musisz zrozumieć, jeśli szybko nie zawiozę jej do szpitala na konieczne w ostatnich latach comiesięczne przetaczanie krwi, może tego nie przeżyć. Poza tym stanowi zagrożenie dla siebie i innych, dla ciebie też, jak sądzę.

Łowca oczywiście nie przerywał, ale słuchając, czuł coraz silniejszy gniew; miał ochotę rzucić się mężczyźnie do gardła i rozszarpać je. Nie mógł znieść jego słów, każde z nich raniło gorzej niż ostrze noża wbitego kiedyś w oczodół przez Inę. W końcu Franciszek zamilkł. Łowca podniósł się z fotela i skierował do kuchni. Wywłókł stamtąd worek ze zwłokami kobiety i zatargał aż na środek salonu, wprost pod nogi siedzącego w fotelu mężczyzny.

Tamten początkowo nie zrozumiał, myślał chyba, że ona wciąż śpi. Głowa zmarłej odwrócona była lekko na bok i jakby wtulona w worek. Po chwili jednak, widząc oczekiwanie Łowcy, blondyn uniósł się z fotela i pochylił nad Iną. Dotknął jej szyi, szukając pulsu, odwrócił głowę, z lekko

uchylonych ust wysypywały się grudki ziemi. W tym czasie Łowca stał już za nim. W rękach trzymał pasek od spodni.

Franciszek, nie czując bicia serca, rozsunął zamek worka. Krew, która wsiąkła w sukienkę kobiety, powoli krzepła, zmieniając kolor na brązowy. Mężczyzna krzyknął ze zgrozy. Łowca jakby na to czekał: przerzucił pasek i zacisnął na szyi tamtego. Spodziewał się długiej walki z nieśmiertelnym, zakończonej swoją porażką, ale trwało to tylko parę minut i ogromny mężczyzna padł martwy na worek z ciałem Iny.

Łowca zrzucił go kopniakiem, nie mógł znieść widoku ich bliskości, nawet przypadkowej i pośmiertnej. W jego głowie w jednym gwałtownym rozbłysku pojawił się dziwny obraz. On z siostrą, teraz już był pewien, że to jego siostra, leżeli na szpitalnej sali, oboje podłączeni do kroplówek tłoczących w ich żyły cudzą krew; przypomniał sobie, że lekarze rozpoznali u nich wtedy anemię.

Gorączkowo rzucił się do laptopa, chcąc poszukać więcej informacji o dziwacznej chorobie robiącej z ludzi monstra. Dość szybko znalazł odpowiedź: choroba była dziedziczna. Nie miał absolutnej pewności, ale wszystko w nim wyło, że właśnie zabił swoją siostrę oraz jej Bogu ducha winnego męża. Oczywiście mógł się mylić; przecież on sam właściwie nie chorował i nie potrzebował transfuzji, owszem, lubił nocne życie i surowe mięso, ale tylko tyle.

Rzeka milczała, a on nie wiedział, co dalej. Nie chciał już nikogo zabijać, tego był pewien, nie pragnął też żyć, nie miał po co. W głowie powoli krystalizował się pewien plan, musiał tylko jeszcze raz odebrać życie i wreszcie zaznać spokoju.

# Epilog

Tygodnik *Tylko Fakty*,  
29 maja 2013 roku,  
*Rytualny mord w Krakowie*

Nasza ekipa śledcza złożona z najlepszych dziennikarzy przez ostatnie dwa miesiące starała się choć trochę zbliżyć do wyjaśnienia tajemniczego mordu odkrytego na dziedzińcu Bazyliki Bożego Ciała na krakowskim Kazimierzu. Sprawa jednak nadal pozostaje zagadką.

Przypomnijmy podstawowe fakty dotyczące tej wstrząsającej zbrodni. Wczesnym rankiem w dniu 31 marca kościelny Alojzy W. jak zwykle zmierzał z zakrystii w kierunku bramy kościoła, by rozpocząć ostatnie przygotowania do mszy rezurekcyjnej. Było jeszcze ciemno, gdyż w nocy czas uległ przesunięciu na letni i kościelny musiał wstać o godzinie czwartej rano, według starego czasu, by ze wszystkim zdążyć. Sypał też śnieg – jak wszyscy pamiętamy, w tym roku zima nie odpuszczała do połowy kwietnia. W śnieżnej zadymce kościelny przemierzał dziedziniec ze spuszczoną głową, aż nagle jakiś dziwny cień zamajaczył mu pod nogami. Uniósł głowę i w pomarańczowym blasku trzech łukowatych latarni oświetlających dziedziniec ujrzał makabryczny widok, który jak nam wyznał, płacząc, będzie go prześladował do końca życia.

Na latarniach wisiały trzy nagie, martwe ciała. Pośrodku kobieta, a u jej boków dwóch ogromnych mężczyzn. Kościelny krzyknął i padł zemdlony. Na jego szczęście, bo mógł przecież zamarznąć, nie odzyskawszy przytomności, niecały kwadrans później na teren kościoła weszła parafianka Zenobia G. Jak co roku niosła naręcze świeżych kwiatów

do ustrojenia kościoła w tym najważniejszym dla chrześcijan dniu Zmartwychwstania Pańskiego.

Zenobia G. nie zlekła się okropnego widoku, upuściła tylko na schody dziedzińca żonkile i tulipany. Podeszła bliżej i wtedy spostrzegła leżącego bez świadomości kościelnego. Zaczęła go cucić i udało jej się po dłuższej chwili przywrócić mężczyznę do stanu ograniczonej, ale jednak świadomości. Razem zdołali wejść do kościoła, gdzie dzielna pani Zenobia pozostawiła na chwilę kościelnego, by pobiec po proboszcza.

Potem sprawy potoczyły się już szybko, wezwano policję i pogotowie. Na skutek błagań proboszcza, który dzwonił do samego prokuratora wojewódzkiego, zabezpieczanie dowodów przebiegło bardzo sprawnie, tak że o godzinie szóstej nie było już widocznych śladów po makabrze, która rozegrała się prawdopodobnie poprzedniej nocy. Policyjny pies odnalazł ubranie męskie wciśnięte w wąską fosę otaczającą mur kościoła. Jak potem odkryto, było to ubranie jednego z denatów, który najpewniej rozebrał się do naga tuż przed tym, jak powiesił się na jednej z latarni. Znalezione także dwa worki do przewożenia zwłok. Można się domyślać, iż „wisielec” przywłókł w nich pozostałe ciała. Na śniegu, oprócz śladów kościelnego i dzielnej parafianki, zabezpieczono tylko liczne odciski stóp jednej osoby noszącej buty o rozmiarze 44 oraz ślady ciągnięcia ciężkich przedmiotów. Jednak z powodu sypiącego śniegu wszystkie te tropy były już mocno niewyraźne i gdyby nie pies policyjny Azja, pewnie by ich w ogóle nie odkryto.

Procesja rezurekcyjna na szczęście odbyła się bez dalszych zakłóceń, choć kościelny nie dał rady wziąć w niej udziału.

Dalsze śledztwo wykazało, iż troje denatów to: Renata Z., jej mąż Florian Z. oraz – jak się okazało dużo później – jej brat Norbert N. (nie wiemy, czy mieli świadomość bycia rodzeństwem, gdyż Norbert cierpiał na amnezję, a Renata była kilkuletnią dziewczynką, gdy rozdzielono ją z bratem). Renata Z., lat 28, której rodzice zaginęli w niewyjaśnionych

okolicznościach, całe dzieciństwo spędziła w domu dziecka. Mając 18 lat zachorowała ciężko na psychozę i wielokrotnie trafiała na oddziały krakowskiego Szpitala Psychiatrycznego im. Babińskiego. Tam poznała swojego przyszłego męża Floriana Z., lat 30, który również okresowo popadał w szaleństwo. W małżeństwie nie układało się dobrze, gdyż kobieta poza tym, iż często przebywała w szpitalu, była nimfomanką i współżyła z przypadkowymi mężczyznami. Florian Z. znosił to długo, szukał jej po melinach, sprowadzał do domu, starał się ograniczać jej wyjścia, co kończyło się, jak donoszą sąsiedzi, karczemnymi awanturami, a nawet bójkami małżonków. Choroba Renaty Z. pogłębiała się, podawała się za dawno nieżyjące osoby, a nawet za starożytną boginię miłości, zwidywały się jej też różne postacie, z którymi prowadziła rozmowy.

Opowiadała sąsiadom, iż będąc w szpitalu, ponoć zamordowała jedną z pacjentek, a inną więzi gdzieś w wynajętym mieszkaniu. Sąsiedzi, zaniepokojeni tymi rewelacjami, składali doniesienia na policję, która jednak nie znalazła żadnych dowodów potwierdzających te szalone tezy; władze szpitala także zaprzeczyły, jakoby kogoś brutalnie zamordowano na którymkolwiek z oddziałów.

Natomiast Norbert N., lat 36, został adoptowany przez znanego krakowskiego profesora neurochirurgii i jego młodą żonę Różę. Nie chcemy wymieniać nawet inicjałów profesora; z szacunku dla jego dorobku naukowego niech pozostanie anonimowy. Norbert N. sprawiał przybranym rodzicom liczne kłopoty wychowawcze, miał duże trudności z nauką, cierpiał też na mutyzm. Koledzy wspominają go bardzo źle; izolował się, nie brał udziału w zabawach, wołał samotnie się gdzieś włóczyć, a na próby nawiązania kontaktu reagował fizyczną agresją. Chłopak zakończył edukację na poziomie szkoły podstawowej. Potem wegetował przy starzejącym się ojcu, którego na dodatek wcześniej opuściła żona. Podejrzewano, że uciekła z kochankiem, mając dość życia z młodocianym psychopatą pod jednym dachem. Po śmierci profesora Norbert N.

odziedziczył jego majątek, gdyż próby odnalezienia przez sąd Róży nie powiodły się.

Śledczy ustalili prawdopodobny przebieg zdarzeń. Renata Z. już od roku była kochanką Norberta N. Zazdrosny mąż, nie mogąc tego wytrzymać, postanowił ją śledzić, by dowiedzieć się, gdzie kobieta spędza noc. W trakcie awantury pchnął ją nożem, który zabrał ze sobą. Następnie próbował zabić Norberta N., ale ten nie dość, że skutecznie się obronił, to jeszcze udusił Floriana Z. paskiem od spodni. Na przedramionach i dłoniach Norberta N. widniały liczne ślady od noża. Widać walka była zaciekle. Norbert N. najpewniej już pośmiertnie rozebrał oba ciała i zapakował w worki sekcyjne, które odziedziczył po ojcu. Profesor w późnych latach życia zrezygnował z operacji i zajął się patologią. Norbert N. musiał po kolei przywlec oba ciała na dziedziniec bazyliki, gdyż nawet dla tak silnego mężczyzny uniesienie obu naraz wydaje się niemożliwe. Tu wyciągnął zwłoki z worków, potem wspinał się na latarnie i przy pomocy długiej liny podciągał ciała. Jak dokładnie tego dokonał, nikt nie potrafi wyjaśnić, ale nie znaleziono żadnych śladów wskazujących na to, by ktokolwiek mu pomagał. Ramiona kobiety przywiązał przed powieszeniem ciała do deski, bluźnierczo imitując ukrzyżowanie. Po tym ohydnych akcie, zapewne targany wyrzutami sumienia, powiesił się po jej prawej stronie, niczym łotr Dyzma, który się nawrócił, wisząc na krzyżu. Nie wchodźmy jednak w takie porównania, by nie dokładać obrazoburczych skojarzeń do tej odpychającej zbrodni.

Najdziwniejszą jednak okolicznością w tej zagadkowej sprawie, której zupełnie nikt nie umie wyjaśnić, jest grudka ziemi odnaleziona w ustach kobiety. Śledczy nadal starają się określić, skąd pochodziła. Podejrzewają, iż wzięto ją z cmentarza żydowskiego koło Synagogi Remuh, gdyż dzień wcześniej ktoś włamał się na jego teren i sprofanował symboliczny grób rabina Natana Spiry, który według legendy i napisu na płycie nagrobnej „rozmawiał z prorokiem Eliaszem twarzą w twarz”.

W mieszkaniu Norberta N. znaleziono w jego laptopie nieukończoną powieść, w której denat zagłębia się w mity o starych bogach i upiorach. Bohater powieści, Łowca, to seryjny morderca, który poluje na kobiety w Krakowie i kolekcjonuje ich oczy zatopione w szkle. Jego pierwszą ofiarą miała być Róża, w książce służąca profesora i równocześnie obiekt pierwszych seksualnych fantazji Łowcy. Policja, obawiając się, iż chory umysł Norberta N. mógł już wcześniej pchnąć mężczyznę do morderstwa, postanowiła sprawdzić tropy z książki denata. Poszukiwania ciał w Wiśle, gdzie rzekomo miał się pozbywać zwłok swych ofiar, nadal trwają; jak do tej pory bez efektu. Udało się natomiast odszukać miejsce opisywane w książce: małą szopkę w dzielnicy Podgórze. To, co w niej odkryto, zszokowało śledczych. Mężczyzna stworzył tam coś na kształt laboratorium i prosektorium równocześnie. Dokonywał w nim sekcji zwierząt, których oczy zatapiał potem w szkle akrylowym. Podjęto także na nowo poszukiwania Róży, która obecnie posiada status osoby zaginionej.

Potworność, z którą zetknęliśmy się tej dziwnej wiosny, na długo pozostanie w pamięci mieszkańców Kazimierza. Nie umiemy niczym innym poza szaleństwem wytłumaczyć tak chorego i odrażającego postępowania; choć nawet szaleństwo tego nie tłumaczy, zwłaszcza że działania mordercy i samobójcy w jednej osobie Norberta N. wskazują na zimne wyrachowanie, a nie afekt.

W Bazylice Bożego Ciała w każdą środę odbywa się msza święta za dusze całej trójki denatów. To wszystko, co my, wierzący ludzie, możemy dla nich zrobić.

I miejmy nadzieję, że żadna zbrodnia nie zakłóci jutrzejszych obchodów Bożego Ciała.

Będziemy państwa na bieżąco informować o dalszych postępach śledztwa w tej makabrycznej sprawie.



## NOTA OD AUTORKI

Powieść *Ziemią wypełnisz jej usta* w żadnym razie nie jest książką historyczną, nawet trudno uznać ją za realistyczną. Pojawiają się w niej wprawdzie liczne autentyczne postacie, jednak fakty z ich życia zostały wykorzystane z dużą swobodą i posłużyły wyłącznie jako twórcza inspiracja. Nie należy sądzić, iż przedstawione na kartach powieści zdarzenia miały cokolwiek wspólnego z prawdziwym życiem; nie powinno się oceniać występujących w niej osób na podstawie fabuły ani tym bardziej traktować książki jako źródła faktów historycznych. Jeśli ktokolwiek postąpiłby w ten sposób, niewątpliwie przyczyniłby się do stworzenia fałszywego i niesprawiedliwego obrazu tamtych ludzi i czasów.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

